

# CZŁOWIEK PLUS

Frederik POHL



**Frederik Pohl**

**Człowiek Plus**

Przełożył Marek Marszał  
(Man Plus)

Data wydania oryginalnego 1976  
Data wydania polskiego 1986

Jeden

## Astronauta i jego świat

Trzeba opowiedzieć wam o Rogerze Torrawayu. Jedna istota ludzka nie wydaje się szczególnie ważna, skoro żyje ich osiem miliardów. Nie ważniejsza niż na przykład pojedynczy mikroprocesor pamięci. Jednak pojedynczy procesor może okazać się czynnikiem decydującym, o ile przenosi jakiś podstawowy bit, i w tym właśnie sensie Torraway okazał się ważny.

Był przystojnym mężczyzną, jak na człowieka. I sławnym. Przynajmniej kiedyś. Był kiedyś taki czas, że Roger Torraway przez dwa miesiące i trzy tygodnie wisiał na niebie w towarzystwie pięciu innych astronautów. Wszyscy jak jeden brudni, napaleni na baby, a przede wszystkim znudzeni.

Ale nie to przyniosło mu sławę. To było zaledwie przedmiotem “doniesień agencyjnych”, w sam raz na dwa zdania w nudnym dzienniku wieczornym nudnego wieczoru.

A jednak zdobył sławę. Poznali go z imienia mieszkańcy Beczuany i Beludzystanu, i Buffalo. “Time” wziął go na okładkę.

Nie miał jej całej wyłącznie dla siebie. Musiał dzielić ją z resztą załogi stacji orbitalnej, ponieważ wszyscy oni należeli do owych szczęściarzy, którzy ocalili załogę Rosjan wracającą na Ziemię bez silników sterujących. Dzięki temu z dnia na dzień zostali sławnymi ludźmi. Torraway miał dwadzieścia osiem lat, kiedy to się zdarzyło, i dopiero co poślubił zielonooką, kruczowłosą nauczycielkę ceramiki artystycznej. Właśnie z przyczyny Dorki na Ziemi on wzdychał na orbicie, a z przyczyny Roga na orbicie ona zaczęła brylować, co ubóstwiała.

Trzeba czegoś wyjątkowego, żeby żona astronauty dostała się na lamy prasy. Było tych żon tak wiele. I tak podobnych do siebie. Wśród dziennikarzy krążyła opinia, że NASA wybiera astronautom żony z pierwszego etapu konkursów piękności na Miss Georgia. Wszystkie były tak piękne, jakby natychmiast po wyskoczeniu ze swych kostiumów kąpielowych miały nam wywinąć młyńca batutą bądź wyrecytować “Samice gatunku” Kiplinga.

Dorota Torraway wyglądała na to ciut za inteligentnie, ale też z drugiej strony niewątpliwie była na to dostatecznie piękna. Jej jednej spośród żon astronautów poświęcono główny artykuł zarówno w magazynie „Kobieta i Dom” (“Tuzin upominków pod choinkę z twojego piekarnika”), jak i w “Kobiecie” (“Dzieci popsują moje małżeństwo”). Roger najbardziej ze wszystkiego pragnął nie mieć dzieci. On najbardziej pragnął wszystkiego, czego pragnęła Dorka, ponieważ najbardziej pragnął Dorki. Pod tym względem mniej przypominał swoich kolegów, którzy przy badaniu kosmosu odkrywali głównie piękne nagrody w postaci pięknych pań na Ziemi. Pod innymi względami był kubek w kubek jak oni. Inteligentny, zdrowy, elegancki, przystojny, po politechnice. Przez jakiś czas dziennikarze uważali, że sami astronauta też schodzą z jakiejś tam taśmy montażowej. Tworzyli asortyment różniący się wzrostem w przedziale dwudziestu centymetrów oraz wiekiem, w przedziale kilkunastu lat, i występowali w wyborze czterech kolorów skóry od barwy mlecznej czekolady po krew z mlekiem wikinga. Mieli następujące hobby: szachy, pływanie, polowanie, latanie, skoki z opóźnionym otwarciem spadochronu, wędkarstwo i golf. Gładko bratali się z senatorami i ambasadorami. Przechodząc z programu badań kosmicznych do cywila wynajmowali się firmom lotniczo-kosmicznym lub do przegranych spraw, które potrzebowały nowej twarzy. Zajęcia te były bardzo popłatne. Astronauta stanowili cenny towar. Ceniony nie tylko przez środki reklamy i człowieka z ulicy. My również ceniliśmy ich bardzo wysoko.

Astronauta ucieleśniali sobą marzenie. Marzenia są cenne dla człowieka z ulicy, zwłaszcza jeśli to jest błotnista, smrodliwa ulica Kalkuty, gdzie całe rodziny sypiają na chodniku i budzą się skoro świt, żeby zająć miejsce w kolejce po darmową miskę zupy. To był kostropaty, ponury świat, a

kosmos wnosił w niego nieco piękna i życia. Niewiele, ale lepsze to niż nic.

Astronauci z całej Tonki w Oklahomie tworzyli maleńką, zamkniętą społeczność, jak rodziny futbolistów. Wszyscy mężczyźni po zaliczeniu pierwszego lotu przechodzili do ekstraklasy. Od tej chwili wszyscy byli rywalami i kolegami z jednej drużyny. Rywalizowali ze sobą o to, kto wybiegnie na boisko, i podpowiadali sobie z ławki rezerwowych. Dualizm zawodowego sportowca. Gorycz i zła krew, zalewająca podstarzałego, poobijanego weterana, kiedy patrzył z ławki rezerwowych na młodzika w koszulce z numerem, nie ustępowała w niczym goryczy i złej krwi zalewającej rezerwowego pilota misji planetarnej, który patrzył, jak jego "jedyńka" wdziewa kombinezon.

Roger i Dorota pasowali jak ulał do tej społeczności. Łatwo nawiązywali kontakty towarzyskie. Byli wystarczająco ekscentryczni, żeby się wyróżniać, ale nie na tyle, żeby denerwować ludzi. O ile Dorota sama nie chciała mieć dzieci, to mile traktowała dzieciarnię pozostałych żon. Kiedy Vik Samuelson na pięć dni stracił kontakt radiowy po drugiej stronie Słońca, a Vernę chwyciły przedwczesne bóle porodowe, Dorota wzięła trójkę dzieciaków Verny do siebie. Żadne nie miało skończonych pięciu lat. Dwoje robiło jeszcze w pieluchy i Dorka zmieniała je bez słowa skargi, podczas gdy inne żony zajmowały się domem Verny, a Verna w szpitalu NASA zajmowała się wydawaniem na świat swojego czwartego malca. Na przyjęciach w okresie Bożego Narodzenia Roger z Dorka nigdy nie upijali się najbardziej ani nigdy nie wychodzili pierwsi.

Była z nich miła para.

Żyli w miłym świecie.

Wiedzieli, że mają szczęście pod tym względem. Reszta świata wcale nie była taka miła. Wojenka goniła wojenkę po Azji, Afryce i Ameryce Łacińskiej. Europę Zachodnią dławili czasami strajki i często paraliżowały różne niedobory, a z nadejściem zimy zwykle trzęsa się z zimna. Ludzie chodzili głodni, często wściekli i było bardzo mało miast, w których komuś mogłaby przyjść ochota na samotny spacer o zmroku. Lecz Tonka trzymała się niedostępna i całkiem bezpieczna i astronauta (kosmonauca i sinonauca też) odwiedzali Merkurego i Marsa, i Księżyc, pławili się w aureolach komet i jeździli na karuzelach orbit dokoła gazowych gigantów.

Torraway zaliczył osobiście pięć ważniejszych lotów. Najpierw odbył kurs promem z wyposażeniem dla laboratorium orbitalnego, dawno temu w pierwszych dniach odmrożenia programu kosmicznego, który stawał ponownie na nogi. Następnie spędził osiemdziesiąt jeden dni w stacji kosmicznej drugiej generacji. To była jego wielka chwila, to było to, dzięki czemu dostał się na okładkę "Time'a". Ruscy wystrzelili załogową wyprawę do Merkurego, która dotarła tam jak należy, wylądowała jak należy i wystartowała w drogę powrotną jak należy; po czym nic już nie było jak należy. Rosjanie zawsze mieli kłopoty ze swoimi silnikami stabilizującymi - paru pierwszych kosmonautów jak zaczęło się kręcić, to już nie byli w stanie się zatrzymać i bezsilnie rzygali po ścianach swoich statków kosmicznych. Tym razem znowu mieli kłopoty i zużyli do końca rezerwy paliwa na korektę stabilizacji położenia. W ten sposób udało im się wleźć na rozkraczoną jak krowa orbitę eliptyczną wokół Ziemi, ale nie mieli żadnego sposobu, żeby zleźć z niej bezpiecznie. Ani bezpiecznie na niej pozostać. Sterowność mieli już prawie żadną, a perigeum znajdowało się wystarczająco nisko w jonosferze ziemskiej atmosfery, żeby przypiekać ich nie na żarty.

Na szczęście Roger i pozostałych pięciu Amerykanów siedzieli tam w statku kosmicznym przeznaczonym do służby holowniczej, i mieli zapas paliwa na kilka dodatkowych lotów. Nie było go wcale za wiele, ale wyrobili się: zrównali kurs i prędkość z "Awrorą Dwa", documowali i wyciągnęli kosmonautów. Cóż to był za spektakl spadających swobodnie niedźwiedzich uścisków i kłujących całusów! Na pokładzie holownika wydano bankiet z tego, co Rosjanie zdążyli złapać ze

sobą: no to cyk porzeczkowym sokiem, ty mi pasztetu, ja ci hamburgera itd. A dwie orbity później "Awrorą" spadła jak meteor. "Jak płomienna gwiazda wieczorna" - rzekł kosmonauta Juli Bronin, który potem przybył do Oxfordu i wycalaował swoich wybawców po raz drugi.

Kiedy wrócili na Ziemię przypasani po dwóch w jednym hamaku, ciasniej niż kochankowie, wszyscy bez wyjątku byli już bohaterami i wszyscy byli uwielbiani, nawet Roger, nawet przez Dorcę.

Ale to było dawno temu. Od tamtej pory Roger Torraway dwukrotnie oblatywał Księżyc pilotując statek, podczas gdy obsługa teleskopów przeprowadzała swoje próby orbitalne nowego stukilometrowego radiozwierniaka po drugiej stronie. Na koniec przeżył awarię marsjańskiego ładownika, po raz drugi jako jeden ze szczęściarzy, którzy dotelepalili się z powrotem na Ziemię cali i zdrowi. Lecz do tej pory czar przysłał również po raz drugi. Ot zwykły pech i awarie techniczne, nic podniecającego.

Tak więc Roger przeważnie zajmował się odtąd, rzecz można, polityką. Grywał w golfa z senatorami z komisji kosmicznej i kursował między bazami eurokosmicznymi w Zurychu, Monachium i Trieście. Jego pamiętniki znajdowały się skromny zbyt. Pełnił funkcję pilota rezerwowego w sporadycznych lotach. W miarę jak program kosmiczny gwałtownie spadał z pozycji narodowego priorytetu do pozycji przedsięwzięcia marginalnego, coraz mniej było dla niego konkretnej roboty.

Niemniej jednak figurował na liście rezerwowej wyprawy, jakkolwiek nie mówił o tym, zabiegając o polityczne poparcie dla agencji kosmicznej. Zabroniono mu. Ten nowy lot załogowy, który istotnie miał być prędzej czy później zatwierdzony, był pierwszym w programie kosmicznym lotem zakwalifikowanym jako "ściśle tajne".

Liczyliśmy na Rogera Torrawaya, chociaż nie wyróżniał się spośród innych astronautów niczym szczególnym: trochę przetrenowany, bardzo nie wykorzystany, wielce rozgoryczony tym, co się działo w ich robocie, lecz ogromnie przeciwny zamianie jej na jakąkolwiek inną dopóty, dopóki jeszcze widział szansę na wielkość. Oni wszyscy byli tacy, nawet ten, który był potworem.

Dwa

Czego chciał prezydent

Człowiek, który był potworem, często przychodził na myśl Torrawayowi. Roger interesował się nim szczególnie. Siedząc w fotelu drugiego pilota dwadzieścia cztery tysiące metrów nad Kansas, obserwował, jak świetlny punkt na radarze rozpoznawczym "swój-obcy" płynnie zjeżdża z ekranu.

- Gówno - powiedział pilot.

Punktem świetlnym był radziecki Konkordski III; ich CB-5 ścigał się z nim od czasu, kiedy uchwycili go nad zaporą Garrison. Torraway wyszczerzył zęby w uśmiechu i znowu przymknął odrobinę przepustnicę. Ze wzrostem prędkości względnej punkcik Konkordskiego nabierał pędu.

- Gubimy go - rzekł posepnie pilot. - Jak myślisz, dokąd on leci? Może Wenezuela?

- Dobrze by zrobił - powiedział Torraway - zważywszy, ile obaj zużywacie paliwa.

- Czort z nim - rzekł pilot w ogóle nie speszony faktem, że sporo przekracza przyjętą w międzynarodowej konwencji granicę 1,5 Macha - co tam się dzieje w Tulsie? Zwykle dają nam siadać od razu, z takim VIP-em jak ty.

- Pewnie siada akurat jakiś większy VIP - powiedział Roger.

Nie był to domysł, ponieważ on wiedział, kim jest ten VIP, no i nie było większych, poza

prezydentem Stanów Zjednoczonych.

- Całkiem nieźle prowadzisz to pudło - oświadczył wielkodusznie pilot. - Chcesz wylądować, to znaczy, jak nam pozwolą?

- Nie, dziękuję. Lepiej wrócę do kabiny i pozbieram swoje graty.

Pozostał jednak w fotelu i spoglądał w dół. Zaczęli wytracać wysokość, schodząc tuż nad łąciaty grzbiet cumulusa; poczuli, że rzucają nimi prądy wstępujące ponad chmurami. Torraway zdjął ręce ze sterów, które przejął pilot. Lada chwila mieli przelatywać nad Tonką, trochę w prawo. Myślał, co sływać u potwora.

Pilot nadal był usposobiony wielkodusznie.

- Niewiele masz teraz latania, co?

- Tylko gdy ktoś tak jak ty da mi potrzywać stery.

- Nie ma sprawy. Co w ogóle porabiasz, jeśli wolno spytać? Znaczą, poza VIP-owaniem tu i ówdzie.

Torraway miał na to gotową odpowiedź.

- Urzęduję - rzekł.

Zawsze to mówił, kiedy ludzie pytali go, co porabia. Czasami pytający mieli przepustkę do najściślejszych tajemnic, zatwierdzoną nie tylko przez rządową służbę bezpieczeństwa, ale i przez prywatny radar w jego głowie, wskazujący, komu może ufać, a komu nie. Wówczas mówił: "Produkuję potwory". Jeśli to, co po tym powiedzieli, wskazywało, że oni też są wtajemniczeni, ewentualnie dorzucał jeszcze jedno czy dwa zdania.

Program Kosmiczno-Medyczny nie stanowił tajemnicy. Wszyscy wiedzieli, że w Tonce pracuje się nad przygotowaniem astronautów do życia na Marsie. Tajemnicę stanowiło to, jak się ich przygotowuje: sam potwór. Gdyby Torraway powiedział za dużo, ryzykowałby zarówno swoją wolnością, jak i pracę. A Roger lubił swoją pracę. Dawała mu poczucie, że robi coś, co zostanie ludziom w pamięci, i stwarzała okazję do bywania w ciekawych miejscach. Dawniej, jako astronauta w służbie czynnej, bywał w jeszcze ciekawszych miejscach, ale hen w przestrzeni kosmicznej i poniekąd bezludnych. Bardziej podobały mu się miejsca, do których docierał prywatnymi odrzutowcami i gdzie witali go schlebiający dyplomaci i frapujące, bankietowe kobiety. Oczywiście należało pamiętać o istnieniu potwora, ale nim się tak naprawdę nie przejmował. Za bardzo.

Przelecieli rzekę Cimarron, a raczej rdzawy potok, który będzie rzeką, jak znowu spadnie deszcz, skierowali wylot dyszy niemal pionowo w dół, odcięli moc i siedli łagodnie.

- Dzięki - rzucił pilotowi Roger i wrócił do kabiny VIP-a po swój bagaż.

Tym razem zaliczył Bejrut, Rzym, Sewillę i Saskatoon przed powrotem do Oklahomy, jedno gorętsze od drugiego. Ponieważ oczekiwano ich na uroczystej odprawie z prezydentem, spotkał się z Dorką w lotniskowym motelu. Szybko zabrał się do przebierania w to, co mu przyniosła. Cieszył go powrót do domu, cieszył go powrót do robienia potworów i do żony. Wychodząc spod prysznicą poczuł szybki, niepohamowany dreszcz pożądania. Miał w głowie chronometr odmierzający chwile do własnej dyspozycji, nie musiał zatem sprawdzać na zegarku: czas jest. Nic się nie stanie, jeśli spóźnią się parę minut. Ale Dorki nie było w fotelu, gdzie ją zostawił; telewizor był włączony, jej papieros dopalał się w popielniczce, lecz jej nie było. Owinięty rącznikiem Roger siedział na brzegu łóżka, dopóki chronometr w jego głowie nie wskazał, że czas mu się kończy. Wtedy zaczął się ubierać. Dorka zastukała do drzwi, gdy wiązał krawat.

- Przepraszam - powiedziała, kiedy jej otworzył. - Nie mogłam znaleźć automatu z coca-colą. Jedna dla ciebie, druga dla mnie.

Dorka była niemal tak wysoka jak Roger, brunetka z wyboru, zielonooka z natury. Wyjęła

szczotkę z torebki, musnęła nią plecy i rękawy jego marynarki, następnie musnęła się z nim puszkami coca-coli i pociągnęła łyk.

- Musimy się zbierać - powiedziała. - Wyglądasz, że tylko cię postawić i podziwiać.

- Wyglądasz, że tylko cię położyć i rznąć - rzekł kładąc dłoń na jej ramieniu.

- Właśnie się umalowałam - powiedziała uciekając z ustami i podstawiła mu policzek do pocałowania. - Ale miło mi, że seniority zostawiły jeszcze coś dla mnie.

Parsknął dobrodusznym śmiechem; żartowali sobie, że on w każdym mieście śpi z jakąś dziewczyną. Lubił te żarty. Nie było w nich prawdy. Te jego parę żalonych przygód pozamałżeńskich przyniosło mu więcej zawodu i niesmaku niż przyjemności, ale lubił myśleć o sobie jako o mężczyźnie, którego żonę muszą niepokoić jego względy u innych kobiet.

- Nie dajmy prezydentowi czekać na siebie - rzekł. - Załatwię recepcję, a ty sprowadź wóz.

\*\*\*

Istotnie nie dali prezydentowi czekać na siebie: dwie godziny trwało, zanim ich w ogóle dopuszczono przed jego oblicze. Roger znał zwykłą procedurę przechodzenia przez sito ochrony, gdyż zdarzało mu się to uprzednio. Nie tylko prezydent Stanów Zjednoczonych stosował w tych czasach dwieście procent środków ostrożności przeciwko zamachowcom. Roger przeszedł całodzienny magiel u papieża, a i tak szwajcar ochroniarz z beretą w garści stał mu za plecami przez te parę minut audiencji w papieskiej komnacie.

Odprawa zgromadziła połowę szych z instytutu. W wysprzątany i wypucowany klubie naukowca nie poznawało się znajomej kawiarnianej atmosfery. Powtykano gdzieś nawet tablice i używane jako brulion papierowe serwetki. Roger wiedział, że rozstawione w kątach parawany i dyskretnie zaciągnięte żaluzje w pobliskich oknach to dla rewizji osobistej. Po niej czekają ich rozmowy z psychoanalitykami. Następnie, o ile wszyscy przejdą, o ile w czyjejsz szpilce do kapelusza nie objawi się śmiertcionośny zastrzyk, a w czyjejsz głowie mordercza obsesja, udadzą się do audytorium i tam dołączy do nich prezydent.

Czterej agenci służby bezpieczeństwa uczestniczyli w procesie obszukiwania, obmacywania, magnetometrowania i legitymowania gości płci męskiej, aczkolwiek tylko dwaj uczestniczyli fizycznie. Pozostali dwaj jedynie stali sobie, przypuszczalnie gotowi dobyć broni w razie potrzeby.

Żeński personel służby bezpieczeństwa (tak zwane sekretarki, lecz Roger wiedział, że noszą broń) obszukiwał żony i Katarzynę Doughty. Kobiety przechodziły rewizję za jednym z sięgających ramion parawanów, ale z wyrazu twarzy swej żony Roger wyczytywał postępy obmacujących, sondujących dłoni. Dorka nie lubiła, żeby ją obcy dotykali. Zdarzało się, że w ogóle nie lubiła, żeby ją dotykano, a szczególnie obcy.

Kiedy przyszła jego kolej, Roger zrozumiał nieco szewską pasję, jaką widział na twarzy żony. Byli nadzwyczaj dokładni. Przeszukali go pod pachami. Rozpięli mu pasek i wjechali w rowek między pośladkami. Wyobracono mu jądra. Wyjęto wszystko z kieszeni, wytrzepano chusteczkę i błyskawicznie złożono ją ponownie, równiej niż była. Sprzączkę paska i bransoletkę zegarka obejrzano pod lupą. Każdy przechodził taką samą obróbkę, nawet dyrektor, który rozglądał się po sali z dobroduszną rezygnacją, kiedy palce przeczesywały mu kędzierzawe włosy pod pachami. Jedyne wyjątek stanowił Don Kayman, z uwagi na urzędową galę występujący w sutannie, którego po krótkiej rozmowie szeptem wyprowadzono na jej zdjęcie do drugiego pokoju.

- Przepraszam, ojciec - rzekł jeden z goryli - ale ojciec wie, jak jest.

Don wzruszył ramionami, wyszedł z nim i wrócił wyraźnie zdegustowany. Roger zaczynał podzielać jego uczucia. Pomyślał, że mądrze by zrobili przekazując psychoanalitikom ludzi zaraz po skończeniu rewizji. W końcu zajmowali się grubymi rybami, których czas to pieniądz. Jednak bezpieka miała swój własny system polegający na pracy etapami. Dopiero po zrewidowaniu wszystkich skierowano pierwszą trójkę do pokoiów maszynistek, specjalnie zwolnionych na gabinety psychoanalizy.

Psychoanalitik Rogera był czarny na upartego, faktycznie barwy kawy z mlekiem. Usiedli twarzą w twarz na krzesłach z prostymi oparciami, kolanami oddaleni od siebie o czterdzieści centymetrów. Psychoanalitik powiedział:

- Załatwię to jak najkrócej i jak najbezboleśniej. Czy pańscy rodzice żyją oboje?
- Nie, obecnie oboje nie żyją. Ojciec zmarł dwa lata temu, matka, kiedy byłem na studiach.
- Czym zajmował się pański ojciec?
- Wynajmował łodzie rybackie na Florydzie.

Połowę swej świadomości Roger zajął opisem ojcowskiego przedsiębiorstwa wynajmu łodzi w Key Largo, drugą zaś swoją bezustanną samokontrolą. Czy okazuje dosyć irytacji z takiego przesłuchania? Czy jest na dostatecznym luzie? Więcej niż na dostatecznym luzie?

- Widziałem pańską żonę - powiedział psychoanalitik. - To bardzo seksowna kobieta. Czy uraziło pana, że to mówię?
- Nic a nic - rzekł Roger, najeżając się.
- Niektórym białym byłoby nie w smak usłyszeć to z moich ust. Jak pan to widzi?
- Wiem, że jest seksowna - burknął Roger. - Dlatego się z nią ożeniłem.
- Czy nie uraziłoby pana, gdybym posunął się odrobinę dalej i zapytał, jak ona się kocha?
- Nie, skądże znowu... no nie, do diabła. Tak, uraziłoby mnie - rzekł z wściekłością Roger.
- Chyba tak, jak każda inna. W kilka lat po ślubie.

Psychoanalitik odchylił się w tył, spoglądając w zamyśleniu na Rogera.

- W pańskim przypadku, doktorze Torraway - powiedział - ten wywiad to w zasadzie czysta formalność. Przechodząc kwartalne badania od siedmiu lat mieści się pan idealnie w normie za każdym razem. Ma pan czystą kartę, żadnej nadpobudliwości czy braku równowagi. Pozwoli pan, że zapytam tylko, czy nie czuje się pan nieswojo przed spotkaniem z prezydentem?
- Może jestem trochę przejęty - rzekł Roger, przestawiając się na nowe tory.
- To całkiem naturalne. Głosował pan na Dasha?
- Oczywiście... zaraz, do diabła, chwileczkę. To nie pański interes!
- Zgadza się, doktorze Torraway. Może pan już wracać do sali odprawy.

Nie dali mu wrócić do tej samej sali, tylko do jednej z mniejszych sal konferencyjnych. Prawie natychmiast dołączyła doń Katarzyna Doughty. Pracowali ze sobą dwa i pół roku, ale ona ciągle traktowała go służbowo.

- Zdaje się, że zdaliśmy, panie pułkowniku doktorze Torraway - rzekła z oczami utkwionymi jak zwykle w jakiś punkt ponad jego lewym ramieniem, z twarzą zastawioną przed nim papierosem. - Ach, świetnie, niewielki ochłaj - co mówiąc wyciągnęła rękę poza niego.

Stał tam kelner w liberii - nie - poprawił się Roger - agent służby bezpieczeństwa przebrany za kelnera stał z tacą drinków. Roger wziął whisky z wodą, wielka protetyczka wybrała małą szklaneczkę wytrawnego sherry.

- Tylko proszę koniecznie wszystko wypić - szepnęła mu koło ramienia. - Myślę, że oni czegoś do tego dodają.
- Jakiego czegoś?



- Na uspokojenie. Jeśli nie wypije się do dna, stawiają za plecami uzbrojonego goryla.

Roger wypił swoją whisky duszkiem, żeby ją udobruchać, zastanawiał się jednak, jakim cudem ktoś z jej urojeniami i lękami tak gładko przebrnął przez psychoanalitka. Piątą minut z psychoanalitikiem spotęgowało w nim skłonność do samoanalizy i częścią swego umysłu analizował na potęgę. Dlaczego czuje się nieswojo w obecności tej kobiety? Na pewno nie dlatego, że ma zwyczaj pouczania wszystkich. Rozważał, czy problem nie bierze się z tego, że ona tak bardzo zachwyca się jego odwagą. Próbował jej wytłumaczyć, że bycie astronautą nie wymaga wielkiej odwagi, nie większej niż latanie samolotem, pewnie mniejszej niż prowadzenie taksówki. Oczywiście jako rezerwowemu Człowiekowi Plus groziło mu bardzo realne niebezpieczeństwo. Ale jedynie wtedy, gdy ci przed nim odpadną z kolejki, a takim prawdopodobieństwem nie warto zaprzętać sobie głowy. Tym niemniej ona nie przestała odnosić się do niego z głębokim respektem, który mógł wyglądać na podziw, a mógł i na litość.

Całą resztą swej świadomości jak zwykle wyczekiwał żony. Wreszcie zjawiała się, wściekła i rozczochrana - jak na nią. Włosy, które upinała przez godzinę, opadały teraz w dół. Spływały jej do pasa wspaniałą, radosną kaskadą czerni, przez co wyglądała jak Alicja z obrazka Tenniela, gdyby Tenniel pracował w tamtych czasach dla "Playboya". Roger pośpieszył z pociechą, które to zajęcie pochłonęło go tak bardzo, że ze zdziwieniem wyczuł nagłe poruszenie i usłyszał, jak ktoś niezbyt głośno ani uroczyście, powiedział:

- Panie i panowie, prezydent Stanów Zjednoczonych.

Fitz James Deshatine wkroczył na salę rozdając uśmiechy i ukłony i wyglądając zupełnie jak własna podobizna z telewizji, tylko niższa. Bez ponaglenia pracownicy instytutu ustawili się w półkole i prezydent rozpoczął obchód ściskając każdemu dłoń, podczas gdy dyrektor programu u jego boku dokonywał prezentacji. Deshatine został ślicznie poinstruowany. Stosował ową sztuczkę polityków kojarzenia sobie każdego nazwiska i wyjeżdżania z jakąś osobistą aluzją. Do Katarzyny Doughty było to: "Cieszę się, że choć jeden reprezentant Irlandii jest w tym gronie, doktor Doughty". Do Rogera: "Myśmy się już kiedyś spotkali, pułkownika Torraway. Po tej pięknej akcji z Rosjanami. Zaraz, niech się zastanowię, to musiało być siedem lat temu, kiedy przewodniczyłem komisji w senacie. Może przypomina pan sobie?" Jasne, że Roger sobie przypominał i czuł się mile połączony: wiedział, że prezydent przypomina sobie specjalnie, żeby go mile połączyć. A do Dorki: "Wielkie nieba pani Torraway, jakim cudem taka śliczna dziewczyna marnuje się przy jednym z tych jajogłowych?" Słyszając to Roger nieco zeszywniał. Chodziło mu nie tyle o lekceważenie wobec siebie, lecz był to jeden z tych zdawkowych komplementów, jakimi Dorka zawsze się brzydziła. Ale tym razem nie zauważył u niej obrzydzenia. Ten komplement wypowiedziany przez prezydenta zapalił iskierki w jej oczach.

- Jaki piękny mężczyzna - szepnęła nie spuszczać z niego oczu do końca tego obchodu.

Dojechawszy do mety prezydent wskoczył na małe podium i rzekł:

- No cóż, przyjaciele, przybyłem tu, żeby patrzeć i słuchać, a nie gadać. Pragnę jednak podziękować każdemu z was za przymknięcie oczu na te bzdury, przez jakie kazali wam przejść, żebyśmy mogli być razem. Przepraszam. Ja tego nie wymyśliłem. Mnie tylko mówią, że to konieczne dopóty, dopóki kręci się tak wielu czubków. I dopóki Wolny Świat ma takich wrogów, jakich ma, a my jesteśmy tacy otwarci, ufni ludzie, jak to my. - Uśmiechnął się prosto do Dorki. - Jak tam, nie obyło się bez zmycia paznokci?

Dorka zaśmiała się melodyjnie, zaskakując swego męża. (Pomstowała przedtem z furją, że zniszczyli jej manikiur).

- Oczywiście, że nie, panie prezydencie. Zupełnie jak u mojej manikiurzystki - odkrzyknęła.

- Przepraszam i za to. Twierdzą, że tu chodzi o upewnienie się, czy panie nie posiadacie tajnych bio-che-micz-nych trucizn w celu podrapania mnie przy ściskaniu dłoni. No cóż, chyba nie pozostaje nic innego, jak robić, co każą. W każdym razie - zachichotał - jeśli sądzicie, że spotkała was przykrość, piękne panie, to szkoda, że nie widziałyście, co wyprawia moja stara kotka, kiedy jej to robią. Dobrze, że faktycznie nie miała trucizny na pazurach podczas ostatniej takiej operacji. Załatwiła trzech agentów służby bezpieczeństwa, mego siostrzeńca i dwa własne kociaki, zanim skończyli. - Roześmiał się i Roger z niejakim zdziwieniem spostrzegł, że on sam i Dorka, i wszyscy pozostali też się śmieją.

- Tak czy owak - rzekł prezydent przechodząc do tematu - jestem wam wdzięczny za waszą uprzejmość. I jestem tysiąckroć bardziej wdzięczny za waszą przebojowość w realizacji programu Człowieka Plus. Nie muszę nikomu tłumaczyć, ile on znaczy dla Wolnego Świata. Tam w górze jest Mars, jedyny wart posiadania kawałek nieruchomości w pobliżu, oprócz tego, na którym wszyscy stoimy w tej chwili. Z końcem obecnego dziesięciolecia będzie do kogoś należał. Są tylko dwie możliwości: Do nich albo do nas. I ja chcę, żeby do nas. A wy, tu obecni, właśnie doprowadzicie do tego, dając nam Człowieka Plus, który będzie żył na Marsie. W imieniu wszystkich żywych istot ludzkich demokratycznych krajów Wolnego Świata pragnę wam z całego serca i z całej duszy podziękować za urzeczywistnienie tego snu. A teraz - powiedział uciszając próbę huraganu grzecznościowych oklasków - myślę, że czas, żebym przestał gadać, a zaczął słuchać. Pragnę się dowiedzieć, co słyhać u naszego Człowieka Plus. Generale Scanyon, przekazuję panu pałeczkę.

Vern Scanyon był dyrektorem zakładu doświadczalnego Instytutu Medycyny Kosmicznej im. Grissoma. Był również generałem-majorem w stanie spoczynku i tak się zachowywał. Spojrzał na zegarek, zerknął na swojego zastępcę (którego czasami nazywał zastępcą dowódcy) dla pewności i rzekł:

- Za kilka minut komandor Hartnett zakończy rozgrzewkę. Może popatrzymy sobie na niego w wewnętrznej telewizji przez minutę. Następnie postaram się wprowadzić pana w to, co nastąpi.

W sali zgasły światła. Za podium rozjaśnił się ekran telewizyjny. Rozległo się szuranie krzesła, które jeden z "kelnerów" podsunął prezydentowi. Potem szept prezydenta. Krzesło zostało odsunięte z powrotem, prezydent skinął głową, jak cień w poświęceniach ekranu, i podniósł wzrok.

Ekran pokazywał człowieka.

Nie wyglądał on jak człowiek. Nazywał się Willy Hartnett. Był astronautą, demokratą, metodystą, mężem, ojcem, tympanistą-amatorem, cudownej lekkości tancerzem; ale dla oka nie przypominał żadnej z tych rzeczy. Dla oka był potworem. W ogóle nie przypominał człowieka. Zamiast oczu miał świecące kule z czerwonymi fasetami. Nozdrza otwierały się w fałdach ciała, podobne do kreciego ryja z gwiazdką nosa. Sztuczny naskórek miał barwę naturalnej, głębokiej opalenizny, lecz wygląd skóry przywołał na myśl nosorożca. Nic, co dało się w nim zobaczyć, nie przypominało tego, z czym się urodził. Oczy, uszy, płuca, nos, usta, układ krążenia, ośrodki percepcyjne, serce, skóra - wszystko zostało wymienione bądź wzmocnione. Zmiany rzucające się w oczy stanowiły zaledwie czubek góry lodowej. To, czego dokonano w jego wnętrzu, było o wiele bardziej złożone i o wiele ważniejsze. Został na nowo zbudowany tylko po to, żeby go przystosować do życia na powierzchni planety Mars bez korzystania z aparatury pomocniczej.

Był cyborgiem - organizmem cybernetycznym. Półczłowiekiem i pół-maszyną, a zrosły się te połówki tak, że Willy Hartnett widząc swoje odbicie w lustrze przy rzadkich okazjach, kiedy

pozwolono mu popatrzeć w lustro, sam nie wiedział, co z niego jest nim, a co mu dodano.

Mimo że niemal każdy z obecnych odegrał istotną rolę w stworzeniu cyborga, mimo że wszyscy byli zaznajomieni z jego fotografiami, obrazem telewizyjnym i nim samym osobiście, rozległo się stłumione westchnienie. Kamera uchwyciła go, jak z dziecinną łatwością machał pompki jedna za drugą. Ustawiono ją na wysokości jakiegoś metra od czubka nienaturalnie ukształtowanej głowy i gdy Hartnett prostował ramiona, jego oczy zrównując się z poziomem obiektywu rozbłyskiwały fasetami, które mu zwielokrotniały pole widzenia.

Wyglądał jak nie z tego świata. Wspominając dawne filmy z telewizyjnych seansów swego dzieciństwa Roger pomyślał, że jego stary kumpel wygląda dużo bardziej niesamowicie od wszelkich animowanych marchewek i zolbrzymiałych chrząszczy z filmów grozy. Hartnett pochodził z Danbury w Connecticut. Każdy prezentowany przez niego produkt rąk ludzkich pochodził z Kalifornii, Oklahomy, Alabamy bądź Nowego Jorku. Ale w żadnym nie było nic człowieczego ani nawet ziemskiego. Było coś marsjańskiego. W tym sensie, że forma jest pochodną funkcji, Hartnett był Marsjaninem. Został uformowany dla Marsa. W pewnym też sensie już tam był. Zakład Grissorna miał najwspanialsze naturalne komory marsjańskie na świecie i Hartnett machał swoje pompki na piaskach z tlenku żelaza, w komorze ciśnieniowej, w której ciśnienie gazu obniżono do dziesięciu milibarów, zaledwie jeden procent parcia zewnętrznego na podwójne szklane ściany. Temperatura otaczających go rozrzedzonych cząsteczek trzymała czterdzieści pięć stopni poniżej zera - stopni Celsjusza. Zespoły lampowych promienników dalekiego nadfioletu zalewały tę scenę właściwym widmem światła słonecznego w zimowy, marsjański dzień.

Wprawdzie miejsce pobytu Hartnetta nie było prawdziwym Marsem, ale było na tyle zbliżone, żeby zwieść samego Marsjanina - o ile kiedykolwiek istniało coś takiego jak Marsjanin - pod każdym względem prócz jednego. Pod każdym względem prócz tego jednego skorupiak Ras Thavasa czy Wellsa otrząsnąwszy się ze snu i rozejrzawszy dokoła stwierdziłby, że istotnie przebywa na Marsie, na średnich szerokościach geograficznych, późną jesienią, i za dnia, tuż po wschodzie słońca.

Tej jedynej anomalii po prostu nie dało się zaradzić. Hartnett podlegał ,normalnemu ciśnieniu Ziemi, a nie znikomej grawitacji właściwej powierzchni Marsa. Inżynierowie posunęli się do tego, że sporządzili kosztorys latania całej naturalnej komory marsjańskiej w odrzutowym konwertopłanie, spuszczanym po wyliczonej paraboli dla symulacji jednorazowo przez chociaż dziesięć do dwudziestu minut właściwej grawitacji marsjańskiej. Zrezygnowali z tego ze względu na koszt, a w dogłębnej analizie określili, uwzględnili i na koniec odpuścili wpływ tej jednej anomalii. Wszystko mogło nawalić w nowym ciele Hartnetta, ale tego, że okaże się zbyt słabe na wszelkie obciążenia, które mogą je spotkać, jakoś nikt się nie obawiał. Już teraz podnosił dwustupięćdziesięciokilogramową sztangę. Kiedy naprawdę trafi na Marsa, będzie w stanie udźwignąć ponad pół tony. Hartnett był w pewnym sensie potworniejszy na Ziemi, niż będzie na Marsie, gdyż jego telemetryczna aparatura wyglądała równie monstrualnie jak on sam. Poduszki czujników pomiarowych pulsu, ciepłoty i odporności skóry przylegały mu do ramion i głowy. Sondy sięgały pod twardą sztuczną skórę mierząc jego wewnętrzne prądy i oporności. Antena plecakowego nadajnika jeżyła mu się na grzbiecie jak miotła. Wszystko, co działo się w jego układzie, było nieustannie mierzone, kodowane i przekazywane na szerokopasmowe taśmy zapisujące.

Prezydent coś szeptał. Roger Torraway przyłapał się na tym, że wychylony podsłuchuje końcówkę:

- ...on słyszy, co tutaj mówimy?
- Nie, chyba że nas przełączą na jego sieć łączności - rzekł generał Scanyon.

- Uhm - mruknął prezydent, ale jeśli zamierzał cokolwiek powiedzieć, skoro cyborg nie słyszy, to zrezygnował.

W Rogerze obudził tym sympatię. Sam musiał ciągle uważać, co mówi, kiedy cyborg słuchał, i dobierać słowa, nawet kiedy biedaka Hartnetta nie było w pobliżu. Nie mieściło się w głowie, żeby cokolwiek, co pijało piwo i spłodziło dziecko, mogło być tak szkaradne. Wszystkie stosowne określenia były uwłaczające.

Cyborg sprawiał wrażenie, jakby nie miał nic przeciwko temu, żeby ciągnąć swe metronomiczne ćwiczenie bez końca, jednak ktoś podający tempo - "i raz, i dwa, i raz, i dwa" - przerwał i cyborg przerwał również. Powstał metodycznie i raczej powoli, jak gdyby ćwiczył krok nowego tańca. Odruchowym gestem, który już niczemu nie służył, otarł wierzchem gruboskórej dłoni swoje plastikowogładkie i pozbawione brwi czoło.

W ciemności Roger Torraway zmienił pozycję, żeby nie zasłaniał mu widoku sławetny orli profil prezydenta. Nawet w jego zarysie dostrzegł, że prezydent z lekka marszczy czoło. Roger opasał ramieniem żonę i zamyślił się nad tym, jak musi czuć się prezydent trzystu milionów Amerykanów w drażliwym i zdradliwym świecie. Siła płynąca w tym człowieku siedzącym - przed nim w ciemności mogła rzucać bomby termojądrowe w każdym najdalszym zakątku świata w ciągu dziewięćdziesięciu minut. Była ona siłą wojny, siłą kary, siłą pieniądza. Prezydencka siła powołała do życia program Człowieka Plus. Kongres nigdy nie debatował nad funduszami, jedynie w najogólniejszych zarysach wiedząc, co się dzieje: odpowiedni akt prawny nosił nazwę "Projekt ustawy o dodatkowych środkach na badanie przestrzeni kosmicznej do dyspozycji prezydenta".

Odezwał się generał Scanyon:

- Panie prezydencie, komandor Hartnett z przyjemnością zademonstruje panu niektóre możliwości swoich protez. Podnoszenie ciężarów, skok wzwyż. Czego pan sobie życzy.

- Och, napracował się dość jak na jeden dzień - uśmiechnął się prezydent.

- Tak jest. Zatem przejdziemy dalej, panie prezydencie. - Przemówił cicho do mikrofonu komunikatora i zaraz ponownie zwrócił się do prezydenta: - Dzisiejszy sprawdzian polega na demontażu aparatury telekomunikacyjnej i usunięciu z niej zwarcia w warunkach polowych. Czas tej operacji oceniamy na siedem minut. Grupa naszych zakładowych mechaników, którzy pracowali w swoich własnych warsztatach, mając do dyspozycji wszystkie swoje narzędzia, osiągnęła przeciętną około pięciu minut, więc jeśli komandor Hartnett dokona tego w zadowalającym czasie, będzie to bardzo dobre świadectwo sprawności motorycznej.

- Tak, rozumiem - rzekł prezydent. - Co on robi teraz?

- Właśnie czeka, panie prezydencie. Przerzucimy go na sto pięćdziesiąt milibarów, żeby słyszał i mówił nieco lepiej.

- Myślałem, że macie sprzęt do rozmawiania z nim w absolutnej próżni - zauważył bystro prezydent.

- Ach, no tak, panie prezydencie, mamy. Były z tym drobne kłopoty. W tej chwili nasza podstawowa metoda łączności w naturalnych warunkach marsjańskich jest wizualna, ale mamy nadzieję niebawem uruchomić system głosowy.

- Tak, dzielam tę nadzieję.

Na poziomie komory, trzydzieści metrów w dole pod salą, w której się znajdowali, magistrant na etacie laboranta w odpowiedzi na sygnał otworzył zawór - nie atmosfery zewnętrznej, lecz zbiorników naturalnego gazu marsjańskiego, mieszanki przygotowanej w wysokoprężnej cysternie. Ciśnienie stopniowo wzrastało z wysokim, opadającym gwizdem. Wzrost ciśnienia do poziomu stu pięćdziesięciu milibarów nie miał żadną miarą dobroczynnego wpływu na działania

Hartnetta. Jego przefasonowany organizm nie sobie nie robił z większości czynników środowiskowych. Równie dobrze znosił arktyczne wichry, jak i absolutną próżnię czy parny dzień na ziemskim równiku przy tysiącu osiemdziesięciu milibarach - do tego w powietrzu lepkiem od wilgoci. Równie dobrze czuł się i w jednym, i w drugim. A raczej równie niedobrze, gdyż Hartnett meldował, że jego nowe ciało boli go, piecze i szczypie. Tak samo mogli odkręcić zawory, przez które wdarłoby się powietrze z zewnątrz, tylko że wtedy trzeba by je całe wypompować do następnego sprawdzianu. Wreszcie gwizd umilkł i usłyszeli głos cyborga. Piszczął jak mechaniczna zabawka.

- Dziiiiękkiii. Zatrzymaiiiciiiiie to iijuz, dobrze?

Niskie ciśnienie płatało figle jego dykcji, zwłaszcza - że nie dysponował już prawdziwą tchawicą ani krtanią. Po miesiącu w roli cyborga mówienie stawało mu się obce, ponieważ tak czy owak odzwyczajał się od oddychania.

Zakładowy specjalista w dziedzinie systemów wizyjnych ponuro odezwał się zza pleców Rogera:

- Wiedzą, że te oczy nie są stworzone do nagłych skoków ciśnienia. Jak któreś z nich strzeli, będą mieli za swoje.

Roger wzdrygnął się w urojonym bólu, jak gdyby kryształowe ścianki gałki ocznej rozprysły mu się w oczodole. Jego żona roześmiała się.

- Tutaj jest miejsce, Brad - powiedziała uwolniwszy się z objęcia Rogera.

Roger machinalnie zrobił mu miejsce, nie odrywając oczu od ekranu. Głos odliczający czas mówił:

- Zaczynamy. Pięć. Cztery. Trzy. Dwa. Jeden. Start.

Cyborg niezgrabnie siadł w kucki nad płytą wejściową kanistra z oksydowanego metalu. Bez pośpiechu wsunął cienki jak żyłeczka śrubokręt w prawie niewidoczną szczelinę, wykonał dokładnie ćwierć obrotu, powtórzył ten ruch jeszcze raz w drugim miejscu i zdjął płytę. Grube palce delikatnie poprzebierały w różnobarwnym spaghetti przewodów wewnętrznych, odnalazły nadpalony kabel w czerwono-białe cukierkowe paski, odłączyły go, skróciły usuwając zwęgloną izolację, zdarły kawałek na końcówce, najzwyczajniej przeciągnawszy ją pomiędzy paznokciami, i przyłożyły do zacisku. Najdłuższym etapem operacji było czekanie, aż lutownica nagrzej się, co trwało ponad minutę. Potem nowe złącze zostało przylutowane, spaghetti z powrotem wepchnięte do środka, płyta na nowo założona i cyborg powstał.

- Sześć minut, jednaście i dwie piąte sekundy - zameldował głos, który odliczał czas.

Dyrektor programu pierwszy złożył ręce do oklasków. Po czym ppdniósł się i wygłosił krótkie przemówienie. Powiedział prezydentowi, że celem programu Człowieka Plus jest taka modyfikacja ludzkiego ciała, żeby mogło wyżyć na powierzchni Marsa równie łatwo i bezpiecznie, jak normalny człowiek może przejść się wśród łąnów pszenicy w Kansas. Przypomniał historię programu załogowych badań kosmicznych od lotu z prędkością podorbitalną poprzez stację kosmiczną do sondy poza sferę przyciągania Ziemi. Wymienił niektóre istotne dane o Marsie: powierzchnia lądu w rzeczywistości większa niż na Ziemi, pomimo mniejszej średnicy planety, jako że nie ma tam mórz, które zjadają ląd. Zakres temperatur odpowiedni dla życia, co prawda specjalnie zmodyfikowanego. Potencjalne bogactwa - bezmierne.

Prezydent wysłuchał z uwagą, chociaż znał, Bogiem a prawdą, każde słowo. Następnie zabrał głos:

- Dziękuję, generale Scanyon. Pozwólcie, że powiem tylko jedną rzecz. - Wspiął się na podium i uśmiechnął z zadumą do naukowców. - Gdy byłem chłopcem - zaczął - świat był prostszy. Główny problem sprowadzał się do tego, jak rodzącym się wolnym narodom Ziemi ułatwić wejście

do wspólnoty cywilizowanych krajów. Były to czasy Żelaznej Kurtyny. Byli oni, tam po ich stronie, w zamknięciu, pod kwarantanną. I my, cała reszta, po naszej. Cóż - ciągnął - wszystko się zmieniło. Wolny Świat przeżywa ciężkie chwile. Wystarczy, że wysuniemy nos poza nasz ojczyzny kontynent północnoamerykański, i co widzimy? Gdzie nie spojrzysz, dyktatury kolektywistów, poza paroma niedobitkami jak Szwecja czy Izrael. Nie jestem tu po to, aby odgrzebywać stare dzieje. Co się stało, to się nie odstanie i nie ma sensu szukać winnego. Wszyscy wiemy, kto stracił Chiny i oddał Kubę tamtej stronie. Wiemy, który to rząd doprowadził do upadku Anglii i Pakistanu. My nie mamy po co mówić o tych sprawach. My po prostu patrzymy w przyszłość.

I powiadam wam, panie i panowie - rzekł z wiarą - że przyszłość wolnej rasy ludzkiej spoczywa w waszych rękach. Może i mieliśmy trochę niepowodzeń tu na naszej ojczyznej planecie. To było i minęło. Możemy obrócić oczy na kosmos. Obracamy i coż my widzimy? Widzimy drugą Ziemię. Planetę Mars. Jak powiedział przed chwilą znakomity dyrektor naszego programu, generał Scanyon, Mars jest planetą większą od tej, na której przyszliśmy na świat, jeśli pominąć to, co nieistotne. I może należeć do nas. To właśnie tam leży przyszłość wolności, a wy możecie ją nam dać. Wiem, że dacie. Liczę na każdego z was.

Powiódł zamyślnym spojrzeniem wokoło, spoglądając każdemu w oczy. Charyzma starego Dasha dawała się odczuć na całej sali.

Po czym uśmiechnął się nagle, powiedział "Dziękuję wam". I odpłynął z falą agentów służby bezpieczeństwa.

Trzy

## Człowiek zostaje Marsjaninem

Był czas, kiedy planeta Mars wyglądała jak druga Ziemia. Astronom Schiaparelli patrzący przez swój mediolański teleskop "na słynną koniunkcję roku 1877 zobaczył coś, co mu wyglądało na ..kanaliki". Nazwał je "canali", co połowa piśmiennej ludzkości odebrała jako "kanały". W tym niemal wszyscy astronomowie, którzy z miejsca obrócili swoje teleskopy w tę samą stronę i odkryli więcej.

Kanały? Zatem musiały zostać wykopane w jakimś celu. Jakim celu? Dla ujęcia wody - tylko takie wyjaśnienie pasowało do faktów.

Nieodparta logika owego sylogizmu sprawiła, że przełom stulecia już prawie nie zastał niedowiarków na świecie. Za pewnik naukowy przyjęto posiadanie przez Marsa starszej, mądrzejszej niż nasza cywilizacji. Gdyby tylko móc się z nimi dogadać, coż za cudów moglibyśmy się nadowiadzać! Percival Lowell podumał nad blokiem rysunkowym i wystąpił z pierwszym podejściem. Narysujmy ogromne figury euklidesowe na piaskach Sahary - powiadał. Ułóżmy je z chrustu albo wykopmy rowy i wypełnijmy naftą. Potem którejś bezksiężycowej nocy, gdy Mars wzejdzie na afrykańskim niebie, podpalmy je. Tamte obce marsjańskie oczy na stałe, jego zdaniem, przyklejone do ich marsjańskich teleskopów, zobaczą. Rozpoznają kwadraty i trójkąty. Zrozumieją, że chodzi tu o nawiązanie kontaktu, i w swej dojrzałej mądrości znajdą sposób, żeby odpowiedzieć.

Nie wszyscy wierzyli tak bardzo i tak ślepo jak Lowell. Niektórzy powiadali, że Mars jest zbyt mały i zbyt zimny jak na kolebkę jakiegokolwiek wysoce inteligentnej rasy. Kopać kanały? Och, tak, to całkiem proste - wystarczy chłopska siła; rasa konająca z pragnienia świetnie poradziłaby sobie z wykopaniem rowów, nawet przeogromnych, nawet widocznych z międzyplanetarnych odległości, żeby utrzymać się przy życiu. Ale na coś więcej warunki naturalne były po prostu zbyt

surowe. Żyjąca tam rasa pewnie przypominała Eskimosów po wsze czasy uwieczonych w przedśmionku cywilizacji, ponieważ na zewnątrz ich lodowych chat świat jest aż tak wrogi, że nie daje im czasu na poznanie abstrakcji. Gdyby nasze teleskopy miały zdolność rozdzielczą pozwalającą wypatrzeć twarz marsjańskiego osobnika, ujrzelibyśmy jedynie zezwierzęconą maskę tępawego i głupawego pobratymca wołu, owszem, zdolnego do przerzucania ziemi i uprawy roli, ale nie mogącego aspirować do życia umysłowego.

Jednak czy rozumni, czy prymitywni jak zwierzęta, Marsjanie na Marsie byli - przynajmniej według opinii powszechnej w owych czasach.

Później zbudowano lepsze teleskopy i zostały odkryte lepsze metody interpretacji tego, co pokazywały. Do soczewek i zwierciadła dołączyły spektroskop i kamera. W oczach i rozumieniu astronomów Mars z każdym dniem przybliżał o krok bliżej. Z każdym krokiem, w miarę jak obraz samej planety wyostrzał się i przejaśniał coraz bardziej, obraz jej domniemanych mieszkańców stawał się coraz bardziej mglisty i coraz mniej realny. Za mało było tam powietrza. Za mało wody. Było za zimno. Kanały rozpadły się przy lepszej rozdzielczości teleskopów na szereg nieregularnych plam znaczących powierzchnię. Miasta, które powinny leżeć u ich zbiegu, nie istniały. Z chwilą pierwszych lotów Marinera rasa Marsjan, którzy nigdy nie żyli poza wyobraźnią istot ludzkich, umarła nieodwołalnie.

Nadal wydawało się, że może tam istnieć jakiegoś rodzaju życie, może prymitywne rośliny, nawet prymitywny gatunek płazów. Ale nic na podobieństwo człowieka. Na powierzchni Marsa istota oddychająca powietrzem i zbudowana głównie z wody jak człowiek nie przeżyłaby kwadransa.

Brak powietrza zabije ją najprędzej. Śmierć nastąpi nie w wyniku zwykłego uduszenia. Nie zdążyłoby do tego dojść. W dziesięciomilibarowym ciśnieniu na powierzchni Marsa krew jej zagotuje się i nastąpi agonia od czegoś w rodzaju zatorów gazowych przy chorobie kesonowej. Gdyby jakoś to przeżyła, wówczas umrze z braku powietrza. Gdyby przeżyła obie te rzeczy - z aparatem tlenowym na plecach i maską na twarzy podającą bezazotową mieszkankę gazów na jakimś pośrednim poziomie ciśnienia między normalnym ziemskim a marsjańskim - umrze i tak. Umrze od bezpośredniego promieniowania słonecznego. Umrze od skrajności marsjańskich temperatur - maksymalnej jak w ciepławy wiosenny dzień, minimalnej gorszej niż podczas arktycznej nocy polarnej przy najniższym spadku. Umrze z pragnienia. I gdyby zdołała jakimś cudem przeżyć to wszystko, umrze wolniej, lecz nieuchronnie, z głodu, jako że nigdzie na powierzchni Marsa nie ma ani kęsa strawy jadalnej dla ludzkiej istoty.

Istnieje jednak innego rodzaju argument niezgodny z wnioskami wysnutymi z obiektywnych faktów. Człowiek nie jest skrepowany obiektywnymi faktami. Jeśli są mu niewygodne, zmienia je lub obchodzi. Człowiek nie może żyć na Marsie. Ale-człowiek nie może żyć również na Antarktydzie. A żyje. Człowiek żyje w miejscach, w których powinien umrzeć, dzięki temu, że zabiera ze sobą łaskawsze dlań środowisko. Nosi przy sobie to, czego potrzebuje. Pierwszym wynalazkiem człowieka w tej dziedzinie jest odzież. Drugim dające się magazynować pożywienie, jak suszone mięso czy prażone ziarno. Trzecim ogień. Najnowszym całe szeregi urządzeń i systemów, które zapewniły mu dostęp do dna mórz i przestrzeni kosmicznej.

Pierwszą obcą planetą, na której człowiek postawił stopę, był Księżyc. Jest on jeszcze bardziej nieprzyjazny niż Mars z tego względu, że życiodajne zasoby, których Mars ma bardzo mało - powietrze, woda i pożywienie - na Księżycu w ogóle nie istnieją. Mimo to już w latach tysiąc dziewięćset sześćdziesiątych ludzie gościli na Księżycu, nosząc ze sobą w aparaturze zamontowanej na skafandrach kosmonautycznych lub wbudowanej w ładowniki powietrze, wodę i wszystko inne niezbędne. Stąd już wiodła prosta droga do większych układów. Ich budowa nie była łatwa z powodu

wchodzących w grę wielkości. Ale sprowadzała się jedynie do prostego powiększenia skali ku granicy półstałych bliskich samowystarczalności kolonii z obiegiem zamkniętym. Problem utrzymania tych pierwszych kolonii miał charakter czysto kwatermistrzowski. Na każdego człowieka potrzeba ileś ton zaopatrzenia; na każdy kilogram wystrzelonego w przestrzeń kosmiczną ładunku zużywa się paliwa i sprzętu wartości jakiegoś miliona dolarów. Ale było to do zrobienia.

Mars przynosił rzędy wielkości w jeszcze większej skali. Księżyc okrąży Ziemię w odległości zaledwie ćwierć miliona mil. Przy największym zbliżeniu Mars jest ponad sto razy dalej.

Mars jest nie tylko daleko od Ziemi, jest też bardziej niż Ziemia oddalony od Słońca. Podczas gdy Księżyc otrzymuje tyle samo energii co Ziemia na centymetr kwadratowy, Mars zgodnie z prawem odwrotności kwadratów dostaje zaledwie połowę tego.

Rakietę na Księżyc można z pewnego punktu na Ziemi wysłać o każdej godzinie każdego dnia. Lecz Mars i Ziemia nie krążą wokół siebie; krążą wokół Słońca, a ponieważ mają różne prędkości, czasami są niezbyt blisko, a czasami bardzo daleko. Jedynie wtedy, gdy znajdują się w najmniejszych odległościach, można skutecznie wysłać raketę z jednego na drugie, zaś te okazje zdarzają się zaledwie raz na dwa lata i trwają miesiąc z paroma tygodniami.

Nawet elementy wystroju Marsa, które upodabniają go bardziej do Ziemi, działają przeciwko utrzymaniu tam kolonii. Jest on większy od Księżyca, a zatem ma ciężenie bardziej podobne ziemskiemu. Lecz ponieważ jest większy i silniej przyciąga, rakietę potrzebuje więcej paliwa do wylądowania i więcej paliwa do ponownego startu.

To wszystko sprowadza się do tego, że kolonię na Księżycu można zaopatrywać z Ziemi. Kolonii na Marsie nie. Przynajmniej ludzkiej.

A gdyby tak więc przekształcić istotę ludzką?

Przypuśćmy, że bierzemy typowe ciało ludzkie i zmieniamy wybiórczo część jego wyposażenia. Na Marsie nie ma czym oddychać.. Zatem wyjmujemy płuca wymieniając je na zmikrominiaturyzowane regenerujące układy krakowania katalitycznego. Do tego potrzeba energii, lecz energia płynie z odległego Słońca.

Krew zagotuje się w typowym ludzkim ciele; w porządku, eliminujemy krew, przynajmniej z kończyn i płaszczyzn powierzchniowych, budując ramiona i nogi poruszane przez motory zamiast mięśni - i zachowując dopływ krwi jedynie do ciepłego, chronionego mózgu. Normalne ciało ludzkie potrzebuje pożywienia, lecz jeśli większość mięśni zastąpimy mechanizmami, zapotrzebowanie na pożywienie spadnie. To tylko mózg musi się odżywiać w każdej minucie dwadzieścia cztery godziny na dobę, na szczęście w kategoriach poboru energii mózg jest najmniej wymagającym z akcesoriów człowieka. Wykarmi się kromką chleba dziennie.

Woda? Nie jest już niezbędna, oprócz technicznych ubytków, jak uzupełnianie płynu w układach hamulcowych samochodu co dziesięć tysięcy kilometrów. Kiedy już zrobimy z ciała układ zamknięty, w ogóle nie trzeba go przepłukiwać wodą w obiegu picia, krążenia i wydalania bądź wypacania.

Promieniowanie? Problem obosieczny. W nie dających się przewidzieć okresach zdarzają się rozbłyski słoneczne i wówczas nawet na Marsie jest ono duże za duże dla zdrowia: musi być zatem takie ciało powleczone sztuczną skórą. Poza tym jest to normalne widzialne i ultrafioletowe światło słoneczne. Nie wystarcza go do utrzymania ciepłoty i niezupełnie wystarcza nawet dla dobrej widzialności, zatem musimy zadbać o większą powierzchnię pobierającą energię - stąd wielkie nietoperzowe uszy receptorów u cyborga - zaś dla zapewnienia jak najlepszej widzialności zastępujemy oczy konstrukcjami mechanicznymi.

Jeśli dokonamy tego wszystkiego z ludzką istotą; wówczas to, co pozostaje, już nie jest tak



dokładnie istotą ludzką. Jest to człowiek plus wielkie człony osprzętu elektronicznego. Człowiek staje się cybernetycznym organizmem: cyborgiem.

Pierwszym człowiekiem przerobionym na cyborga był prawdopodobnie Willy Hartnett. Nie jest to takie zupełnie pewne. Krążyły uporczywe pogłoski o eksperymencie chińskim, który powiódł się w początkowej fazie, po czym zawiódł. Ale nie ulegało raczej wątpliwości, że Hartnett jest przynajmniej jedynym cyborgiem pozostającym przy życiu w tym akurat momencie. Urodził się w typowy dla człowieka sposób i miał typową człowieczą postać przez trzydzieści siedem lat. Zaczął się zmieniać dopiero w ostatnich osiemnastu miesiącach. Z początku zmiany były pomniejsze i tymczasowe. Nie usunięto mu serca. Bocznikowano je tylko od czasu do czasu szpulowym wirnikiem z miękkiego plastiku, który przyczepiano mu do ramienia i z którym chodził przez tydzień za każdym razem.

Oczu również mu nie usunięto... wówczas. Zaklejano je tylko szczelnie rodzajem lepkiej przepaski, kiedy ćwiczył rozpoznawanie zawiłych kształtów świata, jakie odkrywała mu brzęcząca przenikliwie elektroniczna kamera połączona chirurgicznie z jego nerwem wzrokowym. Kolejno poddawano osobnym próbom układy mające uczynić zeń Marsjanina. I dopiero jak każde ogniwo zostało wypróbowane, wyregulowane i uznane za zadowalające, dokonano pierwszych trwałych zmian.

Nie były one prawdziwie trwałe. Hartnett trzymał się kurczowo tej obietnicy. Chirurdzy wyjaśnili to Hartnettowi, a Hartnett wyjaśnił to swojej żonie. Te wszystkie zmiany mogą być odwrócone i będą. Po wykonaniu zadania i szczęśliwym powrocie usuną osprzęt elektroniczny i zastąpią go z powrotem miękką, ludzką tkanką przywracając mu czysto ludzką postać. Hartnett rozumiał, że niedokładnie tę samą postać. Nie mogli przechować jego własnych narządów i tkanek. Mogli jedynie zastąpić je ekwiwalentami. Spece od przeszczepiania narządów i chirurgii plastycznej uczynią wszystko, co w ich mocy, żeby znowu wyglądał jak on, lecz nie miał co liczyć, że kiedykolwiek będzie mógł podróżować ze swoją starą fotografią w paszporcie.

Bardzo się tym nie martwił. Nigdy nie uważał się za przystojnego mężczyznę. Zadowalała go świadomość, że znowu będzie miał ludzkie oczy - nie swoje własne, rzecz jasna. Ale doktorzy obiecali, że będą one niebieskie i że znowu pokryją je powieki z rzęsami, i sądzili, że przy odrobinie szczęścia oczy te będą nawet płakać (z radości, jak przewidywał). Jego serce znowu stanie się mięśniem rozmiarów pięści. Będzie pompować czerwoną ludzką krew do wszystkich zakątków kończyn i tułowia. Mięśnie płuc zaczerpną powietrza do klatki piersiowej, gdzie naturalne, ludzkie pęcherzyki wchłoną tlen i uwolnią CO<sub>2</sub>. Wielkie nietoperzowe uszy receptorów (bardzo kłopotliwe, ponieważ ich siła nośna odpowiadała wymogom marsjańskiej, nie ziemskiej grawitacji, toteż bez przerwy odpadały i odsyłało je z powrotem do warsztatów) zostaną zdemontowane i znikną. Skórę skonstruowaną i dopasowaną z takim mozołem z równym mozołem zdejmą i zastąpią ludzką skórą, która poci się i porasta włosami. (Jego własna skóra nadal znajdowała się pod obcisłym sztucznym pokryciem, ale nie oczekiwał, by przeżyła eksperyment. Należało zahamować jej normalne funkcje na czas, jaki będzie musiała spędzić pod sztuczną powłoką. Było niemal pewne, że utraci zdolność ich pełnienia i trzeba ją będzie wymienić). Żona Hartnetta wymogła na nim jedno przyrzeczenie. Kazała mu przysiąc, że dopóki nosi cyborgową maskę przebierańca, nie pokaże się dzieciom na oczy. Na szczęście mieli dzieci na tyle małe, że jeszcze posłuszne, zaś współpracę w tej sprawie nauczycieli, przyjaciół, sąsiadów, rodziców kolegów szkolnych i wszystkich innych załatwiono rozpuszczeniem pogłoski o tropikalnej nekrozie i schorzeniach skóry, jakie dotknęły Hartnetta. Ludzie byli ciekawi, ale pogłoska zrobiła swoje i nikt nie nalegał, żeby tatuś Tereski przybył na zebranie komitetu

rodzicielskiego, ani żeby mąż Brendy pojawił się z nią na pieczeniu kiełbasek w ogródku.

Sama Brenda Hartnett próbowała nie oglądać męża, lecz na dłuższą metę ciekawość przemogła obawę. Dała się pewnego dnia przemycić do przedsionka komory, gdy Willy przechodził sprawdzian koordynacji jeżdżąc po czerwonych piaskach rowerem z miską wody na kierownicy. Don Kayman został z nią, w pełni przeświadczony, że zemdleje albo narobi wrzasku czy też dostanie torsji. Nie zrobiła żadnej z tych rzeczy zaskakując samą siebie nie mniej niż księdza. Cyborg za bardzo przypominał potwora z japońskiego filmu, żeby go brać na serio. Dopiero w nocy tak naprawdę skojarzyła nietoperzouszate, kryształookie stworzenie na rowerze z ojcem swych dzieci. Nazajutrz udała się do medycznego dyrektora programu i oświadczyła mu, że Willy do tej pory musi już zdychać bez jebania i że ona nie rozumie, dlaczego nie miałyby mu dogodzić. Doktor musiał jej wyjaśnić to, co Willy'emu nie mogło przejść przez usta - że przy obecnym stanie wiedzy musieli uznać te czynności za zbędne, więc je czasowo, hm, odłączyli.

Tymczasem cyborg odharowywał swoje sprawdziany i wyczekiwał każdej następnej raty bólu. Jego świat składał się z trzech części. Pierwszą stanowił apartament, w którym utrzymywano ciśnienie odpowiadające wysokości około dwóch tysięcy pięciuset metrów n.p.m., dzięki czemu personel programu mógł w razie potrzeby wchodzić i wychodzić bez większych kłopotów. Tutaj spał, kiedy mógł, i jadał to prawie nic, co dostawał. Zawsze był głodny, zawsze. Próbowali, lecz nie potrafili, wyeliminować łaknienia z jego zmysłów.

Drugą część tworzyła naturalna komora marsjańska, w której gimnastykował się i odbywał swoje sprawdziany tak, aby twórcy jego nowego ciała mogli obserwować w akcji to, co stworzyli. Trzecią zaś była niskociśnieniowa cysterna na kółkach dowożąca go z prywatnego apartamentu na arenę publicznych występów bądź gdziekolwiek indziej, dokąd udawał się przy rzadkich okazjach.

Naturalna komora marsjańska przypominała klatkę w zoo, w której przez cały czas wystawiany był na pokaz. Cysterna przewozowa nie dawała mu nic prócz oczekiwania na przeprowadzkę do czegoś innego. Jedynie małeńki dwupokojowy apartament, będący jego oficjalnym mieszkaniem, zapewniał mu w ogóle jakiegokolwiek wygody. Tam miał swój telewizor, swój odbiornik stereo, swój telefon, swoje książki. Tam wpadał do niego od czasu do czasu któryś z doktorantów lub jakiś kolega astronauta na partyjkę szachów albo na próbę pogawędki, w trakcie której piersi i płuca bezowocnie pracowały mu jak miechy wyniesione na dwupółkilometrową wysokość. Z utęsknieniem wyglądał tych wizyt i starał się je przeciągać. Kiedy nie miał przy sobie nikogo, był zdany na własne siły. Z rzadka czytał. Czasami siadywał przed telewizorem, obojętnie co w nim pokazywano. Najczęściej "odpoczywał". Tak to określał swoim nadzorcom, mając na myśli siedzenie lub leżenie z układem wzrokowym w stanie beczynności. Tak jakby czuł z zamkniętymi oczami. Jaśniejsze światło przenikało do jego zmysłów, podobnie jak nawet przez zamknięte powieki śpiącego; dźwięk przenikał natychmiast. W owych chwilach w jego mózgu wybuchała gonitwa myśli o seksie, jedzeniu, zazdrości, seksie, gniewie, dzieciach, nostalgii, miłości... aż wreszcie poprosił o pomoc i zrobiono mu kurs autohipnozy, która pozwalała mu wyprać umysł ze wszystkiego. Odtąd w stanie "odpoczynku" nie robił prawie nic, co wymagało świadomości, a przez ten czas jego układ nerwowy sposobił się do następnych doznań bólu, zaś mózg odliczał sekundy dzielące go od chwili, kiedy będzie miał swój lot za sobą i oddadzą mu z powrotem jego normalne ludzkie ciało.

Sporo było tych sekund. Wymnażał je dość często. Siedem miesięcy na orbicie do Marsa. Siedem miesięcy z powrotem. Po kilka tygodni przed i po na przygotowania do startu, a potem na sprawozdanie z wykonania zadania, zanim rozpoczną proces przywracania mu jego własnego ciała. Parę miesięcy - nikt dokładnie nie wiedział ile - na zabiegi chirurgiczne i zagojenie się

wymienionych narządów.

Liczba sekund według jego najlepszej oceny wynosiła około czterdziestu pięciu milionów. Plus minus jakieś dziesięć milionów. Czuł każdą z nich, jak nadchodzi, jak się dłuży i jak przemija z ociąganiem.

Psycholodzy usiłowali oszczędzić mu tego wszystkiego przez zaplanowanie mu każdej sekundy. Odrzucił te plany. Usiłowali zrozumieć go pomagając sobie pokrętnymi testami i zabawami skojarzeniowymi. Pozwolił im na wścibstwo, lecz w głębi swej jaźni utrzymał cytadelę intymności, do której nie dał im się wdrzeć. Hartnett nigdy nie miał ciągot do introspekcji, wiedział, że ma duszę szerokości kilometra, głęboką na centymetr i że pędzi żywot nie analizowany. I było mu z tym dobrze. Lecz teraz, gdy z tego, co własne, nie zostało mu już nic oprócz głębi duszy, strzegł jej. Czasami żałował, że nie umie analizować swego życia. Żałował, że nie potrafi zrozumieć swych motywów, które pchnęły go do tego, co zrobił.

Dlaczego zgłosił się na ochotnika do tego zadania? Chwilami usiłował sobie przypomnieć i wówczas dochodził do wniosku, że nie ma zielonego pojęcia. Czyżby dlatego, że Wolny Świat potrzebował marsjańskiej przestrzeni życiowej? Dla chwały z tytułu bycia pierwszym Marsjaninem? Dla pieniędzy? Dla stypendiów i przywilejów, jakie zape\*wniał przez to dzieciakom? Żeby zdobyć miłość Brendy?

Pewnie był to któryś z tych powodów, ale nie przypominał sobie który. O ile w ogóle kiedykolwiek wiedział.

Tak czy owak, spalił za sobą mosty. Pozwolił im zadawać jakie tylko zechcą okrutne, sadystyczne męczarnie swemu ciału. Wsiądzie na kosmiczny statek, który dowiezie go na Marsa. Zniesie te siedem trwających w nieskończoność miesięcy na orbicie. Wyląduje na powierzchni, odkryje, obejmie w posiadanie, pobierze próbki, obfotografuje, zbada. Po czym odleci z powierzchni Marsa, jakoś przeżyje siedmiomiesięczną drogę powrotną i udzieli im wszystkich informacji, jakich tylko zażądata. Przyjmie medale i oklaski, i wyjazdy z odczytami, i wywiady telewizyjne, i umowy na książki.

A potem odda się w ręce chirurgom, żeby doprowadzili go z powrotem do własnej postaci. Z tymi wszystkimi rzeczami pogodził się i miał pewność, że im podoła. Na jedno tylko pytanie nie znajdował jeszcze odpowiedzi w swym umyśle. Wiązało się ono z ewentualnością, na którą nie był przygotowany. Kiedy jako pierwszy zgłosił się do programu, powiedzieli mu bardzo szczerze i uczciwie, że problemy medyczne są złożone i nie do końca poznane. Będą musieli uczyć się na nim, jak sobie z niektórymi radzić. Istniała możliwość, że napotkają trudności z rozwiązaniem niektórych lub rozwiążą je błędnie. Istniała możliwość, że przywrócenie mu jego własnej postaci okaże się, no cóż, trudne. Powiedzieli mu to bardzo wyraźnie na samym początku i potem nigdy tego nie powtórzyli. Lecz on zapamiętał.

Ten nie rozwiązany przez niego problem dotyczył tego, co on zrobi, jeśli z jakiegoś powodu, już po zakończeniu całej misji, oni nie będą w stanie złożyć go niezwłocznie z powrotem. Nie potrafił się zdecydować, czy wówczas zabije tylko siebie, czy jednocześnie zabije również ilu tylko się da przyjaciół, zwierzchników i kolegów.

Cztery

Kompania kandydatów na karawaniarzy

Płk dymis. Lotnictwa Stanów Zjednoczonych, inż. mgr dr (honoris causa) Roger Torraway.

Obudził się tego ranka w chwili, gdy nocna zmiana kończyła próbny rozruch

fotoreceptorów cyborga. W trakcie korzystania z nich przez cyborga ostatnim razem dostrzeżono na monitorach nie zidentyfikowany spadek napięcia, jednak próba laboratoryjna niczego nie wykazała i niczego nie zauważono po ich rozebraniu. Zostało stwierdzone, że nadają się do użytku.

Roger źle spał. Jak straszna to odpowiedzialność być aniołem stróżem ostatniej rozpaczliwej nadziei ludzkości na wolność i godność. Obudził się właśnie z tą myślą w głowie: Roger Torraway jakąś swoją częścią - która ujawniała się najczęściej w snach - nie wyrósł z wieku dziewięciu lat. W tej części wszystko, co powiedział prezydent, brał za dobrą monetę, jakkolwiek sam Roger w swej świadomości nie wierzył, że ten Wolny Świat istnieje.

Ubierał się, zajęty roztrząsaniem w myślach dwóch stron medalu, co było jego ulubionym zajęciem. Przyjmijmy, że Dash gra uczciwie i podbój Marsa oznacza zbawienie ludzkości - myślał. - Co z drugą stroną medalu? - Zadumał się na Willym Hartnettem - przystojny (przynajmniej dopóki nie wzięli się za niego protetycy). O zręcznych dłoniach. Ale też i troszeczkę lekkoduch, jak mu się dobrze przyjrzeć. Jak nic w klubie przy sobocie wypije o ten jeden za dużo. Nie przepuści też cudzej żonie w kuchni podczas przyjęcia. Nie był bohaterem na żadną miarę, jakkolwiek by Roger przykładał. Ale kto jest? Przeleciał w myśli rezerwową listę cyborgów. Numer jeden: Vic Freibart, wojażujący aktualnie z wizytami kurtuazyjnymi u boku wiceprezydenta i tymczasowo wykluczony z sukcesji. Numer dwa: - Cari Mazzini - ma zwolnienie lekarskie, aż zrośnie mu się noga, którą złamał na Mount Snów. Numer trzy: on sam. W żadnym z nich nie uświadczysz ducha Valley Forge \*.[\* Zimowe leże jedenastotysięcznej armii Waszyngtona, która w tragicznych warunkach, bez ciepłej odzieży, butów i zaopatrzenia obozowała w tej okolicy po porażce nad Brandywine od 19 grudnia 1777 do 19 czerwca 1778 r. Od chorób, z zimna i głodu zmarło 3000 żołnierzy, wielu ledwo przeżyło.

W tym ciężkim położeniu szkolono oddziały t zreorganizowano armię, której żołnierze wykazali ogromny hart ducha i już w pierwszej bitwie o Filadelfię odnieśli zwycięstwo (Przyp. tłum.). ]

Nie budząc Dorki zrobił sobie śniadanie, wyprowadził z garażu poduszkowiec i zostawił go na jałowym biegu, sapiącego w boczne osłony, sam zaś poszedł zabrać ranną gazetę, którą cisnął w głąb garażu i zamknął za nią drzwi. Zaczepił go najbliższy sąsiad udający się na parking.

- Widział pan poranne wiadomości? Dash był w mieście wczoraj wieczorem. Jakaś konferencja na wysokim szczeblu.

- Nie - rzekł machinalnie Roger - dziś rano nie włączyłem telewizora.

Za to widziałem Dasha na własne oczy - pomyślał - i mógłbym zatkać ci gębę. Drażniło go, że nie może tego powiedzieć. Tajemnica służbowa stała się zmorą jego życia. Był przekonany, że jego ostatnie kłopoty z Dorką biorą się w połowie z faktu, że na przedpołudniowym sejmiku żon z sąsiedztwa i kawiarnianych bibach wolno jej było mówić o swoim mężu jako zaledwie o byłym astronautcie, obecnie urzędniku państwowym. Musiała kamuflować nawet jego podróże zagraniczne - "wyjechał z miasta", "w delegacji" - cokolwiek, byle nie: "Cóż, w tym tygodniu mój małżonek wyjechał na rozmowy z szefostwem sztabu lotnictwa Botswany". Buntowała się z początku. Nadal się buntowała, a przynajmniej żaliła na to Rogerowi dość często. Lecz o ile wiedział, nie naruszyła tajemnicy służbowej. A zorientowałyby się, gdyż wiadano już o trzech małżonkach wzywanych do raportu przed oblicze oficera kontrwywiadu do Instytutu.

Wsiadając do pojazdu Roger przypomniał sobie, że nie pocałował Dorki na pożegnanie. Pomyślał, że to właściwie bez znaczenia. Nie obudziłaby się, a zatem by nie wiedziała; gdyby się przypadkiem obudziła, miałyby pretensję, że ją budzi. Mimo wszystko nie lubił rezygnować z rytuału. Zasepiwszy się nad tym uruchamiał jednak pojazd, wprowadzając swój numer kodu na drogę do

Instytutu - poduszkowiec zaczął nabierać prędkości. Z westchnieniem Roger włączył telewizor i przez całą drogę do pracy oglądał aktualności.

Mgr dr filozofii, ks. Donnelly S. Kayman, członek Towarzystwa Jezusowego. Kiedy w Kaplicy Marii Panny u św. Judy zaczynał celebrować mszę, trzy mile od niego po drugiej stronie Tonki cyborg - połykał żarłocznie ten jedyny posiłek przysługujący mu tego dnia. Miał trudności z przeżuwaniem, ponieważ z braku wprawy poranił sobie dziąsła, a i ślina jakby nie napływała już tak obficie, jak należało. Jednak cyborg jadł z entuzjazmem, nie wspominając nawet o programie sprawdzianu na ten dzień, a skończywszy zapatrzył się smętnie w pusty talerz.

Don Kayman był trzydziestojednoletnim mężczyzną i największym na świecie autorytetem w areologii (innymi słowy specjalistą od planety Marsa) - przynajmniej w Wolnym Świecie. (Kayman przyznałby, że stary Parnow z Instytutu Szkłowskiego w Nowosybirsku także wie co nieco).

Był również jezuitą. Troskliwie i z radością podniósł hostię, wypił wino, wyrzekł ostateczne "redempt", rzucił okiem na zegarek i gwizdnął. Robiło się późno. Zrzucił szaty w rekordowym czasie. Klepnął meksykańskiego chłopca ministranta, który wyszczerzył zęby w uśmiechu, i otworzył przed nim drzwi. Lubili się: Kayman uważał nawet, że ten chłopak sam może zostanie i księdzem, i naukowcem pewnego dnia.

Już w sportowej koszuli i spodniach Kayman wskoczył do swego kabrioletu. Tradycyjnego, na kołach - w miejsce fartucha poduszkowca - którym można nawet zjechać ze sterowanych autostrad. Ale dokąd by tu zjechać z autostrady? Wykręcił numer Instytutu, włączył główne baterie i wsadził nos w gazetę. Mały samochodzik sam wypełził na autostradę, znalazł przerwę w ruchu, śmignął w nią i z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę poniósł go do pracy.

Wiadomości w gazecie były przeważnie złe, jak zwykle. W Paryżu MSZ przypuścił kolejny atak na pokojową konferencję w Chandrigar. Izrael odmówił wycofania się z Kairu i Damaszku. Piętnasty już miesiąc stanu wojennego w Nowym Jorku nie uchronił przed zasadzką konwoju Dziesiątej Dywizji Strzelców Górskich, który usiłował przekraść się przez most Bronx-Whitestone na odsiecz garnizonowi Shea Stadium; piętnastu żołnierzy zginęło, a konwój zawrócił do Bronxu.

Kayman ze smutkiem odłożył gazetę. Przekrzywił do siebie lustro wsteczne, podkręcił boczne okna, żeby nieco osłonić się od podmuchu, i zaczął przyczesywać długie do ramion włosy. Dwadzieścia pięć razy z każdej strony - był to dla niego niemal taki sam rytuał co msza święta. Ponownie miał je czesać w dniu dzisiejszym, ponieważ umówił się na obiad z siostrą Klotyldą. Siostra była już w połowie przekonana, że pragnie poprosić o zwolnienie od pewnych ślubów, a Kayman był gotów podejmować z nią tę dyskusję tak szybko, tak często i tak długo, jak będzie trzeba.

Ponieważ miał krótszy dojazd, zjechał przed Instytut tuż za Rogerem Torrawayem. Razem wysiedli, wprowadzili swoje samochody w system parkujący i pojechali na górę do sali odpraw tą samą windą.

Zastępca dyrektora T. Gamble de Bell. Kiedy sposobił się do podkręcenia swego naczelnego personelu na porannej odprawie, o trzydzieści metrów od niego cyborg leżał na brzuchu goły i z rozkrzyżowanymi ramionami i nogami. Na Marsie miał jadać wyłącznie treściwe pożywienie i w znikomej ilości. Na Ziemi uważano za konieczne zachować przynajmniej minimalne działanie jego układu wydalniczego, mimo trudności wynikających ze zmian skóry i metabolizmu. Hartnett był wdzięczny za jedzenie, ale nienawidził lewatywy.

Dyrektorem programu był generał. Dyrektorem naukowym wybitny biofizyk, który pracował z Wilkinsem i Paulingiem; dwadzieścia lat temu przestał robić w nauce i zaczął robić za

grubą rybę, bo właśnie w tym były pieniądze. Ani jeden, ani drugi nie mieli wiele do czynienia z pracą samego Instytutu, tylko z powiązaniem między jego pracownikami a owymi ukrytymi w cieniu grubymi rybami z zewnątrz, które obsługiwały maszynkę do robienia pieniędzy. Całą brudną robotę w dziennym rozkładzie zajęć odwałwał właśnie zastępca dyrektora.

Dziś z samego rana miał już plik notatek i sprawozdań i już je przeczytał.

- Szyfr na wizję - polecił nie podnosząc wzroku znad pulpitu.

Groteskowy profil Willy'ego Hartnetta nad nim na ekranie rozplynał się w linie, jak wypuszczone z garści bierki, potem przeszedł w śnieg, wreszcie odtworzył się w swych właściwych zarysach. (Dało się zobaczyć tylko głowę. Ludzie w sali odpraw nie widzieli, jakie ponizienie znosił Willy, jakkolwiek większość z nich doskonale wiedziała. Figurowało to w dziennym rozkładzie zajęć). Obraz nie był już kolorowy. Jego siatka stała się teraz rzadsza, sam obraz mniej stabilny. Za to zabezpieczony obecnie przed obcym wywiadem (na wypadek, gdyby jakiś szpieg podłączył się do zamkniętej sieci telewizyjnej), a w portretowaniu Hartnetta jakoś obrazu nie miała ostatecznie prawie żadnego znaczenia.

- W porządku - rzekł zastępca dyrektora - słyszeliście Dasha wczoraj wieczorem. Nie przybył tutaj, żeby zdobyć wasze głosy, on żąda czynów. Ja też. Nie chcę więcej widzieć żadnej fuszerki, jak z tymi zasranymi fotoreceptorami. - Przełożył kartkę. - Poranny komunikat bieżący - przeczytał. - Wszystkie układy komandora Hartnetta działają bez zarzutu, z wyjątkiem trzech. Po pierwsze, sztuczne serce nie reaguje tak, jak powinno, na dłuższy wysiłek w niskich temperaturach. Po drugie, układ zdolności rozróżniania barw odbiera słabo częstotliwości wyższe, od średniego niebieskiego; jestem tym szczególnie rozczarowany, Brad - wtrącił podnosząc wzrok na Aleksandra Bradleya, specjalistę od układów percepcyjnych oka. - Wiesz, że tutaj jesteśmy ograniczeni do możliwości ultrafioletu. Po trzecie, środki łączności. Wczoraj wieczorem musieliśmy przyznać się do tego w obecności prezydenta. Nie był tym zachwycony i ja też nie jestem. Ten laryngofon nie działa. Praktycznie nie mamy naturalnego łącza głosowego w normalnym ciśnieniu marsjańskim i jeśli nie znajdziemy jakiegoś rozwiązania, będziemy musieli powrócić do zwykłych systemów wizualnych. Osiemnaście miesięcy poszło na marne. - Powiódł spojrzeniem po sali, zatrzymując je na kardiologu. - No dobrze. Co z krążeniem?

- To sprawa narastania ciepła - powiedział Fineman broniąc się. - Serce działa idealnie. Chcecie, żebym je przystosował do absurdalnych warunków? Mogę, ale będzie wysokie na dwa i pół metra. Zróbcie porządek z bilansem cieplnym. Skóra zamyka się w niskim temperaturach i przestaje przewodzić. Poziom tlenu we krwi oczywiście spada i serce oczywiście przyspiesza. Od tego jest. Czego chcecie? Inaczej by zemdlął, może nawet nastąpić niedotlenienie mózgu. A wtedy co?

Wysoko ze ściany pokoju spoglądała beznamiętna twarz cyborga. Zmienił pozycję (teraz siedział już po lewatywie, po wyniesieniu basenu). Roger Torraway niezbyt zainteresowany .dyskusją, która z żadnej strony nie zahaczała o jego specjalność, z zadumą wpatrywał się w cyborga. Ciekawiło go, o czym myśli pocziwiec Willy słysząc, jak mówią o nim w taki sposób. Roger zadał sobie trud dotarcia do poufnych testów psychologicznych Hartnetta, żeby zaspokoić swą ciekawość w tej materii, lecz niewiele z nich wynikało. Dla Rogera było zupełnie jasne, dlaczego. Ich wszystkich tak maglowano testami w tę i w tę, że posiadli oni znaczne umiejętności w udzielaniu na pytania testów takich odpowiedzi, jakie egzaminatorzy chcieli usłyszeć. Chyba każdy w Instytucie musiał wprawić się w tym do tego czasu - czy to rozmyślnie, czy po prostu na zasadzie wyćwiczenia odruchu. Pomyślał, że cudowni byliby z nich pokerzyści, wspominając z uśmiechem partie pokera z Willym. Ukradkiem puścił oko do cyborga i podniósł kciuk w górę. Hartnett nie zareagował. Nie sposób było zorientować się po fasetach tych rubinowych oczu, na co on patrzy.

- ...nie można znowu zmieniać skóry - upierał się dermatolog. - Już swoje waży. Jeśli dołożymy więcej czuciowych efektorów, będzie miał wrażenie, że stale tkwi w skafandrze pletwonurka.

Nieoczekiwanie zahuczało w monitorze. Cyborg przemówił.

- A iiii jak myślliiicie, zzzze czuję sssię terasss, do kurwy nędzy?

Wszyscy na sali zamilkli, uświadamiając sobie, że rozmawiają o żywej osobie.

- Tym bardziej - dermatolog podjął wreszcie z uporem. - Chcielibyśmy ścienić ją, uprościć, ująć jej trochę wagi. A nie komplikować.

Zastępca dyrektora podniósł rękę.

- Załatwcie to obaj między sobą - nakazał oponentom. - Nie mówcie mi, czego nie możecie zrobić, ja wam mówię, co musimy zrobić. Twoja kolej, Brad. Co z tym okrojeniem widzenia?

Alex Bradley rzekł beztrasko:

- Nie ma sprawy. Zrobi się. Ale posłuchaj, Willy, przykro mi, lecz to oznacza znowu przeszczep. Wiem, co nawala. To coś w siatkówkowym układzie przekazującym: przepuszcza dodatkowe częstotliwości. Sam układ jest w porządku, tylko...

- No to zrób tak, żeby było dobrze - rzekł zastępca dyrektora spoglądając na zegarek. - Co powiedzą fuszerzy łączności?

- To do oddechowców - odezwał się elektronik. - Jeśli dadzą nam ciut więcej powietrza w płucach, damy Hartnettowi jakiś głos. Układy elektroniczne są świetne, po prostu nie ma dla nich żadnego przewodnika.

- Wykluczone! - krzyknął pulmonolog. - Zostawiliście nam zaledwie pięćset mililitrów pojemności w tej chwili! On zużywa to W dziesięć minut. Setki razy ćwiczyłem z nim, jak ma oszczędzać...

- Nie mógłby choć szeptać? - spytał zastępca dyrektora. Po czym, gdy łącznościowiec zaczął gędzić o częstotliwościach, dodał: - Załatwcie to, zgoda? Jeśli idzie o wszystkich pozostałych, jest dobrze. Tylko nie osiadajcie na laurach. - Zamknął notatki w plastikowej teczce i wręczył ją swemu asystentowi. - To by było na tyle - rzekł. - A teraz pozwólcie, że przejdę do ważnego zagadnienia. - Odczekał, aż się uspokoją. - Prezydent był tu wczoraj wieczorem dlatego, że został ustalony termin docelowy startu. Przyjaciele, zaczęło się dla nas odliczanie.

- Kiedy? - krzyknął jakiś głos.

Zastępca dyrektora podjął:

- Jesteśmy już w Programie Separacji Statków Kosmicznych. Musimy zakończyć nasze dzieło, przez co rozumiem, przyjaciele, dosłownie zakończyć: doprowadzić Hartnetta do optymalnych osiągnięć, tak żeby mógł faktycznie żyć na Marsie bez odsyłania do warsztatów, gdy coś nawali - na okres okna startowego w przyszłym miesiącu. Czas startu jest ustalony na godzinę ósmą zero zero dnia dwunastego listopada. To daje nam czterdzieści trzy dni, dwadzieścia dwie godziny i jakieś parę minut. Nie więcej.

Na chwilę zapadła cisza, po czym podniosła się wrzawa. Nawet wyraz twarzy cyborga zmienił się dostrzegalnie, jakkolwiek nikt nie potrafiłby powiedzieć, na jaki. Zastępca dyrektora ciągnął dalej:

- To jeszcze nie wszystko. Data jest ustalona, nie da się jej zmienić, musimy się wyrobić; chcę wam teraz powiedzieć dlaczego. Światła poproszę.

Światła na sali przygasły i zastępca dyrektora nie czekając na znak rzucił przezrocze na ścianę w końcu sali, gdzie wszyscy mogli je widzieć, nawet cyborg ze swej odległej celi.

Przedstawiało siatkę współrzędnych, z szeroką, czarną krechą biegnącą po przekątnej w górę do czerwonej linii. Jaskrawopomarańczowe litery tworzyły nagłówek: ŚCIŚLE TAJNE. TYLKO DO WGLĄDU.

- Pozwólcie, że wyjaśnię, co widzicie - rzekł zastępca dyrektora. - Czarna przekątna jest funkcją dwudziestu dwóch tendencji i wskaźników w zakresie od bilansu kredytów międzynarodowych po rozmiary maltretowania amerykańskich turystów przez zagranicznych urzędników państwowych. Miarą jest prawdopodobieństwo wybuchu wojny. Czerwoną linię na górze oznaczono D.W., co, mogę wyjaśnić, jest skrótem od Działań Wojennych. Nie ma tu pewności. Ale statystycy mówią nam, że na górnej granicy prawdopodobieństwo wybuchu wojny w czasie sześciu godzin wynosi dziewięć dziesiątych, a jak widzicie, zbliżamy się do niej.

Gwar ucichł. W sali zrobiło się jak w grobie. Wreszcie ktoś zapytał:

- Jaka jest skala czasu?

- Dane sięgają trzydziści pięć lat wstecz - rzekł zastępca dyrektora.

Napięcie nieco zelżało. Biała przerwa na górze musiała oznaczać co najmniej parę miesięcy, nie minut. Wtem odezwała się Katarzyna Doughty:

- Czy gdzieś na tym widać, z kim czeka nas ta wojna?

Zastępca dyrektora zawahał się, po czym odpowiedział ostrożnie:

- Nie, tego nie ma na wykresie, lecz mniemam, że każdy z nas może sobie to dośpiewać. Chętnie podzielę się tu swoimi domysłami. Jeśli czytacie gazety, wiecie, że Chiny prawią bajki o zwiększonej produkcji żywności, jaką mogłyby dać światu stosując techniki uprawy z prowincji Sinkiang w australijskim interiorze. Cóż, bez względu na to, na co ta banda quislingów w Canberze skłonna jest wyrazić zgodę, jestem święcie przekonany, że nasz rząd nie wpuści Żółtków. W każdym razie jeśli chce utrzymać mój głos do następnych wyborów.

- To tylko moja prywatna opinia - dodał po chwili - do waszej prywatnej wiadomości; proszę tego nie protokołować. Nie znam żadnego oficjalnego stanowiska, a nawet gdybym znał, to i tak bym nie powiedział. Wszystko, co wiem, już wiecie i wy. Tendencja nie wygląda zbyt różowo. Obecnie wykazuje aż za szybko rosnące prawdopodobieństwo eskalacji konfliktu nuklearnego. Ekstrapolacja krzywej daje prawdopodobieństwo dziewięć dziesiątych w niecałe siedem lat. Co oznacza - dodał - że jeśli do tego czasu nie będziemy mieli zdatnej do przeżycia kolonii marsjańskiej, możemy nie dożyć tego, żeby ją w ogóle mieć.

Inż. elektryk, dr med., dr ppłk (dymis.) Rezerwy Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych, Aleksander Bradley. Kiedy opuszczał konferencję zmieniając strokany na potrzeby odprawy wyraz twarzy na bardziej naturalne, szczerze rozradowane oblicze dla świata, cyborga dekompresowano w naturalnej komorze marsjańskiej. Jego opiekunowie byli nieco zaniepokojeni. Wprawdzie nie umieli odczytywać emocji z jego twarzy, to jednak umieli je wyczytać z jego serca, oddechu i objawów życiowych, które telemetrycznie płynęły do nich niepowstrzymanym strumieniem, i wychodziło na to, że cyborg znajduje się w stanie pewnego załamania nerwowego. Zaproponowali mu przełożenie sprawdzianu, lecz odmówił ze złością.

- Czystszysz nie wiecie, że prawie mamy wojnę? - zapytał piskliwie i nie odpowiadał na ponowne nagabywania. Zdecydowali się przeprowadzić testy, a zaraz po ich ukończeniu ponownie przebadac jego profil psychiczny.

W wieku dziesięciu lat Aleksander Bradley stracił ojca i lewe oko. W niedzielę po Dniu Dziękczynienia całą rodziną wracali samochodem z kościoła. Chwycił przymrozek. Ranna rosa zamarzła powlekając drogę niewyczuwalnie cienką gładzią. Ojciec Brada prowadził z wielką



ostrożnością, ale samochody jechały przed nim, samochody jechały za nim, samochody jechały mu naprzeciw drugim pasmem dwukierunkowej drogi: zmuszony był utrzymywać określoną prędkość i odpowiadał półsłówkami na odzywki członków rodziny. Był uważny, ale nie był dość uważny. Kiedy nadciągnęła katastrofa, nie mógł nic zrobić, żeby jej uniknąć. Siedzący na przednim siedzeniu obok ojca Brad miał wrażenie, że jadąca z naprzeciwka furgonetka powoli i spokojnie zjeżdża w lewo, jak gdyby brała zakręt. Tylko że nie było tam dla niej miejsca na skręt. Ojciec Brada przycisnął hamulec i nie puszczał. Ich samochód zwolnił i wpadł w poślizg. I przez parę sekund chłopiec siedział i patrzył, jak tamten samochód bokiem sunie wprost na nich, a oni sami łagodnym ślizgiem nieuchronnie wpadają wprost na niego. Był w tym i majestat, i nieśpieszność, i nieuchronność. Nikt nic nie powiedział - ani Brad, ani jego ojciec, ani matka Brada na tylnym siedzeniu. Nikt nic nie zrobił, poza tym, że zastygli w skamieniałych pozach, niczym aktorzy w żywym obrazie Ministerstwa Komunikacji. Ojciec siedział milczący i wyprostowany za kierownicą, w skupieniu zapatrzony w tamten samochód. Kierowca tamtego samochodu z pytaniem w szeroko rozwartych oczach spoglądał przez ramię w ich stronę. Żaden z nich nie drgnął do chwili zderzenia. Nawet na lodzie tarcie ich hamowało i nie mogli poruszać się z wiele większą wypadkową prędkością niż czterdzieści kilometrów na godzinę. Tyle wystarczyło. Obaj kierowcy zginęli - ojciec Brada został wbity na kolumnę kierownicy, tamtemu ucięło głowę. Brad z matką, mimo zapiętych pasów, doznali złamań, ran i stłuczeń, jak również obrażeń wewnętrznych; ponadto ona straciła na zawsze władzę w lewym nadgarstku, zaś jejsyn stracił oko. W dwadzieścia trzy lata później śniło mu się to nadal, jak gdyby wydarzyło się dopiero co. We śnie serce stawało mu w gardle ze strachu i budził się zlany potem i z krzykiem, i bez tchu.

Nie wszystko poszło na straty. Odkrył, że za cenę oka zyskał niemało. Po pierwsze, ubezpieczeniową premię za życie ojca i okaleczenie każdego z uczestników wypadku. Po drugie okaleczenie ustrzegło go przed wojskiem, a pozwoliło mu wstąpić do Piechoty Morskiej w cywilnym zasadniczo charakterze, kiedy potrzebował praktyki w swej specjalności. Po trzecie, zapewniło mu dogodny pretekst do unikania co głupszych niebezpieczeństw i co bardziej kłopotliwych powinności wieku młodzieńczego. Nigdy nie musiał wykazywać swej odwagi w brutalnych sportach i zawsze bywał zwalniany z tych wszystkich ćwiczeń, których nie cierpiał najbardziej. I - po czwarte, a zarazem najważniejsze, otrzymał za darmo wykształcenie. Zgodnie z postanowieniami Pomocy Dzieciom Upośledzonym w ramach systemu opieki społecznej w jego rodzinnym stanie zapewniono mu utrzymanie przez całą szkołę, uniwersytet i studia doktoranckie. Zyskał cztery stopnie naukowe, co uczyniło zeń jednego z największych na świecie specjalistów od układów percepcyjnych oka. Per saldo była to korzystna transakcja. Nawet uwzględniając stratę poniesioną przez matkę, która ostatnie dziesięć lat życia spędziła w stanie miernego cierpienia i niezmiernego rozstroju nerwowego.

Brad wylądował w programie Człowieka Plus, ponieważ nikogo lepszego by nie dostali. Wybrał sobie pracę w Piechocie Morskiej, ponieważ nigdzie by łatwiej nie znalazł obiektów doświadczalnych spreparowanych przez odłamek pocisku, szkocki miecz obosieczny i filipiński kordelas w szpitalach polowych Tanzanii, Borneo i Cejlonu. Pracę jego dostrzeżono na wysokich szczeblach hierarchii wojskowej. Brada nie przyjęli - oni go powołali.

Nie był pewien jedynie, czy Człowiek Plus jest akurat tym najlepszym, co jemu mogło się trafić. Innych do programu kosmicznego przyciągnął splendor lub apele do poczucia obowiązku. Z Bradleyem sprawa miała się zupełnie inaczej. Jak tylko pojawił, do czego zmierza człowiek przybyły z Waszyngtonu, roztoczyły się przed nim widoki i perspektywy. To był nowy tor. Oznaczał rezygnację z pewnych planów, odroczenie innych. Ale widział, dokąd go doprowadzi: za trzy, powiedzmy, lata udziału w opracowywaniu układów optycznych cyborga czeka go światowa sława. Po czym rzuci

program i wkroczy na bezkresne, soczyste pastwiska prywatnej praktyki; Na sto tysięcy Amerykanów stu ośmiu ma z natury całkowitą utratę funkcji w jednym lub obojgu oczach. Dawało to w sumie ponad trzysta tysięcy potencjalnych pacjentów, z których wszyscy, jak jeden mąż, chcieliby leczyć się u najlepszego specjalisty. A praca przy programie Człowieka Plus automatycznie kreuje go na najlepszego fachowca w tej dziedzinie. Będzie miał swoją prywatną klinikę przed czterdziestką. Niewielką. Akurat w sam raz, żeby mógł nadzorować ją osobiście w każdym drobiazgu i poprowadzić przy pomocy młodszego personelu przez siebie wyszkolonego i pracującego pod jego kierunkiem. Przyjmowałby do, och, może pięciuset, a może sześciuset pacjentów rocznie - jeden procent ewentualnych pacjentów. Jaka to będzie część? Przynajmniej połowa to ci od najgrubszych portfeli i najłżejszej ręki do wydawania pieniędzy. Oraz, rzecz jasna, margines na działalność charytatywną. Przynajmniej ze stu rocznie - za darmo wszystko, nawet telefony u wezłowia. Za to kilkaset tych, którzy mogą zapłacić, zapłaci słono. Klinika Bradleya (w jego uszach pobrzmiwało to już równie szacownie i dystyngowanie co "Menningera") będzie wzorem dla służby zdrowia na całym świecie i przyniesie mu cholerną kupę szmalu.

Nie była to wina Bradleya, że z tych trzech lat zrobiło się ponad pięć. I nawet nie jego działka programu spowodowała te opóźnienia. Przynajmniej nie większość z nich. Tak czy inaczej, nadal był młody. Odejdzie z programu mając przed sobą dobre trzydzieści lat pracy, chyba że zdecyduje się na wcześniejszą emeryturę, może zatrzymując stanowisko konsultanta i pakiet akcji Kliniki Bradleya. Praca zaś w programie kosmicznym miała też swoje inne plusy: wielu jego współpracowników pożeniło się z bardzo atrakcyjnymi kobietami. Bradleya nie interesował ożenek, lecz bardzo lubił posiadać żony.

Wróciwszy do siedmiopokojowego królestwa swojej pracowni Brad podkreślił swych podwładnych, żeby zapewnić gotowość nowego ogniwa mediacyjnego siatkówki do transplantacji w ciągu tygodnia, po czym spojrzął na zegarek. Jeszcze nie było jedenastej. Wykręcił numer Torrawaya i po chwili miał go na linii.

- Idziesz na lunch, Róg? Chciałbym z tobą pogadać o tym nowym przeszczepie.

- Och, niestety, Brad. Bardzo żałuję. Ale co najmniej trzy najbliższe godziny przesiedzę w komorze z Willym Hartnettem. Może jutro.

- Zatem do jutra - rzekł Brad wesolutko i odłożył słuchawkę. Nie był zaskoczony; sprawdził już wcześniej harmonogram Torrawaya. Był za to zadowolony. Oznajmił swojej sekretarce, że udaje się na konferencję poza Instytutem, a potem na lunch i że wróci po drugiej, po czym wezwał samochód. Wprowadził do niego współrzędne skrzyżowania z uliczką, na której mieszkał Roger Torraway. Na której mieszkała Dorka.

Pięć

Potwór ponownie zostaje  
śmiertelnikiem

Kiedy Brad pogwizdując odjechał, radio w jego samochodzie było pełne wiadomości ze świata. Dziesiąta Dywizja Strzelców Górskich wycofała się na umocnione pozycje w Riverdale. Tajfun zniszczył zbiory ryżu w południowo-wschodniej Azji. Prezydent Deshatine polecił delegacji Stanów Zjednoczonych opuścić debatę Narodów Zjednoczonych nad podziałem zasobów deficytowych.

Było wiele wiadomości, które nie znalazły się w przecież dźwiękowym jedynie radiu albo dlatego, że siewcy wiadomości ich nie znali, albo nie uznali ich za ważne. Nie padło, na przykład,

ani jedno słowo na temat dwóch chińskich dżentelmenów bawiących z pewną misją w Australii, ani na temat wyników pewnych tajnych badań popularności, które prezydent trzymał w sejfie, ani na temat testów robionych Willy'emu Hartnettowi. Zatem Brad nie usłyszał o żadnej z tych rzeczy. Gdyby usłyszał i pojął ich doniosłość, wzięłby to sobie do serca. Bo nie był po prostu człowiekiem bez serca. Ani złym. Brad nie był po prostu szczególnie dobrym człowiekiem.

Od czasu do czasu wyływała owa kwestia, kiedy, na przykład, nadszedł czas pozbycia się dziewczyny lub odtrącenie przyjaciela, który pomagał mu w drodze na szczyt. Od czasu do czasu spotykał się z zarzutami. Wówczas uśmiechał się i wzruszał ramionami, i zwracał uwagę, że ten świat nie należy do sprawiedliwych. Lancelot nie zwyciężył we wszystkich turniejach. Od czasu do czasu zły czarny rycerz zrzucał go na ziemię. Bobby Fisher nie był najsympatyczniejszym szachistą na świecie, tylko najlepszym. I tak dalej.

Tak więc Brad wyznałby, że nie jest ideałem człowieka wedle norm społecznych. I rzeczywiście nie był. Coś w nim skrzywiło się w dzieciństwie. Guz egoizmu na jego czasce zrobił się tak wielki, że Bradley widział cały świat z perspektywy tego, co może z niego mieć. Wojna z Chinami? Zaraz, zobaczymy - kalkulował - z pewnością przyniesie mnóstwo zabiegów operacyjnych: może dochrapię się własnego szpitala. Kryzys światowy? Pieniądze ulokował w ziemi uprawnej; ludzie zawsze będą jeść.

Zachwycający to on nie był. Niemniej jednak był na tym świecie najlepszym człowiekiem do zrobienia tego, czego cyborg potrzebował: chodziło mianowicie o wyposażenie Willy'ego Hartnetta w ogniwo pośrednie między bodźcem a interpretacją. Co sprowadza się do tego, że pomiędzy widzianym przez cyborga przedmiotem a wnioskami, jakie z tego wyciąga jego mózg, musi gdzieś znajdować się faza, w której zostają odsiane zbędne informacje. Inaczej cyborg by po prostu zwariował.

Żeby zrozumieć, na czym to polega, weźmy taką żabę. Wyobraźmy sobie żabę jako funkcjonalną maszynę do robienia żabich dzieci. Jest to Darwinowski punkt widzenia i do tego właściwie sprowadza się cała teoria ewolucji. Żeby osiągnąć swój cel, żaba musi utrzymać się przy życiu tak długo, aż osiągnie dojrzałość i zajdzie w ciążę albo postara się, aby samica zaszła w ciążę. To znaczy, że musi robić dwie rzeczy. Musi jeść. I musi nie dać się zjeść. Jak na kręgowca, żaba jest tępowym i prymitywnym stworzeniem. Ma mózg, jednak niewielki ani też skomplikowany. Mózg żaby nie ma nadmiaru pojemności na swawole, a zatem nie marnuje jej na to, co nieistotne. Ewolucja jest zawsze oszczędna. Samce żaby nie pisują wierszy ani nie zadreńczają się obawami o niewierność żab samic. Nie pragną też rozmyślać o sprawach bezpośrednio nie związanych z utrzymaniem się przy życiu.

Oko żaby jest równie proste. W oczach ludzkich istnieją złożoności, o jakich żabom się nie śniło. Przypuśćmy, że człowiek wchodzi do pokoju, w którym znajduje się stół, na stole talerz, a na talerzu befsztyk z frytkami; nawet gdyby ten człowiek utracił słuch, smak i węch, to skusi się na jedzenie. Jego oko zatrzyma się na befsztyku. Jest w oku takie miejsce zwane "plamką żółtą", taki fragment, którym osobnik widzi najwyraźniej, i właśnie to miejsce naprowadza na cel. U żaby tego nie ma; jeden fragment jej oka jest równie dobry jak każdy inny. Czy równie zły. Ponieważ interesującą właściwością widzenia przez żabię oko tego, co dla żaby jest odpowiednikiem befsztyka - mianowicie robaka na tyle dużego, żeby wart był połknięcia, lecz na tyle małego, żeby sam nie próbował połknąć - jest to, że żaba nie widzi jedzenia, o ile jedzenie nie zachowuje się jak jedzenie. Zasympy żabę najpożywniejszymi pasztetami z siekanych insektów, jakie potrafimy wypichcić - zdechnie z głodu. Chyba, że napatoczy się biedronka.

Dziwne to zachowanie zaczyna nabierać sensu, jeśli zastanowić się nad tym, jak żaba

żeruje. Żaba wypełnia bardzo zgrabną niszę ekologiczną. W stanie naturalnym nikt nie zaśmieca owej niszy siekanym pasztetem. Żaba zjada insekty, więc to, co żaba widzi, to są insekty. Jeśli przez jej pole widzenia przemyka coś, co ma właściwy insektowi rozmiar i porusza się z właściwą insektowi prędkością, żaba nie debatuje, czy jest głodna, czy nie, ani który insekt jest smaczniejszy. Zjada go. Po czym powraca do czekania na następnego.

W laboratorium jest to cecha samobójcza. Można oszukać żabę strzępkiem materiału, kawałkiem drewnianka na sznurku, czymkolwiek, aby tylko poruszało się odpowiednio i miało właściwą wielkość. Będzie to jadła i zagłodzi się na śmierć. Ale w naturze takich oszustw nie ma. W naturze tylko owady poruszają się jak owady, a każdy owad jest żabim obiadem. Nietrudno zrozumieć tę zasadę. Opowiedz o tym naiwnemu koledze, a on odpowie: "Ano, tak, rozumiem. Żaba po prostu ignoruje wszystko, co nie wygląda jak owad". Bzdura! Nic podobnego. Żaba nie ignoruje nieowadopodobnych obiektów. Ona ich po prostu nie widzi. Podłącz się do nerwu optycznego żaby i z wolna przeciągnij przed nią kamyk - za duży, za powolny - a żaden instrument nie złowi impulsu nerwowego. Bo go nie będzie. Oko nie sili się, żeby "widzieć" to, o czym żaba nie chce wiedzieć. Ale machnij przed nią zdechłą muchą, a czujniki aparatu pomiarowego już drżą, nerw przekazuje informację, język żaby strzela i chwytą.

I tak dochodzimy do cyborga. Otóż rola Bradleya sprowadzała się do tego, że wprowadził pomiędzy rubinowe skomplikowane oczy a udreżony ludzki mózg Willy'ego Hartnetta ogniwo pośrednie, które filtrowało, tłumaczyło i porządkowało wszelkie wzrokowe sygnały wejściowe cyborga. "Oko" widziało wszystko, nawet w ultrafioletowej części widma, nawet w podczerwieni. Mózg nie potrafił poradzić sobie z tak szerokim strumieniem impulsów. Mediacyjne ogniwo Bradleya kasowało zbędne bity. Jego konstrukcja stanowiła szczytowe osiągnięcie, gdyż Bradley naprawdę był wyjątkowo dobry na tym jednym polu, na którym był dobry. Lecz nie było go na miejscu, żeby to zainstalować. Tak więc dlatego, że Bradley miał randkę, i również dlatego, że prezydent Stanów Zjednoczonych musiał pójść do ubikacji, a dwaj Chińczycy, Sing oraz Sun, zapragnęli poznać smak pizzy, inaczej potoczyła się historia świata.

Jerry Weidner, pierwszy asystent Bradleya, kierował powolnym, zmuśnym procesem przestawiania układów wzrokowych cyborga. Robota miała charakter mrówczej dłubaniny. Jak wszystko, przez co musiał przejść, stanowiła dla Willy'ego Hartnetta skrajną udrękę. Czuciowe nerwy powiek dawno już zostały usunięte, w przeciwnym razie dniem i nocą przeszywałby go okrutny ból. Mimo to odczuwał, co się dzieje - jeśli nie jako ból, to jako irytującą świadomość, że ktoś wodzi ostrymi narzędziami po bardzo wrażliwych fragmentach jego anatomii. Obecnie jego widzenie utrzymywano w stanie spoczynku, toteż "widzają" jedynie mgliste, poruszające się cienie. Całkiem dosyć. Nienawidził tego. Leżał tak przez ponad godzinę, podczas gdy Weidner i spółka majstrowali przy potencjometrach, notowali odczyty, gadali do siebie cyframi, które są językiem ludzi techniki. Kiedy już wreszcie zadowolili ich natężenie pola jego układu widzenia i pozwolili mu wstać, o mało nie runął bez ostrzeżenia.

- Zzzasssrańsstwo - warknął. - Zzzznów kręciek.

Zaniepokojony i przybity Weidner rzekł:

- No dobrze, lepiej poprośmy o zbadanie tych zawrotów głowy.

Zatem wszystko opóźniło się o dalsze pół godziny, kiedy to ekipy od równowagi badały jego odruchy, aż, wybuchnął:

- O Jezzu, odwalcie sssię. Mogę sssstać na jednej nodzzze przezzz nasstępane dwadzzzieścia godzzzin, no i co zzz tego?

Ale trzymali go mimo wszystko na tej jednej nodze i mierzyli, na ile potrafi zbliżyć koniuszki palców, mając widzenie w stanie spoczynku. Ekipy od równowagi uznały się następnie za usatysfakcjonowane, ale nie Jerry Weidner. Zawroty głowy zdarzały się już poprzednio i nigdy nie ustalono ich przyczyn w przekonujący sposób: czy należało ich szukać we wbudowanym mechanicznym horyzoncie, czy w prymitywnych, naturalnych kostkach strzemiączka i kowadełka w uchu. Weidner nie miał pewności, że to się bierze z systemu mediacyjnego, za który sam ponosił szczególną odpowiedzialność, ale też i nie miał pewności, że się nie bierze. Pragnął, żeby Brad wrócił do cholery ze swego długiego lunchu.

W tym czasie na drugiej półkuli przebywali ci dwaj Chińczycy imieniem Sing oraz Sun. Nie są to postacie ze świńskich kawałów. Takie nosili imiona. Pradziadek Singa zginął na lufie rosyjskiej armaty po nieudanej próbie przepędzenia białych diabłów z Chin, podjętej przez Pięści Sprawiedliwego Ładu. Ojciec spłodził go podczas Długiego Marszu i zginął przed jego urodzeniem w walce z żołnierzami sprzymierzonego z Czang Kajszeziem generała. Sam Sing miał już dziewięćdziesiąt lat. Ścisnął dłoń Towarzysza Mao i zawracał Żółtą Rzekę dla jego następców, teraz zaś nadzorował największy w swojej karierze projekt hydrotechniczny w australijskim mieście Fitzroy Crossing. Była to jego pierwsza dłuższa podróż poza terytorium Nowej Ludowej Azji. Wiązał z nią trzy pragnienia: zobaczyć nie oceniany film pornograficzny, wypić flaszkę szkockiej, która pochodzi ze Szkocji, a nie z Ludowej Prowincji Honsin, i skosztować pizzy. Ze swoim towarzyszem Sunem na początek nieźle pociągnął szkockiej, wywiedziały się, gdzie obejrzeć film i właśnie przymierzał się do pizzy.

Sun był dużo młodszy - jeszcze przed czterdziestką - i mimo wszystko cierpiał na szacunek dla wieku swego towarzysza. Nie bez znaczenia był również fakt, że Sun stał kilka szczebli niżej w hierarchii społecznej od starszego Chińczyka, jakkolwiek bezsprzecznie był wschodzącą gwiazdą technoprzemysłowego skrzydła Partii. Sun wodził przez okrągły rok ekipę kartograficzną po całej Wielkiej Pustyni Piaszczystej i właśnie wrócił. To nie był sam piasek. To była gleba - dobra, orna, żyzna gleba, której brakowało jedynie w śladowych ilościach paru elementów i wody. To, co Sun naniósł na mapę, obrazowało skład chemiczny gleby na obszarze trzech milionów kilometrów kwadratowych. Sunowa mapa gleby plus Singowy wielki napowietrzny akwedukt z czternastoma wielkimi stacjami pomp o napędzie jądrowym miały się równać nowemu życiu dla tych milionów kilometrów kwadratowych pustyni. Chemiczne dodatki + destylowana za pomocą energii słonecznej woda z dalekiego oceanu = dziesięć zbiorów rocznie dla stu milionów Nowoaustralijczyków chińskiego pochodzenia.

Projekt został skrupulatnie przestudiowany i zawierał tylko jeden słaby punkt. Starzy Nowoaustralijczycy, produkt prokreacyjnych zapędów z okresu po II wojnie światowej, nie chcieli, żeby Nowi Nowoaustralijczycy przybyli uprawiać tę ziemię. Chcieli jej dla siebie. Wchodząc do pizzerii Danego przy głównej ulicy Fitzroy Crossing Sun z Singiem natknęli się na wychodzących z niej dwóch Starych Nowoaustralijczyków, niejakiego Kościankę i niejakiego Gradeczka, którzy na nieszczęście rozpoznali Singa z fotografii w gazetach. Rozległy się wyzwiska. Chińczycy rozpoznali zapach zwiędzonego piwa i uznawszy, że to zwykła pijacka zaczepka, usiłowali wejść, ale Kościanko z Gradeczkiem wypchnęli ich za drzwi na ulicę. Ruszyła karuzela wojny i dziewięćdziesięcioletnia czaszka Singa rozprysła się o krawężnik. W tym momencie Sun wyciągnął pistolet, którego w świetle prawa w ogóle nie posiadał, i zastrzelił obu napastników.

Zwykła pijacka burda. Policja z Fitzroy Crossing radziła sobie z tysiącami gorszych zbrodni i poradziłaby sobie i z tą, gdyby dano jej szansę. Ale to się na tym nie skończyło, bo jedna z kelnerek, Nowa Nowoaustralijka rodem z Honanu, rozpoznała Suna, odkryła, kim był Sing, podniosła

słuchawkę i zadzwoniła do Agencji Prasowej Nowych Chin przy konsulacie w Lagrange, hen na wybrzeżu, informując, że jeden z największych uczonych Chin został brutalnie zamordowany. W dziesięć minut sieć satelitarna rozniosła niezbyt trzymającą się faktów, lecz niezwykle barwną wersję tej historii po całym świecie.

Nie minęła godzina, jak Ambasada Nowej Ludowej Azji w Canberze zażądała spotkania z ministrem spraw zagranicznych w celu wręczenia mu noty protestacyjnej, spontaniczne demonstracje w Szanghaju, Sajgonie, Hiroszynie i kilkunastu innych miastach NLA rozkręciły się na całego, zaś pół tuzina satelitów szpiegowskich przesuwano na orbitach kierując je nad północno-zachodnią Australię i morza Wysp Sundajskich. Dwie mile od wejścia do portu Melbourne wypłynął na powierzchnię morza wielki szary kształt i kołysał się na falach, nie nadając żadnych sygnałów i na żadne nie odpowiadając przez ponad dwadzieścia minut. Po czym przedstawił się jako podwodny okręt atomowy NLA "Wschód Jest Czerwony" płynący z oficjalną kurtuazyjną wizytą dyplomatyczną do zaprzyjaźnionego portu. Wiadomość odebrano w porę, by odwołać wydany Królewskim Siłom Powietrznym Australii rozkaz ataku lotniczego na nie zidentyfikowanego intruza, lecz mało brakowało.

Pod Pueblo w Kolorado prezydent Stanów Zjednoczonych został wyrwany ze swej poobiedniej drzemki. Siedział na krawędzi łóżka z niesmakiem sącząc czarną kawę, kiedy wmaszerował oficer łącznikowy Ministerstwa Obrony z meldunkiem o sytuacji i wiadomością, że ogłoszono stan gotowości bojowej zgodnie z ustalonymi posunięciami dawno już zaprogramowanymi w Sieci Dowództwa Obrony Ameryki Północnej. Miał już meldunki z satelitów oraz raport z miejsca wypadku od wojskowego przedstawicielstwa w Fitzroy Crossing: wiedział o pojawieniu się okrętu podwodnego "Wschód Jest Czerwony", ale jeszcze nie wiedział, że atak lotniczy został odwołany. Podsumowując te informacje oznajmił prezydentowi:

- Teraz tylko albo strzelać, albo nie, sir. DOAP jest za odpaleniem z pięćdziesięciminutową opcją na przerwanie zadania.

- Niedobrze mi - burknął prezydent. - Co oni wczoraj włożyli do tej cholernej zupy?

W tym akurat momencie Dash nie miał głowy do myślenia o Chinach: dopiero co śniła mu się poufna ankieta, która wykazała spadek jego popularności do siedemnastu procent, włączając w to zarówno oceny "doskonałe", jak i "zadowolające", przy sześćdziesięciu jeden procentach określających jego rządy jako "słabe" lub "wysoce niezadowolające". To nie był sen. Poranna odprawa polityczna tego właśnie dotyczyła. Odsunął od siebie filiżankę z kawą i ponuro zadumał się nad decyzją, której podjęcia żądano teraz od niego - od niego jedyne na całym świecie. Wystrzelić pociski na główne miasta Nowej Ludowej Azji - byłaby to teoretycznie decyzja odwracalna: można przerwać ich lot w każdej chwili przed wejściem w atmosferę, rozbroić zapalniki, pozwolić im spaść nieszkodliwie do morza. W praktyce jednak stacje NLA wykryją start rakiet i kto wie, co zrobią te zwariowane chińskie sukinsyny? W brzuchu czuł coś takiego, jakby lada chwila miał powić bliźnięta, i wszystko wskazywało, że się porzyga. Jego pierwszy sekretarz powiedział z naganą:

- Doktor Stassen radził panu przecież nie jeść już więcej kapusty, sir. Chyba powinniśmy pouczyć kuchmistrza, żeby już więcej nie gotował kapuśniaku.

- Nie chcę teraz kazań. No dobrze, posłuchaj. Stać w obecnej gotowości bojowej i czekać moich dalszych rozkazów. Żadnego odpalania. Żadnego odwetu. Zrozumiano?

- Tak jest, sir. - rzekł urzędnik Departamentu Obrony z żalem. - Sir? Mam kilka konkretnych zapytań, od DOAP, od programu Człowiek Plus, od admirała głównodowodzącego Strefy Południowo-Zachodniej Pacyfiku...

- Słyszałeś, co powiedziałem! Żadnego odwetu. Wszystko inne - w ruch.

Jego pierwszy, sekretarz rozjaśnił tę kwestię za niego.

- Nasze oficjalne stanowisko: - rzekł - ten incydent w Australii jest sprawą wewnętrzną i nie dotyczy Stanów Zjednoczonych. Nasza płaszczyzna działania nie ulega zmianie. Utrzymujemy w ruchu wszystkie systemy, lecz nie podejmujemy żadnego działania. Czy dobrze to ująłem, panie prezydencie?

- Tak - rzekł Dash ochryple. - A teraz radźcie sobie beze mnie przez dziesięć minut. Muszę iść do klozetu.

Brad nawet i pomyślał, żeby zadzwonić i dowiedzieć się, jak idzie operacja oko za oko, lecz prysznic z dziewczyną sprawiał mu prawdziwą przyjemność, te wszystkie figle podczas wzajemnego namydlania się, zaś arsenał łazienki w Chero-Strip obejmował kulki olejku kąpielowego, bąbelki piany i cudownie puszyste ręczniki. Zrobiła się trzecia, nim zdecydował się pomyśleć o powrocie do pracy. A wówczas było już dużo za późno.

Weidner starał się uzyskać zgodę na przełożenie testów u dyrektora, który nie chciał tego zrobić na własną odpowiedzialność, spychając sprawę na Waszyngton, gdzie zapytano sekretariat prezydenta i otrzymano odpowiedź: "Nie, nie możecie, wykluczone, powtarzam: nie możecie przekładać tych ani żadnych innych testów".

Udzielającym tej odpowiedzi człowiekiem był pierwszy sekretarz prezydenta, który mówił to oglądając projekcję "ryzyka wojny" na ścianie najprywatniejszego gabinetu prezydenta. Nawet kiedy to mówił, szeroka, czarna wstęga pięła się coraz stromiej ku czerwonej linii.

Zabrali się więc do tego testu - Weidner z zaciśniętymi ustami i marsem na czole. Szło im całkiem dobrze dopóty, dopóki nie zaczęło iść naprawdę bardzo źle. Roger Torraway przebywał myślami gdzieś daleko, kiedy usłyszał, że przyzywa go "cyborg. Przekroczył służbę i w wysokościowym skafandrze kompensacyjnym oraz masce tlenowej stanął na czerwieniejących piaskach.

- O co chodzi, Willy? - zapytał.

Wielkie rubinowe oczy zwróciły się ku niemu.

- Ja... Ja cię nie widzę, Roger! - zapiszczał cyborg. - Ja... ja...

Runął i zgasł. Tak nagle i po prostu. Zanim Roger zrobił choć krok w jego stronę, poczuł, jak wali weń potężny, huczący młot powietrzny i potykając się poleciał na rozciągnięty poczwarny kształt.

Z warunków atmosferycznych panujących na wysokości dwóch tysięcy pięciuset metrów Don Kayman wpadł rozpaczliwym biegiem do normalnej komory marsjańskiej. Nie czekał na służowanie. Jedne i drugie drzwi zostawił otwarte. Nie był już naukowcem. Przy powykręcanej powłoce tego, co było Willym Hartnettem, ukląkł kapłan.

Roger patrzył szeroko rozwartymi oczami, jak Don Kayman dotyka rubinowych oczu, czyni znak krzyża na syntetycznym ciele, szepcze coś, czego Roger nie słyszy. Nie chce usłyszeć. Ale wie, co się dzieje. Na jego oczach pierwszy kandydat na cyborga otrzymuje w tej chwili ostatnie namaszczenie. Pierwszym rezerwowym był Vic Freibert, zdjęty z listy na rozkaz prezydenta. Kandydatem numer dwa był Carl Mazzini, wykluczony z powodu złamanej nogi. Trzecim kandydatem i nowym Championem jest on.

Sześć

Śmiertelnik w śmiertelnej trwodze

Niełatwo istocie ludzkiej z krwi i ciała pogodzić się ze świadomością, że część tego ciała zedrą z niej i zastąpią stałą, miedzią, srebrem, plastikiem, aluminium i szkłem. Widziałyśmy, że Torraway zachowuje się irracjonalnie. Z wielkim pośpiechem szedł korytarzem, jak gdyby miał najbardziej nagłą sprawę. Nie miał żadnej sprawy, poza tym, żeby dać stąd nogę. Korytarz wydawał mu się pułapką. Czuł, że nie zniósłby tego, gdyby ktokolwiek podszedł doń i uzałił się nad Willym Hartnettem albo potwierdził nową sytuację samego Torrawaya. Mijając męską toaletę przystanął, rozejrzał się - nikt na niego nie zwracał uwagi - i wszedłszy do środka stanął przy pisuarze, gapiąc się niewidzącymi oczami na połyskliwe chromy. Kiedy ktoś pchnął drzwi, Torraway odstawił cały cyrk z zaciąganiem rozporka i spuszczeniem wody, ale był to jedynie chłopak z hali maszyn, który spojrzał na niego bez zainteresowania i skierował się do kabiny.

Przed drzwiami męskiej toalety złapał go zastępca dyrektora.

- Cholernie parszywa historia - rzekł. - Wiesz chyba, że jesteś...

- Wiem - rzekł Torraway, zadowolony z opanowania w swoim głosie.

- Trzeba będzie szybko dojść, co się stało. Zbieramy się u mnie w gabinecie za dziewięćdziesiąt minut. Dostaniemy wstępne wyniki autopsji. Chcę, żebyś tam był.

Roger skinął głową, spojrzał na zegarek i zgrabnie odmaszerował. "Pomyślał, że najważniejsze to nie stać w miejscu, udawać tak zajętego, żeby mu nie przeszkadzano. Niestety nie przychodziło mu na myśl nic takiego, co mógłby robić czy chociażby udawać, że robi, aby opędzić się od rozmów. Nie - uświadomił sobie - nie rozmów. Od myśli chciał się opędzić, od myślenia o sobie. Nie bał się. Nie kłął losu. Po prostu nie był przygotowany, by spojrzeć na osobiste dla niego konsekwencje śmierci Willy'ego Hartnetta, nie w tej chwili...

Podniósł wzrok: ktoś wołał go po imieniu. To Jon Freeling, asystent Brada od układów percepcyjnych, który poszukiwał swego szefa.

- No, nie - rzekł Torraway ucieszony, że rozmawia o czymś innym niż śmierć Willy'ego czy jego własna przyszłość. - Nie wiem, gdzie jest. Chyba wyszedł na lunch.

- Dwie godziny temu. Dadzą mu popalić, jeśli nie znajdę go przed tym spotkaniem u zastępcy. Sam chyba nie odpowiem na te wszystkie pytania na poczekaniu, a nie mogę iść go szukać, bo akurat przenoszą cyborga do mojej pracowni i muszę...

- Ja ci go znajdę - rzekł pośpiesznie Torraway. - Zadzwońię do domu.

- Próbowałem. Nic z tego. I nie zostawił numeru, pod którym można go złapać.

Torraway puścił oko, odczuwając nagłą ulgę, zachwycony, że może przyjąć to wyzwanie.

- Znasz Brada - powiedział. - Wiesz, że ten chłopak żadnej kiecce nie przepuści. Już ja go znajdę.

I wsiadłszy do windy wjechał na piętro administracyjne, minął dwa zakręty korytarza i zastukał do drzwi z tabliczką "Dział Statystyki". Praca ludzi za tymi drzwiami miała bardzo mało wspólnego ze statystyką. Drzwi nie otworzyły się od razu: zamiast nich otworzył się judasz i wyjrzało błękitne oko.

- Pułkownik Torraway, w pilnej sprawie.

- Chwileczkę - odpowiedział dziewczęcy głos: rozległ się łoskot i zgrzytanie, po czym drzwi otwarto i dziewczyna go wpuściła. W pokoju siedzieli jeszcze czterej inni osobnicy, wszyscy w cywilnych ubraniach i raczej niepozorni z wyglądu, tak jak chcieli wyglądać. Każdy miał staroświeckie biurko z żaluzjowym zamknięciem blatu, mebel, jakiego nikt się nie spodziewa w nowoczesnym biurze agencji kosmicznej. Żaluzje można było zaciągnąć w mgnieniu oka kryjąc to, co leży na biurkach; właśnie były zaciągnięte.

- Chodzi o doktora Aleksandra Bradleya - powiedział Roger. - Jest pilnie potrzebny za



jakaś godzinę, a jego ludzie nie mogą go znaleźć. Komandor Hartnett nie żyje i...

- Wiemy o komandorze Hartnetcie - powiedziała dziewczyna. - Chce pan, żebyśmy odszukali panu doktora Bradleya?

- Nie, sam się tym zajmę. Ale mam nadzieję, że podpowiecie mi, gdzie zacząć poszukiwania. Wiem, że macie nas wszystkich na oku, wiecie, co robimy poza programem i w ogóle.

W samej rzeczy nie puścił do niej oka, lecz to oko słycać było w jego głosie. Dziewczyna przez chwilę przyglądała mu się z powagą.

- Jest prawdopodobnie...

- Zaczekaj - zawołał mężczyzna przy biurku za jej plecami; głos miał zaskakująco gniewny.

Pokręciła głową, zrywając go nawet bez spojrzenia.

- Proszę sprawdzić w hotelu Chero-Strip Hover - powiedziała. - Zwykle używa nazwiska Beckwith. Radzę panu zatelefonować. Może lepiej będzie, jeśli my to zrobimy, ze względu na...

- Och, nie - rzekł beztrosko Torraway, zdecydowany nie wyręczać się nikim. - Muszę sam z nim porozmawiać.

Młody mężczyzna odezwał się stanowczo:

- Doktorze Torraway, naprawdę radzę, żeby pan nam pozwolił to załatwić...

Lecz on już wycofywał się za drzwi, już się kłaniał, już nic nie słyszał. Postanowił nie zawracać sobie głowy telefonowaniem, tylko pojechać do tego motelu, przynajmniej ważny powód, żeby wyrwać się z Instytutu i zebrać myśli.

Na zewnątrz klimatyzowanych budynków Instytutu Tonka pławiła się w coraz większym upale. Słońce przenikało nawet przyciemnioną przednią szybę, wypełniając samochód żarem, który opierał się układowi chłodzenia. Nie mając wprawy Torraway prowadził ręcznie z taką nieudolnością, że przednie koła wpadały w poślizg przy braniu zakrętów. Motel - piętnaście pięter wysokości i jedna tafla szkła - zdawał się kierować promienie słoneczne prosto na niego, jak wojownicy Archimedesza broniący Syrakuz. Z przyjemnością wysiadł na podziemnym parkingu i pojechał na górę ruchomymi schodami do holu. Hol był tej samej wysokości co budynek, zamknięty ze wszystkich stron, z pokojami zawieszonymi dokoła i z krzyżówką pomostów i galerii w powietrzu. Recepcjonista nigdy nie słyszał o doktorze Aleksandrze Bradleyu.

- Sprawdź Beckwitha - poradził Torraway podsuwając banknot. - On miewa czasami kłopoty z zapamiętaniem własnego nazwiska.

Wszystko to na nic, recepcjonista albo nie mógł znaleźć Bradleya, albo nie chciał. Roger wyjechał z parkingu, zatrzymał się w słonecznym skwarze i medytował, co robić dalej. Niewidzącymi oczami wpatrywał się w zwierciadło basenu, który w systemie klimatyzacyjnym motelu służył za pochłaniacz ciepła. Chyba powinien łąpać Brada telefonicznie w jego mieszkaniu - pomyślał. Powinien to zrobić, zanim opuścił hol: nie bardzo chciało mu się wracać i wjeżdżać z powrotem. Czy też dzwonić z samochodu, jeśli już o tym mowa; samochodowy telefon jest nadajnikiem radiowym, a lepiej, żeby rozmowa odbyła się w cztery oczy. Mógłby pojechać do domu i stamtąd zadzwonić - kombinował - ...nie więcej niż pięć minut jazdy...

W którym to punkcie po raz pierwszy dotarło do Rogera, że powinien opowiedzieć swojej żonie o tym, co zaszło. Nie palił się do tej powinności. Powiedzenie Dorce pociągało za sobą niestety powiedzenie tego wszystkiego samemu sobie. Ale Rogera cechowało prawidłowe podejście do rzeczy nieuniknionych, choćby i niemiłych, i starając się myśleć o rzeczach obojętnych zawrócił samochód w kierunku domu i Dorki.

Niestety Dorki nie zastał. Zawołał ją z przedpokoju, zajrzał do jadalni, rzucił okiem na basen za domem, sprawdził w obu łazienkach. Nie ma Dorki. Z pewnością na zakupach. Było to irytujące, lecz nic nie mógł poradzić i już miał zostawić jej kartkę, gdy wyglądając przez okno i próbując wymyślić, co napisać, dostrzegł, że właśnie zajeżdża swoją mikroskopijną dwuosobówką. Spodziewał się, że będzie zaskoczona. Nie spodziewał się, że stanie w miejscu, że jej piękne brwi uniosą się i znieruchomieją, a jej mina nie zdradzi w ogóle żadnej emocji. Wyglądała jak swoja własna fotografia, gdy tak zastygła w pół kroku.

Powiedział:

- Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać. Przyjechałem właśnie z Chero-Strip, bo chodzi tu również o Brada, ale...

Ożyła i przerwała mu uprzejmie:

- Pozwolisz, że wejdę i usiądę.

Nadal z twarzą bez żadnego wyrazu przystanąła w przedpokoju, żeby przejrzeć się w lustrze. Wygładziła jakąś skazę na policzku, napuszyła włosy, wkroczyła do salonu i usiadła nie zdejmując kapelusika.

- Straszny dzisiaj upał, prawda? - zauważyła.

Roger także usiadł, próbując zebrać myśli. Najważniejsze, żeby jej nie przestraszyć. Kiedyś oglądał program telewizyjny o tym, jak się przynosi złą wiadomość, w którym jakiś wynajęty psychoanalityk produkował się w nadziei, że zwabi klientów do swej pustej poczekalni, bo ze strachu przed oskarżeniem o brak etyki nie odważył się wynająć sobie naganiaczy. Nigdy nie wal prosto z mostu - radził. Daj się człowiekowi przygotować. Mów to stopniowo, po trochu. Rogerowi wydało się to wówczas komiczne i jak dziś pamiętał, co opowiadał o tym Dorce: "Kochanie, masz przy sobie swoją kartę kredytową?... No cóż, przyda ci się na czarną suknię... Czarną suknię na pogrzeb... Na pogrzeb, na który musimy iść i na którym będziesz chciała ładnie wyglądać ze względu na osobę nieboszczyka... No cóż, w końcu miała już swoje latka. I wiesz, że nie najlepiej prowadziła. Policjanci twierdzą, że nie cierpiała po rozbiciu furgonetki w drobny mak. Twój ojciec trzyma się bardzo dzielnie". Oboje naśmiewali się z tego.

- No więc słucham - powiedziała Dorka zachęcająco i sięgnęła do pudełka na stoliku po papierosa. Kiedy go przypalała, Roger zauważył drżenie butanowego płomyka i ze zdumieniem uprzytomnił sobie, że Dorce trzęsą się ręce. Był i zaskoczony, i zadowolony: najwyraźniej szykowała się na jakąś złą wiadomość. Zawsze była niezwykle spostrzegawcza - pomyślał z podziwem, a skoro już się przygotowała, zaryzykował:

- Chodzi o Willy'ego Hartnetta, kochanie - rzekł łagodnie. - Coś się stało dziś rano i...

Urwał, czekając, aż się do niego dostroi. Sprawiała wrażenie bardziej zakłopotanej niż przejętej.

- On nie żyje - rzekł krótko Torraway i umilkł, żeby to do niej dotarło.

Kiwnęła głową w zamyśleniu. Nie dociera - pomyślał Roger z ubolewaniem. - Ona jeszcze nie rozumie. Lubiła Willy'ego, ale nie płacze, nie krzyczy ani nie okazuje w ogóle żadnych uczuć. Dokończył myśl rezygnując z delikatności:

- I oczywiście oznacza to, że teraz jest kolej na mnie - rzekł usiłując mówić powoli. - Pozostali nie wchodzą w grę, pamiętasz, mówiłem ci. No więc to mnie zechcą... hm... przygotować do lotu na Marsa.

Jej mina wprawiała go w zdumienie. Nieśmiała i spłoszona, niemal tak, jak gdyby oczekiwała czegoś gorszego i ciągle nie mogła uwierzyć, że to nie nastąpi. Powiedział zniecierpliwiony:

- Nie rozumiesz, co mówię, kochanie?

- Ależ tak, rozumiem. To znaczy... no wiesz, trochę ciężko to ogarnąć myślą.

Skinął głową usatysfakcjonowany, ona zaś ciągnęła:

- Ale pogubiłam się. Bo chyba na początku mówiłeś coś o Bradzie i Chero-Strip?

- Och, przepraszam, wiem, zasypuję cię wszystkim naraz. Tak. Powiedziałem, że właśnie byłem w tym motelu, szukałem Brada. Widzisz, zdaje się, że to właśnie układ percepcyjny nawalił i że to zabiło Willy'ego. Trudno, Bradleya broszka. I jak na złość akurat dzisiaj musiał wybyć na taki długi lunch, żeby... no cóż, chyba o Bradzie nie muszę ci mówić. Pewnie gzi się gdzieś z jakąś pielęgniarą. Ale nie chciałbym być w jego skórze, jeśli nie zjawi się na zebraniu... - urwał i spojrzał na zegarek. - Uff, sam muszę wracać. Ale bardzo chciałem, żebyś usłyszała o tym ode mnie.

- Dziękuję ci, kochanie - powiedziała z roztargnieniem, podążając za jakąś myślą. - Czy nie lepiej było do niego zadzwonić?

- Do kogo?

- Do Brada, oczywiście.

- Ach. Ach, oczywiście, tylko że to raczej poufne. Nie chciałem, żeby ktokolwiek nas podsłuchał. I tak musiałem pójść do Bezpieki po wskazówkę, gdzie on się może podziewać.

Nagle zaświtała mu w głowie pewna myśl; wiedział, że Dorka lubi Brada, i przez pół sekundy rozważał, czy nie zdenerwowała się jego prowadzeniem. Owa myśl zmyła się sama i wyrzucił z siebie w zachwycie:

- Kochanie, muszę przyznać, że przyjmujesz to cudownie. Większość kobiet dostałaby już hysterii.

Wzruszyła ramionami.

- Cóż, nie ma co rwać włosów z głowy. Oboje się z tym liczyliśmy.

Zarzykował:

- Będę wyglądał dość nieszczególnie, Dora. I wiesz, myślę, że fizyczna strona naszego małżeństwa pójdzie na jakiś czas do lamusa, pomijając już fakt, że w trakcie tej misji nie będzie mnie przez ponad półtora roku.

Wyglądało na to, że Dora bije się z myślami, godzi się z czymś, wreszcie spojrzała mu prosto w oczy i uśmiechnęła się. Podeszła blisko i objęła go ramionami.

- Będę z ciebie dumna - powiedziała. - I czeka nas długie, długie życie po twoim powrocie. - Odchyliła się w tył, kiedy usiłował ją pocałować, i dodała żartobliwie: - Nic z tych rzeczy, musisz wracać. Co zamierzasz zrobić z Bradem?

- No więc, mógłbym wrócić do motelu...

Przerwała mu stanowczo:

- Nie rób tego, Roger. Niech się sam pilnuje. Skoro kombinuje coś, czego nie powinien, to jego sprawa. Chcę, żebyś wrócił na to zebranie i... Och, czekaj! Oczywiście! Przecież ja jeszcze muszę wyjść. Będę przejeżdżała całkiem blisko tego motelu. Jeśli zobaczę samochód Brada na parkingu, wsunę mu kartkę za wycieraczkę.

- Nawet mi nie przyszło to do głowy - rzekł z uwielbieniem.

- No więc nic się nie martw. Nie chcę, żebyś myślał o Bradzie. Wobec tego wszystkiego, co nas czeka, musimy myśleć o tobie!

Dr med. Jonatan Freeling, członek Amerykańskiego Kolegium Chirurgów oraz Amerykańskiej Akademii Medycyny Kosmicznej.

Jon Freeling parał się medycyną lotniczą i kosmiczną tak długo, że zdążył odzwyczaić się

od widoku trupów. Nie był zwłaszcza przyzwyczajony do krojenia zwłok przyjaciół. Astronauci umierali nie zostawiając na ogół po sobie ciał, tak czy inaczej. Jeżeli ginęli na służbie, nie było mowy o żadnej sekcji zwłok; ci, którzy ginęli w przestrzeni kosmicznej, już tam pozostawali, ci, którzy polegli bliżej domu, przeważnie wyparowywali rozgotowani w płomieniu tlenowo-wodorowym. W obu przypadkach nie było co położyć na stole.

Z trudem docierało do Freelinga, że tym razem ma pod nożem Willy'ego Hartnetta. Bardziej przypominało to, powiedzmy, rozkładanie na części pistoletu maszynowego niż sekcję. Sam pomagał składać te, części: te tutaj platynowe elektrody, te mikrominiaturowe procesory tam w czarnej skrzynce; teraz nadszedł czas, żeby je ponownie rozebrać. Gdyby nie ta krew. Mimo wszystko Willy Hartnett zmarł mając w sobie jeszcze mnóstwo mokrej, ciekącej ludzkiej krwi.

- Zamrozić do pobrania wycinka - rzekł podając jakiś skrawek na szkiełku przedmiotowym swojej pielęgniarce, która przyjęła je z kiwnięciem głową. To była Klara Bly. Na jej ładnej czarnej twarzy malował się smutek, jakkolwiek trudno by orzec - pomyślał Freeling unosząc ociekający metalowy drut, który stanowił część obwodów widzenia - ile tego smutku jest z powodu śmierci cyborga, a ile z powodu przerwania jej przyjęcia pożegnalnego. Wyjeżdżała na swój jutrzejszy ślub; gabinet reanimacyjny zaraz za drugimi drzwiami jeszcze był przystrojony kwiatami z krepiny i papieru na to przyjęcie. Pytali Freelinga, czy mają je uprzętać do sekcji, lecz oczywiście nie było po co; nikogo nie zamierzał reanimować w owym gabinecie reanimacyjnym. Podniósł wzrok na instrumentariuszkę, stojącą tam, gdzie znajdowałby się anestezjolog podczas normalnej operacji, i burknął:

- Brad odezwał się?

- Jest w budynku - powiedziała.

No to niechże weźmie dupę w troki i się tu pofatyguje - oto co pomyślał Freeling i czego nie powiedział, tylko kiwnął głową. Przynajmniej się znalazł. Jakakolwiek z tego wszystkiego wyniknie bieda, to już Freeling nie będzie musiał sam świecić oczami. Ale im dłużej sondował problem, tym większą miał zagwozdkę. W czym tkwi bieda? Co zabiło Hartnetta? Elektroniczne elementy wydawały się w porządku: każdą wyjętą część odsyłał w te pędy specjalistom, którzy sprawdzali ją natychmiast. Nic nie nawaliło. Również ogólna struktura fizyczna mózgu nic bezpośrednio nie wyjaśniała... Chyba niemożliwe, żeby cyborg zmarł absolutnie na nic? Freeling wyprostował się znad stołu, czuł, jak go pod gorącymi lampami zalewa pot, odruchowo czekał, aż siostra operacyjna otrze mu czoło. Ale tu nie było siostry operacyjnej, więc opamiętał się i otarł pot rękawem. Pochylił się na nowo, starannie wypreparowując i wyjmując układ nerwu wzrokowego, właściwie same resztki; główne elementy zostały usunięte wraz z gałkami ocznymi i zastąpione elektroniką.

I wtedy to zobaczył.

Najpierw wysięk krwi pod spoidłem wielkim mózgu. Potem, w miarę jak delikatnie podważał i sondował, szarawobiała, śliska powłoka tętnicy wybrzuszona, rozerwana. Rozsadzona. Zwyczajny przypadek sercowo-naczyniowy. Udar mózgu. Freeling nie ruszał tego dalej. Resztę można zrobić później czy w ogóle odpuścić. Może i dobrze byłoby zostawić to, co zostało z Willy'ego Hartnetta, w jak najmniej naruszonej postaci. No i czas już był na zebranie.

Sala konferencyjna służyła również za bibliotekę szpitalną, co oznaczało, że kiedy odbywało się zebranie, ustawiała praca moli książkowych.

Czternaście wyściełanych foteli za długim stołem zarezerwowano, pozostali uczestnicy wcisnęli się, gdzie popadło na rozkładane krzeselka. Dwa puste fotele czekały na Brada i Jona

Freelinga, którzy w ostatniej chwili pognali do pracowni po, jak powiedzieli, ostatnie wyniki na jakichś szkiełkach: w istocie po to, żeby Freeling zreferował swemu szefowi, w skrócie) co się stało, kiedy szef wyszedł "na lunch". Wszyscy inni byli obecni, Don Kayman i Vic Samuelson (teraz awansowany na zastępcę Rogera i niespecjalnie uradowany z tego powodu), Telly Ramez, naczelny psychoanalityk, wszyscy sercowo-naczyniowcy poszeptujący między sobą, szychy z działów administracyjnych - oraz dwie gwiazdy. Jedną z gwiazd był Roger Torraway, z zażenowaniem zasiadający u szczytu stołu i z przyklejonym uśmiechem przysłuchujący się rozmowom innych ludzi. Drugą był Jed Griffin, pierwszy człowiek prezydenta od pokonywania przeszkód. Formalnie był jedynie głównym doradcą prezydenta d/s zarządzania, lecz nawet zastępca dyrektora traktował go jak papieża.

- Możemy zaczynać w każdej chwili, panie Griffin - zapewnił zastępca dyrektora.

Griffin uśmiechnął się, jakby dostał kurczu twarzy, i pokręcił głową.

- Nie możemy, dopóki nie zjawią się tamci dwaj koledzy - rzekł.

Z przybyciem Brada i Freelinga wszelkie rozmowy urwały się, jak nożem uciął.

- Teraz możemy zaczynać - wycedził Jed Griffin, a zdenerwowanie w jego głosie było oczywiste dla wszystkich i wszyscy je zresztą podzielali. My też byliśmy podenerwowane, rzecz jasna. Griffin ani myślał ukrywać swego zdenerwowania i z miejsca odkrył je przed obecnymi.

- Nie macie państwo pojęcia - rzekł - jak blisko jesteśmy zakończenia tego całego programu T nie za rok czy miesiąc, nie stopniowego ograniczania, nie skrócenia. Anulowania.

Roger Torraway odwrócił spojrzenie od Brada i utkwił je w Griffinie.

- Anulowania - powtórzył Griffin. - Likwidacji.

Zdaje się, że mówienie tego sprawia mu satysfakcję - pomyślał Torraway.

- I jedyne, co program uratowało - rzekł Griffin - to te papiórki. - Uderzył w owalny blat stołu rulonem zielonkawych wydruków komputerowych. Amerykańska opinia publiczna domaga się kontynuowania programu.

Torrawaya ścisnęło coś w środku i dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, jak nagłe i natarczywe było uczucie nadziei, które to poprzedziło. Przez chwilę jakby słuchał ułaskawienia. Zastępca dyrektora odchrząknął.

- Zdawało mi się - powiedział - że te ankiety wykazują znaczną... no, obojętność wobec tego, co robimy.

- Wstępne wyniki, tak - Griffin skinął głową. - Lecz jeśli je zsumować i przepuścić przez komputer, wychodzi to na silne ogólnonarodowe poparcie. Całkiem rzeczywiste poparcie. Rzeczywiste do kwadratu, jak to się chyba u was mówi. Amerykanie chcą, żeby Amerykanin żył na Marsie. Jednakże - dodał - tak było do tego ostatniego fiaska. Bóg wie, co by się stało, gdyby wyszło ono na jaw. Rządowi nic po ślepym zaułku, nic po biciu się w piersi. Rządowi potrzebny jest sukces. Brak mi słów, żeby wyrazić, jak wiele od tego zależy.

Zastępca dyrektora zwrócił się do Freelinga.

- Doktorze Freeling?

Freeling wstał.

- Willy Hartnett zmarł na udar mózgu - powiedział. - Pełny raport z sekcji zwłok jest w przepisywaniu, ale do tego się to sprowadza. Nie występują objawy ogólnoustrojowej niewydolności, nie spodziewałem się ich w jego wieku i stanie. A zatem to uraz. Za duże napięcie, przekraczające wytrzymałość naczyń krwionośnych w jego mózgu. - Przyjrzał się w zadumie czubkom swoich palców. - To, co teraz powiem, to już domysły - rzekł - ale najlepsze, na jakie mnie stać. Zwrócę się z prośbą o konsultację do Replingera z Akademii Medycznej Yale i Anforda...

- Diabła tam z konsultacjami - uciał Griffin.

- Co proszę? - Freeling był zbity z tropu.

- Żadnych konsultacji. Żadnych, bez całkowitej aprobaty służby bezpieczeństwa. Tu nie ma ani chwili czasu do stracenia, doktorze Freeling.

- Och, no cóż... w takim razie muszę wziąć odpowiedzialność na siebie. Przyczyną tego urazu jest nadmiar bodźców. On był przeciążony. Nie wytrzymał.

- Pierwsze słyszę, żeby coś takiego spowodowało wylew - zaprotestował Griffin.

- Niemałego trzeba stresu. Ale to się zdarza. A mamy tu do czynienia z nowymi rodzajami stresu, panie Griffin. To tak, jakby... o, służę analogią. Jeśli przyszło nam na świat dziecko z wrodzoną zaćmą obojga oczu, zaprowadzimy je do lekarza, a ten usunie zaćmę. Tylko musimy to zrobić, zanim dziecko osiągnie wiek dojrzewanania, rozumie pan. Jeśli nie przeprowadzi się operacji do tego czasu, lepiej będzie zostawić je ze ślepotą. U dzieci, którym zoperowano takie zaćmy po trzynastym bądź czternastym roku życia, występuje - według statystyk medycznych - wspólny ciekawy fenomen. Popełniają samobójstwo przed dwudziestym rokiem życia.

Torraway usiłował śledzić tok rozmowy, lecz bez większego powodzenia. Z ulgą przyjął wtrącenie się zastępcy dyrektora.

- Chyba nie bardzo rozumiem, Jon, co to ma wspólnego z Willym Hartnettem.

- Tak samo nadmiar informacji wejściowych. U dzieci po zoperowaniu zaćmy nastąpiła, jak się zdaje, dezorientacja. Odbierały nowe informacje nie mając układu do ich obróbki. Jeśli widzimy od urodzenia, kora wzrokowa wytwarza układy obróbki, przekazywania oraz interpretacji danych wejściowych. Jeśli nie, układy takie nie powstały i za późno na ich tworzenie. Moim zdaniem, nieszczęście Willy'ego polegało na tym, że daliśmy mu informacje, do obróbki których nie dysponował żadnym mechanizmem. Dla niego było za późno na wytworzenie takiego mechanizmu. Wszystkie te napływające dane go dosłownie zalały; od napięcia pękło naczynie krwionośne. I - kontynuował - moim zdaniem to samo spotka obecnego tu Rogera, jeśli coś takiego z nim zrobimy.

Griffin obrzucił krótkim, taksującym spojrzeniem Rogera Torrawaya. Torraway odchrząknął, lecz nie powiedział nic. Wydawało się, że nie ma nic do powiedzenia.

Griffin rzekł:

- Co pan mi chce powiedzieć, Freeling?

- Tylko to, co powiedziałem. Mówię panu, co jest złe, do kogoś innego należy powiedzieć panu, jak to naprawić. Moim zdaniem tego nie można naprawić. To znaczy, na pewno nie medycznie. Dostajemy mózg - Willy'ego czy Rogera. Ukształtowany jako radioodbiornik. I wpuszczamy do niego obrazy telewizyjne. Ten mózg nie umie sobie z nimi poradzić.

Cały ten czas Brad gryzmołił coś na kolanie, podnosząc od czasu do czasu wzrok z wyrazem zainteresowania. Teraz znowu opuścił spojrzenie na swój notatnik, zapisał coś, przyjrzał się temu z namysłem, znowu pisał, skupiając na sobie uwagę wszystkich. Wreszcie odezwał się zastępca dyrektora:

- Brad? Wygląda na to, że piłka jest po twojej stronie siatki.

Brad podniósł oczy i uśmiechnął się.

- Właśnie nad tym pracuję - rzekł.

- Czy zgadzasz się z doktorem Freelingiem?

- Bez zastrzeżeń. On ma rację. Nie możemy wprowadzać nie obrobionych sygnałów do układu nerwowego, który nie ma wyposażenia do ich przetwarzania i tłumaczenia. Takich mechanizmów nie ma w mózgu, w niczym, chyba żebyśmy wzięli jakiegoś noworodka i tak mu przedstawili mózg, żeby potrafił wytworzyć to, czego potrzebuje.

- Czy pan nam proponuje zaczekać na nową generację astronautów? - zapytał Griffin.

- Nie. Proponuję wbudowanie Rogerowi obwodów przetwarzania. Nie same wejścia czuciowe. Filtry, translatory - metody interpretacji sygnałów, obrazu z różnej długości fal w widmie, kinestetycznego czucia nowych mięśni wszystkiego. Słuchajcie uważnie - rzekł - pozwolicie, że przytoczę nieco historii. Czy ktoś z państwa słyszał o McCullochu i Lettvinie i żabim oku? - Rozejrzał się po sali. - Oczywiście, Jon, ty słyszałeś, i może jeszcze paru innych. Najlepiej, jak trochę opowiem o tym. Układ percepcyjny żaby - nie tylko oko, wszystkie części układu postrzegania - odczeka to, co nieistotne. Gdy przed okiem żaby poruszy się robak, oko postrzeże go, nerwy przekażą informację, mózg zareaguje na nią i żaba zje robaka. Kiedy przed żabą poruszy się jakiś listek, ona go nie zje. Żaba nie decyduje się nie zjeść listka. Ona go nie widzi. Obraz powstaje w oku, zgoda, lecz informacja ulega odrzuceniu, zanim dotrze do mózgu. Mózg w ogóle sobie nie uświadomił tego, co zobaczyło oko, bo mu to nie - jest potrzebne. Świadomość faktu obecności czy nieobecności liścia przed jej nosem jest po prostu bez znaczenia dla żaby.

Roger łowił te słowa z ogromnym zainteresowaniem, ale z mniejszym jakby zrozumieniem.

- Chwileczkę - przerwał. - Ja jestem bardziej skomplikowany... to znaczy, człowiek jest znacznie bardziej skomplikowany niż żaba. Skąd możesz wiedzieć, co ja "potrzebuję" widzieć?

- To, co potrzebne do przeżycia, Róg. Mamy sporo danych od Willy'ego. Myślę, że potrafimy to zrobić.

- Dzięki. Wolałbym, żebyś miał ciut więcej pewności.

- Och, mam całkowitą pewność - rzekł Brad z szerokim uśmiechem. - To mnie tak zupełnie nie zaskoczyło.

Ze ściśniętym gardłem i cienkim głosem Torraway rzekł:

- Chcesz powiedzieć, że dałeś Willy'emu drogę wolną i...

- Nie, Roger! Daj spokój! Willy był tak samo moim przyjacielem. Margines bezpieczeństwa wydawał mi się na tyle szeroki, że byłem przekonany, że przynajmniej utrzymamy Willy'ego przy życiu. Pomyliłem się i żał mi go nie mniej niż tobie, Roger. Ale wszyscy liczyliśmy się z ryzykiem, że te układy nie będą działały prawidłowo, że będziemy musieli je dopracować.

- Tego - rzekł ponuro Griffin - nie stawialiście tak jasno w sprawozdaniach z postępu prac. - Zastępca dyrektora otworzył już usta, lecz Griffin pokręcił głową. - Wrócimy do tej sprawy innym razem. Co dalej, Bradley? Zamierza pan odsiać część informacji?

- Nie tak zwyczajnie odsiać. Pośredniczyć w ich przenoszeniu. Przełożyć je na formę strawną dla Rogera.

- A co z poglądem Torrawaya, że człowiek jest skomplikowany bardziej od żaby? Czy kiedykolwiek robił pan coś takiego z ludźmi?

Nieoczekiwanie Bradley wyszczerzył zęby w uśmiechu; był na to przygotowany.

- W rzeczy samej, owszem. Jeszcze jako doktorant jakieś sześć lat temu, nim tu przyszedłem. Wyrabialiśmy czwórce ochotników odruch Pawłowa. Świeciliśmy im ostrym światłem w oczy, a jednocześnie dzwonił elektryczny dzwonek o częstotliwości trzydziestu uderzeń na sekundę. Rzecz jasna, że kiedy zaświecimy komuś ostrym światłem w oczy, zwężają mu się źrenice. Jest to niezależne od woli. Nikt tego nie uda. To reakcja na światło, nic innego, jak zwykła wynikająca z ewolucji zdolność chronienia oka przed bezpośrednim światłem słonecznym. Ten rodzaj reakcji związanej z autonomicznym układem nerwowym trudno jest uwarunkować w ludzkich istotach. Ale nam się udało. Jak już się przyjmie, to jest utrwalona bardzo mocno. Po... - myślę, że było to po trzystu próbach na osobę - mieliśmy wyrobiony odruch warunkowy. Wystarczyło tylko włączyć dzwonek, a źrenice tych ludzi kurczyły się do rozmiarów łebka szpilki. Czy jak dotąd

wszystko jest dla pana jasne?

- Tyle jeszcze pamiętam ze studiów, żeby wiedzieć o odruchach Pawłowa. Elementarne rzeczy - powiedział Griffin.

- Otóż dalszy ciąg nie jest już elementarny. Podłączyliśmy się do nerwu słuchowego i dało się mierzyć faktyczny sygnał płynący do mózgu: dzyń-dzyń-dzyń, trzydzieści uderzeń na sekundę, widzieliśmy to na oscyloskopie. I wówczas zmieniliśmy dzwonek. Wzięliśmy taki, który dzwonił z częstotliwością dwudziestu czterech uderzeń na sekundę. Może zgadnie pan, co się stało?

Nie było odpowiedzi. Brad uśmiechnął się.

- Oscyloskop dalej rejestrował trzydzieści uderzeń na sekundę. Mózg słyszał coś, czego w rzeczywistości nie było. Zatem, widzi pan, że nie tylko w żabach zachodzi tego rodzaju pośrednictwo. Człowiek postrzega świat w przetrawionej uprzednio formie. Samo doprowadzenie bodźców kasuje i przegrupowuje informacje. Otóż, co zamierzam zrobić tobie, Roger - powiedział dobrodusznie - zamierzam ci pomóc odrobinę w interpretacji. Niewiele da się zrobić z twoim mózgiem. Dobry czy zły, jesteśmy na niego skazani. Jest masą szarej substancji o strukturze ograniczającej pojemność i nie możemy napompowywać go dowolną ilością informacji zmysłowych. Jedynym odcinkiem, na którym możemy popracować, jest interfejs - zanim one dojdą do mózgu.

Griffin plasnął otwartą dłońią w stół.

- Wyrobimy się w terminie okna? - huknął.

- Głowy nie dam, ale spróbuję - powiedział jowialnie Brad.

- Głowy nie dasz, ale oberwiesz po dupie, chłopcze, jeśli to kupimy i nic z tego nie wyjdzie.

Jowialność zniknęła z twarzy Brada.

- A co mam panu powiedzieć?

- Masz mi powiedzieć, jakie mamy szansę! - warknął Griffin.

Brad bił się z myślami.

- Nie gorsze niż przy postawieniu na pewniaka - powiedział wreszcie.

- No to - rzekł Griffin, uśmiechając się na koniec - bomba w górę.

Postawienie na pewniaka - myślał Roger w drodze do swego gabinetu - nie jest złym zakładem. Oczywiście to zależy od stawek. Zwolnił czekając, aż Brad go dogoni.

- Brad - powiedział - jesteś całkiem pewny tego, co mówiłeś?

Brad poklepał go lekko po ramieniu.

- Pewniejszy, niż powiedziałem, żeby ci nie skłamać. Po prostu nie chciałem się wychylać przy starym Griffinie. I słuchaj no, Roger, dziękuję ci.

- Za co?

- Za to, że próbowałeś mnie dzisiaj ostrzec. Jestem ci wdzięczny.

- Nie ma za co - rzekł Roger.

Przez chwilę stał w miejscu odprowadzając spojrzeniem oddalającego się Brada i zachodził w głowę, skąd Brad wiedział o czymś, co on powiedział tylko swojej żonie.

Mogliśmy mu to wyjaśnić, bo faktycznie mogliśmy mu wyjaśnić wiele, bardzo wiele rzeczy, łącznie z tym, dlaczego ankiety wykazywały to, co wykazywały. Ale jemu tak naprawdę nie były potrzebne niczyje wyjaśnienia. Sam mógł sobie to wyjaśnić, gdyby tylko chciał wiedzieć.

Siedem

Śmiertelnik zostaje potworem



Don Kayman był bardzo skomplikowanym człowiekiem i nigdy nie odpuścił żadnego problemu. Dlatego właśnie był nam potrzebny jako aerolog programu, lecz zahaczało to również o jego życie religijne. Jakiś religijny problem nurtował Kaymana, gdzieś na granicy jego świadomości. Nie przeszkadzał mu w pogwizdywaniu przy starannym obgalaniu bródki a la Dizzy Gillespie i zaczesywaniu się na schludnego pazia. Ale jednak go dręczył. Kayman zapatrzył się w lustro, usiłując zidentyfikować to coś, co go gryzie. Po chwili uświadomił sobie, że przynajmniej jedną z tych rzeczy jest jego bawełniana podkoszulka z krótkimi rękawami. Nie pasowała. Zdjął ją i zmienił na podwójnie robiony czterokolorowy półgolf, który na tyle przypominał koloratkę, że przemawiało to do jego poczucia humoru. Zadzwoił interfon.

- Donnie? Czy już jesteś prawie gotowy?

- Będę za chwilę - powiedział rozglądając się dokoła. Co jeszcze? Jego sportowa marynarka wisiała na krześle pod drzwiami. Buty miał wyglansowane. Rozporek zasunięty. Robisz się rozkojarzony - upomniał sam siebie. Dręczyło go coś, co miało jakiś związek z Rogerem Torrawayem, nad którym się bardzo litował w tym właśnie momencie. Wzruszył ramionami, chwycił marynarkę, przerzucił ją przez rękę, przewędrował korytarzem i zastukał do drzwi żeńskiego klasztoru siostry Klotyldy.

- Dzień dobry, ojciec - powitała go nowicjuszka i wpuściła do środka. - Usiądź sobie. Zaraz ci ją przyprowadzę.

- Dziękuję, Jess.

Kayman odprowadzał ją pełnym uznania spojrzeniem, gdy znikwała w głębi korytarza. Obcisłe spodnie zakonnego kostiumiku niewiele ukrywały z jej figury i Kayman pozwolił sobie porozkoszować się nieuchwytnym, antycznym poczuciem winy z powodu grzesznych myśli na ten widok. Grzech całkiem niewinny, coś jak jedzenie mięsa w piątek. Przypomniało mu się, jak jego rodzice każdego piątkowego wieczoru smażyli i żuli ukradkiem mrożone ostrygi, chociaż dyspensa była już powszechna. Nie żeby uważali jedzenie mięsa za grzech; po prostu ich układy trawienne tak przyzwyczyły się do ryby w piątek, że nie umieli się przestawić. Stosunek Kaymana do seksu był bardzo podobny. Zniesienie celibatu nie zatarło genetycznej pamięci o dwóch tysiącletniach duchowieństwa, które udawało, że nie wie, do czego ma narządy seksualne.

Siostra Klotylda dziarsko wmaszerowała do poczekalni, cmoknęła go w gładko wygolony policzek i wzięła pod rękę.

- Ładnie pachniesz - powiedziała.

- Wstąpimy gdzieś na kawę? - spytał wyprowadzając ją przez drzwi.

- Chyba nie, Donnie. Miejmy to już za sobą.

Jesienne słońce paliło w gorącym podmuchu hen znad Teksasu.

- Złożymy dach?

Pokręciła głową.

- Fryzura ci się rozfrunie. Zresztą jest za gorąco. - Wykręciła się w pasach, żeby na niego popatrzeć. - Co cię gryzie?

Wzruszył ramionami i zapalił silnik, kierując samochód na samoczynne pasmo drogi.

- Ja... ja sam nie wiem. Czuję się tak, jakbym miał coś na sumieniu, z czego zapomniałem się wypowiedzieć.

- O mnie chodzi?

- Och nie, Klotuś. Coś... sam nie wiem co.

Z roztargnieniem ujmując jej dłoń wyjrzał przez boczne okno. Przejeżdżali drogą szybkiego ruchu i ujrzał ogromny biały sześcian budynku Instytutu daleko na horyzoncie. Wiedział z całą

pewnością, że to nie jego skłonność do siostry Klotyldy go dręczy. Jakkolwiek niewinne grzeszki przyprawiały go o miły dreszczyk, to jednak nie zamierzał lekceważyć praw swojego Kościoła i swego Boga. Może - myślał - poszedłby na wynajęcie dobrego adwokata i walkę, ale nie na łamanie prawa. Swoje polowanie na siostrę Klotyldę uważał za dostatecznie śmiałe, a co z tego wyniknie, będzie zależało od tego, na co pozwoli jej zakon, gdy i o ile w ogóle on sam odważy się poprosić ją, żeby wystąpiła o dispensę. Nie interesowały go rozgorączkowane grupy rozłamowe jak klerykalne komuny czy odrodzeni katarowie.

- Roger Torraway? - spróbowała odgadnąć.

- Wcale bym się nie zdziwił. - Jest coś w tym manipulowaniu jego zmysłami, co mnie niepokoi. Jego postrzeganie świata.

Siostra Klotylda mocniej ścisnęła jego dłoń. Jako psycholog społeczny miała prawo wiedzieć, co się dzieje w ramach programu, i znała Dona Kaymana.

- Zmysły kłamią, Donnie. Tak mówi Pismo Święte.

- Och, z pewnością. Ale czy Brad ma jakiegokolwiek prawo dyktować zmysłom Rogera, jak mają kłamać?

Klotylda zapaliła papierosa i nie przeszkadzała mu w jego rozważaniach. Odezwała się dopiero, jak dojeżdżali do centrum handlowego.

- Następny zakręt, prawda?

- Zgadza się - rzekł i ujmując kierownicę przełączył samochód z powrotem na ręczne prowadzenie. Wśliznął się na parking ciągle zaabsorbowany Rogerem Torrawayem. Miał pilny problem żony Rogera. Już z tym było dość kłopotu. Lecz nad wszystkim górował problem poważniejszy: jak Roger poradzi sobie z największym spośród wewnętrznych dylematów - co jest Dobrem, a co jest Złem? - skoro posiadane przez niego informacje, na których musi opierać decyzję, filtrowane są przez mediacyjne obwody Brada?

Szydł nad wystawą sklepową głośił: MAŁE A MIŁE DROBIAZGI. Sklep był też mały jak na centrum mające "Two Guys" o powierzchni użytkowej pięćdziesięciu tysięcy metrów i prawie równie wielki supermarket. Ale był dostatecznie duży, żeby drogo kosztować. Wliczając czynsz, świadczenia, ubezpieczenie, pensje trójki sprzedawców, z tego dwojga w niepełnym wymiarze godzin, oraz hojną płacę kierowniczkę dla Dorki, przynosił co miesiąc na czysto blisko dwa tysiące dolarów straty. Roger pokrywał ją ochoczo, mimo że niektóre z naszych księgowych zestawień wykazywały mu, że taniej byłoby dać Dorce dwa tysiące miesięcznie w charakterze kieszonkowego.

Dorka zastawiała właśnie porcelaną ladę z napisem: "wyprzedaż za pół ceny". Skinęła gościom na powitanie nawet uprzejmie.

- Cześć, Don. Witam, siostrzo Klotyldo. Chce siostra kupić tanio parę czerwonych filiżanek?

- Wyglądają ładnie - powiedziała Klotylda.

- Och, one są ładne. Ale proszę nie kupować ich dla klasztoru. Urząd Kontroli Żywności i Leków właśnie nakazał wycofać je ze sprzedaży. Rzekomo w szkliwie jest trucizna - zakładając, że ktoś by pił w takiej filiżance co najmniej czterdzieści herbat dziennie przez dwadzieścia lat życia.

- Och, jaka szkoda. Ale... pani je sprzedaje?

- Zarządzenie obowiązuje za trzydzieści dni - wyjaśniła z promiennym uśmiechem Dorka. - Zdaje się, że nie powinnam opowiadać takich rzeczy księdzu i zakonnicy, prawda? Ale słowo daję, sprzedajemy te filiżanki od lat, a nigdy nie słyszałam, żeby ktoś umarł.

- Może wpadniesz z nami na kawę? - spytał Kayman. - Oczywiście, wypijemy ją w innych filiżankach.

Dorka wyrównała czerwoną filiżankę w rzędzie i westchnęła.

- Nie, i tak możemy pogadać. Chodźmy na zaplecze do mego gabinetu. - Ruszając przodem

rzuciła przez ramię: - Tak czy owak, wiem, co was sprowadza.

- Och? - rzekł Kayman.

- Chcecie, żebym odwiedziła Rogera. Zgadza się?

Kayman siadł w obszernym fotelu naprzeciwko jej biurka.

- Dlaczego nie chcesz, Dorka?

- O jejku, Don, a po co? Leży nieprzytomny jak kłoda. Nie wiedziałby nawet, czy ja jestem, czy mnie nie ma.

- Jest naszpikowany narkotykami, owszem. Ale miewa okresy przytomności.

- Prosił o to?

- Prosił o wieści od ciebie. A co miał twoim zdaniem zrobić, błagać?

Wzruszyła ramionami, nie przestając bawić się porcelanowym pionkiem szachowym.

- Czy przyszło ci kiedyś do głowy pilnować swego nosa, Don? - spytała.

Nie obraził się.

- Właśnie to robię. Rogera mamy tylko jednego w tej chwili i nikt go nie zastąpi. Czy zdajesz sobie sprawę, co się z nim dzieje? Już dwadzieścia osiem razy był na stole operacyjnym. W trzynaście dni! Nie ma już oczu. Ani płuc, ani serca, uszu, nosa - on nawet nie ma już skóry, tylko syntetyki, bo z własnej obrano go kawałek po kawałku. Obdarto żywcem ze skóry - za takie rzeczy ludzie zostawali świętymi, a oto mamy człowieka, który nie może się nawet doczekać, żeby jego własna żona...

- Gównu cię to obchodzi, Don! - wybuchnęła Dorka. - Nie wiesz, o czym mówisz. Roger prosił mnie, żebym nie przychodziła go oglądać po rozpoczęciu cyklu operacji. Myślał, że ja nie zniosę... On po prostu nie chciał, żebym go oglądała w takim stanie!

- Na moje oko, Dorka - rzekł ksiądz matowym głosem - jesteś ulepiona z całkiem twardej gliny. Wytrzymałabyś to.

Dorka wykrzywiła usta. Przez moment jej ładna buzia wcale nie wyglądała ładnie.

- To nie jest kwestia tego, co ja mogę wytrzymać - powiedziała. - Posłuchaj, Don. Czy ty w ogóle wiesz, co to znaczy być żoną takiego mężczyzny jak Roger?

- To musi być chyba całkiem fajnie - rzekł zaskoczony Kayman. - Roger jest przyzwoitym człowiekiem.

- Owszem, jest. Wiem o tym tak samo, jak ty, Donie Kaymanie. I z miłości do mnie stracił głowę.

Zapadło milczenie.

- Chyba nie bardzo rozumiem - przerwała ciszę siostra Klotylda. - Czy jesteś z tego niezadowolona?

Dorka spojrzała na zakonnicę, wążąc coś w myślach.

- Niezadowolona. Można to i tak nazwać. - Odstawiła pionek szachowy i wychyliła się przez biurko. - Marzenie każdej dziewczyny, prawda? Znaleźć prawdziwego bohatera i żeby był przystojny i mądry, i sławny, i prawie że bogaty, i tak w nas bez pamięci zakochany, że aż ślepy. Dlatego właśnie wyszłam za Rogera. Nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście. - Podniosła głos o pół tonu. - Wydaje mi się, że nie macie pojęcia, jak to jest mieć kogoś, kto z miłości stracił dla was głowę. Co po mężczyźnie bez głowy? Czasami leżąc koło niego w łóżku i starając się zasnąć, słyszę, że on obok mnie nie śpi, nie rusza się, nie wstaje i nie idzie do klozetu, taki delikatny, w dupę jebany... Czy wiecie, że jak razem podróżujemy, to Roger nigdy nie pójdzie do sracza, dopóki nie

wydaje mu się, że ja śpię, albo kiedy nie ma mnie w pobliżu? Goli się, jak tylko otworzy oczy; nie chce, żebym go widziała z włosami w nieładzie. Wygala sobie pachy, trzy razy dziennie używa dezodorantu. On... on traktuje mnie, jakbym była Najświętszą Panną, Don! On ma bzika! I tak to trwa przez dziewięć lat. - Obrzuciła bezradnym spojrzeniem księdza i zakonnicę, którzy milczeli, nieco zakłopotani. - I nagle - powiedziała - zjawiacie się i mówicie mi, że powinnam pójść i popatrzeć, jak robią z niego jakąś koszmarną kukłę. Wy i inni też. Wczoraj wieczorem wpadła Katarzyna Doughty. Dobrze na bani; popijała i dumiała, i postanowiła wpaść i powiedzieć mi w swej rozmiękczonej przez bourbona mądrości, że unieszczęśliwiam Rogera. No cóż, miała rację. I wy macie rację. Unieszczęśliwiam go. Nie macie tylko racji myśląc, że jak pójde go zobaczyć, to go uszczęśliwię... Och, do diabła.

Rozległ się dzwonek telefonu. Dorka podniosła słuchawkę, po czym zerknęła na Kaymana i siostrę Klotyldę. Niemalże błagalny dotąd wyraz jej twarzy zastygł w coś przypominającego porcelanowe figurki na stoliku przy jej biurku.

- Przepraszam - powiedziała rozwijając delikatne plastikowe płatki wokół mikrofonu i zmieniając go w szeptofon odwróciła się do nich plecami wraz z krzesłem. Chwilę rozmawiała nieuchwytnie dla ich uszu, następnie odłożyła słuchawkę i odwróciła się z powrotem.

Kayman powiedział:

- Dałaś mi trochę do myślenia, Dorka. Ale nadal...

Uśmiechnęła się porcelanowym uśmiechem.

- Ale nadal chcesz mi dyktować, jak mam żyć. Otóż, nic z tego. Oboje powiedzieliście, co macie do powiedzenia. Dziękuję wam za odwiedzinę. I będę wam wdzięczna, jak zechcecie wyjść. Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

Roger leżał z rozpostartymi rękami i nogami na fluidalnym łożu wewnątrz ogromnego, białego budynku Instytutu. Leżał tak już trzynaście dni, większość czasu nieprzytomny lub niezdolny odróżnić, czy jest przytomny, czy nie. Śnił. Mogłyśmy rozpoznać, że śni po gwałtownych ruchach najpierw gałek ocznych, później po drganiu zakończeń mięśni, kiedy oczy usunięto. Niektóre z jego snów były jawą, lecz on nie potrafił tego ocenić. Trzymałyśmy Rogera Torrawaya pod lupą sekunda po sekundzie. Chyba nie było takiego skurczu zginacza czy impulsu w synapsie, który nie uruchomiłby jakiegoś monitora, i skrupulatnie integrowałyśmy te dane i nadzorowałyśmy nieustannie jego życiowe funkcje.

To był dopiero początek. W pierwszych trzynastu dniach chirurgii Rogerowi zrobiono niewiele więcej niż to, co zrobiono Willy'emu Hartnettowi. Ale to nie wystarczało. Dopiero po tym wszystkim zespoły protetyków i chirurgów zaczęły dokonywać w nim rzeczy, jakich nigdy nie dokonano w istocie ludzkiej. Cały jego układ nerwowy został zrewidowany i wszystkie główne przewody połączono sprzężeniami wiodącymi do olbrzymiego komputera na niższym piętrze. Był to uniwersalny IBM 3070. Zajmował pół pokoju, a mimo to nie miał dostatecznej pojemności, jak na wszystkie stawiane przed nim zadania. To sprzężenie miało charakter tymczasowy. W odległym o trzy tysiące kilometrów północnym zakątku stanu Nowy Jork zakłady IBM montowały komputer specjalizowany, który miał się zmieścić w tornistrze. Skonstruowanie tego komputera stanowiło najtrudniejszą część całego programu: weryfikowałyśmy jego obwody nieprzerwanie, nawet w trakcie ich scalania na stołach montażowych. Jego ciężar nie mógł przekroczyć czterdziestu kilogramów wagi ziemskiej. Jego największy wymiar nie mógł wynosić więcej niż czterdzieści pięć centymetrów. A pracować musiał zasilany z akumulatorów prądu stałego, nieustannie doładowywanych za pomocą ogniw słonecznych. Ogniwa słoneczne sprawiały początkowo kłopot,

ale poradziłyśmy sobie z nimi. Wymagały pola o minimalnej powierzchni około dziewięciu metrów kwadratowych. Powierzchnia ciała Rogera (już nawet po różnorodnych modyfikacjach) była za mała - byłaby za mała choćby i w całości przyjmowała dość mizerne promieniowanie słoneczne na Marsie jednocześnie. Nasze rozwiązanie tego problemu polegało na skonstruowaniu pary wielkich, delikatnych jak babie lato skrzydeł elfa.

- Będzie wyglądał jak Oberon - powiedział z uciechą Brad na widok rysunków.

- Albo jak nietoperz - burknęła Katarzyna Doughty.

Faktycznie przypominały skrzydła nietoperza, zwłaszcza że były czarne jak gagat. Nie pofrunąłby na nich nawet w atmosferze o przyzwoitej gęstości, gdyby Mars takową miał. Składały się z cieniutkiej błony o nikłej wytrzymałości konstrukcyjnej. Ale one nie miały służyć fruwaniu ani pokonywać żadnych obciążeń. Miały jedynie rozpościerać się automatycznie i ustawiać do przyjęcia takiej ilości promieniowania, jakiej Słońce może dostarczyć. Po namyśle dokonano poprawek konstrukcyjnych, wprowadzając pewien stopień kontroli nad nimi przez Rogera, aby mógł korzystać ze skrzydeł, tak jak linoskoczek korzysta z tyczki, do łapania równowagi. Razem wzięwszy, stanowiły one ogromny postęp w porównaniu z "uszami", jakie doczepiłyśmy Willy'emu Hartnettowi. Skrzydła słoneczne zostały zaprojektowane i wyprodukowane w osiem dni; z chwilą gdy łopatki Rogera przygotowano na ich przyjęcie - były gotowe do założenia.

Już wówczas skórę brało się niejako z metra. Tyle jej szło jeszcze na Willy'ego Hartnetta i jako podstawowe wyposażenie, i w charakterze zapasu na wypadek uszkodzeń czy zmian konstrukcyjnych w trakcie realizacji programu, że teraz nowe przeszczepy fastrygowano do ciała Rogera w takim tempie, w jakim chirurdzy obdzierali go z powłoki, w której przyszedł na świat.

Od czasu do czasu Roger podnosił się i rozglądał po swoim otoczeniu, jakby je rozpoznając i pojmując. Ale któż mógł to wiedzieć na pewno?

Jego goście - których miał nieprzerwany strumień - czasami go zagadywali, czasami traktowali jak obiekt laboratoryjnej obróbki i dyskusji, darząc go nie większymi względami niż pierwszą lepszą menzurkę. Niemal codziennie wpadał Vern Scanyon i przypatrywał się powstającemu dziełu z coraz większą odrazą.

- Wygląda jak z piekła rodem - burknął. - Podatnicy skakaliby do góry z radości!

- Uwaga, generale - warknęła Katarzyna Doughty, lokując swą potężną figurę pomiędzy dyrektorem a obiektem. - Skąd pan wie, że on pana nie słyszy?

Scanyon wzruszył ramionami i odszedł przekazać sprawozdanie do sekretariatu prezydenta. Don Kayman wszedł akurat na jego odejście.

- Dzięki ci, matko świata - rzekł z powagą. - Jestem ci wdzięczny za troskę o mojego przyjaciela Rogera.

- Taaa - powiedziała z irytacją. - To nie sentyment. Biedny skurwiel musi mieć trochę wiary w siebie; będzie mu potrzebna. Wiesz, z iloma już pracowałam paraplegikami i takimi po amputacji. A czy wiesz, ilu z nich były to beznadziejne przypadki kadłubków, nigdy nie mających chodzić ani poruszyć żadnym mięśniem, ani choćby pójść do ubikacji o własnych siłach? Siła woli, Don, działa cuda, ale do tego musisz wierzyć w siebie.

Kayman zmarszczył czoło; stan ducha Rogera nie schodził mu z myśli.

- Nie zgadzasz się ze mną? - ostro zapytała Katarzyna, mylnie tłumacząc sobie marsa na jego czole.

- Skądże znowu! To znaczy... nie bądź niemądra, Katarzyno, czy ja jestem człowiekiem, który by kwestionował wyższość ducha nad ciałem? Jestem ci tylko wdzięczny. Dobry z ciebie człowiek, Katarzyno.

- Gówno prawda - mruknęła zza papierosa. - Płacą mi za to. A poza tym - dodała - widzę, że nie byłeś jeszcze dzisiaj w swoim gabinecie. Czeka tam budująca nota do nas wszystkich od Jego Gwiazdkowej Mości Generała, przypominająca nam, że to, co robimy, jest ważne... i z drobną aluzją, że jeśli zawalimy datę startu, czekają nas obozy koncentracyjne.

- Jakbyśmy potrzebowali przypominania - westchnął ojciec Kayman ze spojrzeniem utkwionym w groteskowej, nieruchomej postaci Rogera. - Scanyon to dobry chłop, tylko ma skłonność do traktowania wszystkiego, co robi, jakby to był pępek świata. Ale tym razem może i ma rację...

Stwierdzenie było co najmniej fałszywe. Dla nas nie ulegało to żadnej wątpliwości: najważniejsze ogniwo w tych wszystkich skomplikowanych wzajemnych współzależnościach myśli i materii, które minione pokolenia naukowców zwały Gają, znajdowało się właśnie tutaj - unosiło się na fluidalnym podłożu i wyglądało jak gwiazdor japońskiego filmu grozy. Bez Rogera Torrawaya wyprawa marsjańska nie mogła wystartować w porę. Miliardy ludzi może i miało wątpliwości co do jego znaczenia. My nie.

Roger był pępkiem wszystkiego. W masywie budynku Instytutu skupiały się wokół niego wszelkie pomocnicze i towarzyszące siły, których wypadkowa miała uczynić zeń to, czym miał być. W sali operacyjnej za sąsiednimi drzwiami Freeling, Weidner i Bradley w majstrowywali w niego nowe części. Niżej w normalnej komorze marsjańskiej, w której zmarł Willy Hartnett, poddawano działanie tych części próbie niezawodności w marsjańskich warunkach. Niekiedy okres bezawaryjnej pracy był zatrważająco krótki; wówczas modyfikowano ich konstrukcję, o ile to było możliwe, lub dodawano rezerwowe zabezpieczenie - bądź wykorzystywano je niekiedy tak czy owak, modląc się i trzymając kciuki.

Wszechświat rozszerzał się od Rogera na podobieństwo łusek cebuli. Trochę dalej w budynku tykał i mruczał gigantyczny 3070, rozrastający się o nowe sekwencje programów odpowiadające urządzeniom mediacyjnym, z godziny na godzinę wmontowywanym w Rogera. Na zewnątrz budynku była społeczność Tonki, której egzystencja zależała od powodzenia programu, głównego jej pracodawcy i podstawowej racji bytu. Ze wszystkich stron Tonki była cała reszta Oklahomy i rozpościerające się na wszystkie strony pozostałe pięćdziesiąt cztery stany, a wokół nich znękany i gniewny świat, zajęty przerzucaniem z jednej ze swych stolic do innej butnych not na szczeblu dyplomatycznym i pazurami walczący o byt za pośrednictwem każdego z miliardów swych jednostkowych bytów.

Ludzie związani z programem stopniowo odgradzili się od całego prawie świata. Nie oglądali dzienników telewizyjnych, jak tylko mogli ich uniknąć, najchętniej nie czytali niczego prócz sportowych kolumn w gazetach. Pracując na pełnych obrotach nie mieli oni za wiele czasu, lecz nie w tym tkwiła przyczyna. Przyczyna tkwiła w tym, że po prostu nie chcieli wiedzieć. Świat wariował, zaś obcość wnętrza ogromnego białego sześcianu budynku Instytutu wydawała im się racjonalna i rzeczywista, podczas gdy rozruchy w Nowym Jorku, taktyczne rakiety fruwające wokół Zatoki Arabskiej oraz powszechne przymieranie głodem w ongiś tak zwanych "krajach rozwijających się" wyglądało na halucynacje bez znaczenia.

Bo to były halucynacje. I przynajmniej bez znaczenia dla przyszłości naszego gatunku.

Tak więc Roger dalej zmieniał się i pozostawał przy życiu. Kayman spędzał przy nim coraz to więcej czasu, każdą minutę wolną od doglądania marsjańskiej komory normalnej. Z czułością patrzył, jak Katarzyna Doughty szwenda się po całym pokoju siejąc popiół z papierosa na wszystko prócz Rogera. Nadal jednak coś go gryzło. Musiał pogodzić się z tym, że Roger potrzebuje obwodów

mediacyjnych do interpretacji nadmiaru bodźców, ale nie znajdował odpowiedzi na doniesłe pytanie: jeśli Roger nie wie, co widzi, to jak może zobaczyć Prawdę?

Osiem

Widziane zwodniczymi oczyma

Pogoda psuła się gwałtownie i na dobre. Widziałyśmy nadciąganie tej zmiany, gdy klin arktycznego powietrza parł od Alerty w dół docierając do teksaskiego przyczółka. Ostrzeżenia przed wichurą uziemiły poduszkowce. Ci z personelu programu, którzy nie mieli pojazdów kołowych, musieli dojeżdżać środkami komunikacji miejskiej i parkingi były niemal puste, wyjąwszy wielkie, niezgrabne kłębowiska róż wiatru, tańczących w podmuchach.

Nie wszyscy wzięli sobie do serca ostrzeżenia, a pierwsza tego roku fala prawdziwego chłodu przyniosła chmurę tej małej szarańczy powodującej katar i grypę. Brada grypa położyła do łóżka. Weidner trzymał się jakoś, ale miał zakaz zbliżania się do Rogera z obawy, że zarazi go trywialną, drobną dolegliwością, wobec której Roger był bezbronny. Większość roboty przy tworzeniu Rogera spadła na Jonatana Freelinga, którego zdrowia strzeżono wówczas prawie tak samo zazdrośnie jak zdrowia Rogera. Katarzyna Doughty, niezniszczalna jak opoka starsza dama, wpadała do pokoju Rogera co godzina, zasypując pielęgniarki popiołem i radami.

- Traktujcie go jak ludzką istotę - przykazywała. - I nałóżcie coś na siebie przed pójściem do domu. Możecie wystawiać na pokaz swoje śliczne dupcie kiedy indziej, ale teraz najważniejsze, żebyście nie złapały kataru, dopóki nie możemy się bez was obejść.

Pielęgniarki nie buntowały się. Przykładały się ze wszystkich sił, nawet Klara Bly, odwołana z miodowego miesiąca na zastępstwo chorujących pielęgniarek. Troszczyły się nie mniej od Katarzyny Doughty, jakkolwiek patrząc na groteskowe stworzenie, które nadal zwało się Rogerem Torrawayem, trudno było pamiętać, że to faktycznie jest istota ludzka, tak samo zdolna do wzruszeń i rozpaczy jak one.

Od czasu do czasu Roger wyraźniej odzyskiwał przytomność. Z górą dwadzieścia godzin na dobę spędzał w stanie śpiączki lub w półsennym oszołomieniu środkami znieczulającymi, ale czasami rozpoznawał ludzi przebywających z nim w pokoju i czasami nawet odzywał się do nich logicznie. Po czym wyłączałyśmy go na nowo.

- Chciałabym wiedzieć, co on czuje - powiedziała Klara Bly do swej zmienniczki.

Druga dziewczyna popatrzyła w dół na maskę stanowiącą wszystko, co pozostało z jego twarzy, z ogromnymi szeroko rozstawionymi oczami, jakie mu sprokurowano.

- Może lepiej dla ciebie, że nie wiesz - rzekła. - Idź do domu, Klaro.

Roger to słyszał; zapis oscyloskopu pokazywał, że słucha. Analizując dane telemetryczne mogłyśmy sobie wyrobić niejakie pojęcie o tym, co dzieje się w jego umyśle. Często cierpiał ból, bez wątpienia. Ale ból ten nie był ostrzeżeniem przed czymś, co wymagało uwagi, bodźcem do działania. Był po prostu rzeczywistością jego życia. Nauczył się oczekiwania na ten ból i przeczekiwania go, gdy nastawał. Prócz bólu uświadamiał sobie niewiele więcej z tego, co wiązało się z jego ciałem. Jego interoreceptory jeszcze nie pogodziły się z realnością nowej cielesnej powłoki. Nie wiedział, kiedy mu zastąpiono i uzupełniono oczy, płuca, serce, uszy, nos i skórę. Nie wiedział, jak rozpoznawać oznaki i wyciągać z nich wnioski. Smak krwi i wymiotów w gardle: skąd miał wiedzieć, że to oznacza wyjęcie mu płuc? Ciemność, utajony w czaszce ból, jakże niepodobny do żadnego znanego bólu głowy: jak mógł poznać, co to oznacza, po czym mógł odróżnić usunięcie mu całego układu wzrokowego od przekręcenia wyłącznika światła? W jakimś momencie niejasno

sobie uświadomił, że kiedyś przestał wyczuwać węchem znajomy szpitalny zapach perfumowanego dezodorantu i środka dezynfekcyjnego. Kiedy? Nie wiedział. Wiedział tylko tyle, że nie ma już w jego otoczeniu żadnych zapachów.

Słyszał. Z czułą selektywnością i na takim poziomie percepcji, jakiego nigdy przedtem nie doświadczał, słyszał każde słowo wypowiedane w pokoju, choćby najcichszym szeptem, a także większość tego, co działo się w sąsiednich pokojach. Słyszał, co ludzie mówią, gdy był na tyle przytomny, żeby w ogóle słyszeć. Rozumiał słowa. Wyczuwał życzliwość Katarzyny Doughty oraz Jona Freelinga i rozumiał niepokój czy rozdrażnienie kryjące się w głosach zastępcy dyrektora i generała. A nade wszystko odczuwał ból. Jakże wiele istniało różnych rodzajów bólu! Odczuwał gojenie się blizn pooperacyjnych i wściekłe pulsowanie tkanek uszkodzonych niechcący w trakcie głównego zabiegu. Odczuwał niezliczone igiełki bólu, gdy Freeling lub pielęgniarki wkłuwały końcówki aparatury w tysiące bolesnych miejsc na powierzchni jego ciała, żeby uzyskać odczyty instrumentów. I odczuwał głębszy, wewnętrzny ból sprawiający czasami wrażenie bólu fizycznego, który przenikał go na myśl o Dorce. Będąc czasami przytomny pamiętał, żeby zapytać, czy przyszła do niego albo czy dzwoniła. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek uzyskał odpowiedź. A pewnego pięknego dnia poczuł nowy, palący ból pod czaszką... i zdał sobie sprawę, że to jest światło. Odzyskał wzrok.

Kiedy pielęgniarki zauważyły, że je widzi, natychmiast doniosły o tym Jonowi Freelingowi, który chwycił słuchawkę i zatelefonował do Brada.

- Zaraz tam będę - rzekł Brad. - Trzymać go w ciemności do mojego przyjścia.

Dojazd zajął Bradowi ponad pół godziny, a gdy przybył, widać było, że ledwo trzyma się na nogach. Zniósł antyseptyczny prysznic, antyseptyczne płukanie ust, nakładanie maski ochronnej i wszedł do pokoju Rogera. Głos z łóżka powiedział:

- Kto tam?

- To ja. Brad. - Macając z boku przy drzwiach znalazł pokrętko kontaktu. - Włączę odrobinę światła, Roger. Powiedz, jak mnie zobaczysz.

- Teraz cię widzę - zaszemrał głos. - Przynajmniej domyślam się, że to ty.

Brad powstrzymał dłoń.

- Diabła tam widzisz... - zaczął i zamilkł raptownie. - Co rozumiesz przez to, że mnie widzisz? Co widzisz?

- No - szepnął głos - twarzy nie rozpoznaję. Jedynie coś jakby łunę. Ale widzę twoje dłonie i twoją głowę. Świecą się. I odróżniam zarysy twego tułowia i ramion całkiem dobrze. Chociaż znacznie słabiej... ach, tak, widzę również twoje nogi. Ale twarz masz cudaczną. Na środku jeden duży kleks.

Brad dotknął maski ochronnej, pojmując.

- Podczerwień. Ty widzisz ciepło. Co jeszcze widzisz, Roger?

Łóżko milczało przez moment, po czym:

- No więc, coś w rodzaju prostokąta światła, pewnie futryna drzwi. Właściwie widzę tylko jej zarys. I coś nieźle świeci z drugiej strony pod ścianą, skąd również i słyszę coś... telemetryczne monitory? I widzę swoje własne ciało, a przynajmniej widzę na nim prześcieradło, na prześcieradle zaś obrys mojego ciała.

Brad rozejrzał się po pokoju. Mimo że miał czas na akomodację, nie widział prawie nic: deseń w groszki iluminowanych tarcz monitorów i nikłą pajęczynę poświaty sączącej się wokół drzwi za jego plecami.



- Brawo, Róg. Coś jeszcze?

- Owszem, ale nie wiem, co to jest. Jakieś światła nisko w dole, tuż koło ciebie. Bardzo słabe.

- To pewnie będą przewody grzejne. Świetnie się spisujesz, chłopie. No dobrze, teraz trzymaj się. Dam trochę światła na pokój. Tobie może to i niepotrzebne do niczego, ale miej wzgląd na mnie i na pielęgniarki. Mów, co czujesz.

Powolutku obrócił pokrętko, milimetr po milimetrze, jedną ósmą obrotu, jeszcze odrobinę. Ożyły wokoło pod sufitem ukryte za gzymsem światła - początkowo słabiutkie, następnie ciut-ciut silniejsze. Brad mógł już dojrzeć kształt na łóżku, najpierw lśnienie rozpostartych, przekreślonych do przodu skrzydeł ponad ciałem Rogera Torrawaya, potem samo ciało do pasa spowite w prześcieradło.

- Widzę cię już - westchnął Roger swoim wątlým głosem. - Teraz jest trochę inaczej - teraz widzę barwę i nie świecisz tak bardzo.

Brad zdjął dłoń z kontaktu.

- To nam wystarczy na razie. - Chwiejnie oparł się plecami o ścianę. - Przepraszam - powiedział. - Przeziębilem się czy coś takiego... No i jak z tobą, czujesz coś? To znaczy jakiś ból, cokolwiek w tym rodzaju?

- Brad, na rany Jezusa!

- No nie, to znaczy w związku z widzeniem. Czy bolą cię od światła twoje... twoje oczy?

- One są chyba jedyną rzeczą, która mnie nie boli - westchnął Roger.

- Świetnie. Dam ci odrobinę więcej światła... o z tyle, dobrze? Nie razi?

- Nie.

Brad zbliżył się na miękkich nogach do łóżka.

- W porządku, chcę, żebyś postarał się coś zrobić. Czy możesz... no, tego, zamknąć oczy? To znaczy, czy możesz wyłączyć receptory wzroku?

Milczenie.

- Chyba... chyba nie.

- Otóż możesz, Róg. Zdolność masz wprogramowaną, ty tylko musisz ją odkryć. Willy miał z tym na początku niewielkie kłopoty, ale doszedł do tego. Mówił, że kręcił się niczym pies za własnym ogonem, aż nagle to przyszło samo.

- ...Nic nie przychodzi.

Brad zastanowił się przez moment. W głowie mu się mąciło od infekcji i czuł, jak uchodzi zeń energia.

- Może z innej beczki. Miałeś kiedyś kłopoty z zatokami?

- Nie... zaraz, chyba tak. Trochę.

- Przypominasz sobie, gdzie ci dokuczały?

Kształt na łóżku poruszył się niespokojnie, nie spuszczał z Brada ogromnych oczu.

- Chyba... chyba tak.

- Poszukaj w tamtej okolicy - polecił Brad. - Sprawdź, czy potrafisz odnaleźć mięśnie i poruszyć nimi. Tych mięśni tam nie ma, ale są kierujące nimi zakończenia nerwowe.

- ...Nic. Jakiego ja szukam mięśnia?

- O jasny gwint, Roger! Nazywa się to rectus lae-tralis, i dużo ci to pomoże? Po prostu kręć się przy tym.

- ...Nic.

- No dobrze - Brad westchnął. Daj sobie spokój na razie. Nie zapominaj i próbuj dalej jak

najczęściej, dobrze? Dojdiesz, jak się to robi.

- Ładna pociecha - wyszeptał urażony głos z łóżka. - Hej, Brad? Jesteś bardziej świetlany.

- Co rozumiesz przez bardziej świetlany? - warknął Brad.

- Bardziej świecisz. Bardziej ci się świeci twarz.

- Taaa - rzekł Brad uświadamiając sobie, że znowu zaczyna dostawać zawrotów głowy. -

Pewnie mam gorączkę. Lepiej będzie, jak się stąd wyniosę. Ta gaza to po to, żeby cię nie zaraził, ale starczy na jakieś piętnaście minut...

- Zanim odejdziesz - szepnął natarczywie głos - zrób coś dla mnie. Zgaś znów na chwilę

światła.

Brad wzruszył ramionami i spełnił prośbę.

- No?

Usłyszał, jak niezdarne ciało przemieszcza się na łóżku.

- Obracam się tylko, żeby lepiej widzieć - zameldował Roger. - Posłuchaj, Brad, chcę cię zapytać, jak nam idzie? Czy dam radę?

Brad milczał, zbierając myśli.

- Myślę, że tak - odparł szczerze. - Jak dotąd, wszystko gra. Nie będę ci wciskał kitu, Roger. To jest pionierska robota i coś może nawalić. Ale jak dotąd na nic takiego się nie zanosi.

- Dzięki. Jeszcze jedno, Brad. Byłeś ostatnio u Dorki?

Milczenie.

- Nie, Roger. Nie byłem już ponad tydzień. Źle się czułem, a jak nie czułem się źle, byłem cholernie zajęty.

- Aha, słuchaj, myślę, że mógłbyś rzeczywiście zostawić te światła tak jak były, niech pielęgniarki nie błądzą po omacku.

Brad ponownie przekreślił kontakt.

- Wpadnę, jak tylko będę mógł. Ćwicz zamykanie oczu, obiecujesz? No i masz telefon, dzwoń do mnie, kiedy ci tylko przyjdzie ochota. To znaczy nie kiedy coś się stanie - i tak będę wiedział, jak coś się przytrafi, spokojna głowa, nie wychodzę na siusiu nie zostawiwszy telefonu, pod którym można mnie złapać. Po prostu gdybyś chciał pogadać, tylko.

- Dzięki, Brad. Do zobaczenia.

Przynajmniej operacje miał już za sobą, a w każdym razie najgorsze. Kiedy dotarło to do jego świadomości, Roger odczuł pewnego rodzaju spokój ducha, bardzo mu drogi, jakkolwiek nadal w jego duszy było więcej niepokojów, niżby sobie życzył.

Klara Bly oporządziła go i wbrew wyraźnym zakazom postawiła mu kwiaty, również dla podniesienia go na duchu.

- Dobra z ciebie dziewczyna - wyszeptał Roger, obróciwszy głowę, żeby popatrzeć na kwiaty.

- Jak je widzisz?

- No więc, to są róże, ale nie czerwone. Bładożółte? W przybliżeniu ten sam kolor co twojej bransoletki.

- Pomarańczowy. - Skończyła opatulać mu nogi świeżym prześcieradłem. Płótno wyduło się z lekka od wyporu hydrostatycznego fluidalnego łoża. - Chcesz basen?

- Na co? - odburknął.

Znajdował się w trzecim tygodniu diety treściwej, a w dziewiątym dniu kontrolowanego przyjmowania płynów. Jego układ wydalania stał się, jak to wyraziła Klara, czysto dekoracyjny.

- Wolno mi wstawać, tak czy owak - powiedział. Wiec gdyby coś się działo, dam sobie radę.

- Jaki dorosły - uśmiechnęła się Klara i wyszła ze zwiniętą w tobołek brudną pościelą.

Roger usiadł i podjął swoje badania nad otoczeniem. Zmierzył i zważył spojrzeniem róże. Wielkie fasetowe oczy obejmowały niemal całą dodatkową oktawę radiacji, co oznaczało pół tuzina barw, których Roger nigdy przedtem nie widział, od podczerwieni do ultrafioletu, ale nie miał dla nich nazw, więc widmo tęczy, jakie oglądał przez całe życie, rozciągnęło się obejmując je wszystkie. Wiedział, że to, co wydaje mu się ciemną czerwienią, jest niskiej wartości ciepłem. Lecz nawet stwierdzenie, że to wydaje się czerwienią, niezupełnie odpowiadało prawdzie; było to jedynie światło odmiennej jakości, kojarzącej się z ciepłem i przytulnością. Jakby nie patrzeć, róże miały w sobie coś bardzo dziwnego - i to wcale nie kolor.

Odrzucił prześcieradło i spojrzał w dół na siebie. Nowa skóra nie miała porów, włosów ani zmarszczek. Bardziej przypominała gumowy skafander niż znane mu od urodzenia ciało. Wiedział, że pod nią mieści się całe nowe umięśnienie z napędem mechanicznym, ale nie zdradzał tego żaden symptom.

Niebawem wstanie i będzie chodził o własnych siłach. Musi się jeszcze trochę do tego przygotować.

Włączył telewizor. Ekran rozjarzył się oślepiającą mozaiką kropek purpury, cyjanu i zieleni. Wymagało od Rogera siły woli, żeby zobaczyć w tym trzy śpiewające wśród wygibasów dziewczyny, gdyż jego nowe oczy z uporem rozkładały obraz na czynniki pierwsze. Przełączył program i trafił na dziennik. Nowa Ludowa Azja wysłała dalsze trzy atomowe okręty podwodne z "kurtuazyjną wizytą" do Australii. Rzecznik prasowy prezydenta Deshatine'a oświadczył dobitnie, że nasi sojusznicy w Wolnym Świecie mogą na nas liczyć. Przegrały wszystkie futbolowe drużyny Oklahomy. Roger wyłączył telewizor stwierdziwszy, że przyprawia go o ból głowy. Przy każdym poruszeniu odnosił wrażenie, że linie rozjeżdżają się ukośnie, zaś z tyłu telewizora bije zagadkowa jaskrawa luna. Po odcięciu dopływu prądu przez pewien czas obserwował zanikanie poświaty katodowej kineskopu i zauważył, że zagadkowa luna ciemnieje i przygasa. Uprzytomnił sobie, że to ciepło.

Zaraz, jak to Brad powiedział? "Poszukaj w tej okolicy, gdzie masz zatoki". Dziwnie czuł się przebywając, po pierwsze, w nieznanym ciele, a w dodatku usiłując wymacać w nim jakąś regulację nerwową, której nikt zgoła nie umiał zdefiniować. Tylko po to, żeby zamknąć oczy! Lecz Brad zapewnił go, że może tego dokonać. Postawa Rogera wobec Brada była złożona, a jednym z jej elementów była duma: skoro Brad powiedział, że każdego na to stać, zatem stać na to Rogera.

Tylko że go na to nie stać. Próbował każdej kombinacji skurczu mięśni i siły woli i nic się nie działo. Nieoczekiwanie opadło go wspomnienie sprzed lat, z czasów, kiedy on i Dorka dopiero co wzięli ślub. Nie, nie wzięli ślubu, wtedy jeszcze nie, wtedy żyli ze sobą - przypomniał sobie - jak mąż z żoną, sprawdzając, czy nie przejdzie im ochota, a postanowienie, żeby żyć jak ślubny mąż ze ślubną żoną, jest trwałe. Był to ich okres transcendencji masażowo-myślowej, w którym zgłębiali się nawzajem na wszelkie sposoby, jakie tylko przyszły obojgu do głowy, i Rogerowi przypomniał się zapach oliwki dla dzieci z domieszką odrobiny piżma, i jak zaśmiewali się nad wskazówkami drugiej czakry: "Weź głęboki wdech, aż do śledziony, i zatrzymaj powietrze, po czym wypuszczaj je gładząc jednocześnie dłońmi partnera z dołu do góry po obu stronach kręgosłupa". W żaden sposób nie potrafili umiejscowić śledziony, a Dorka była przekomiczna w swej wędrowce po intymnych zakątkach ich ciał: "Tutaj? A może tutaj? Och, Róg, słuchaj, tym masz niepoważny stosunek do..."

Poczuł nagły ból gdzieś w głębi, ogarniający go szalonym wirem, i osunął się w pustkę. D

orka!

Drzwi rozwarły się z trzaskiem.

Klara Bly wleciała z jasnymi oczami jak koła w czarnej, ślicznej twarzyczce.

- Roger! Co ty wyprawiasz?

Odetchnął głęboko, powoli, nim przemówił.

- O co chodzi?

Słyszał drewniane brzmienie własnego głosu - mało zostało w nim barwy po tym, co mu zrobili.

- Wszystkie twoje czujniki dostały płasawicy! Myślałam... Nie wiem, co myślałam, Roger.

Ale cokolwiek się stało, sprawiło ci kłopot.

- Przepraszam, Klaro.

Obserwował ją, gdy pomknęła do monitorów na ścianie, sprawdzając je pośpiesznie.

- Wyglądają już nieco lepiej - powiedziała z ociąganiem. - Chyba wszystko w porządku.

Ale coś ty u licha ze sobą wyczyniał?

- Martwiłem się - rzekł.

- Czym?

- Tym, że nie wiem, gdzie jest śledziona. Ty wiesz?

Przyglądała mu się przez chwilę w zamyśleniu, zanim odparła:

- Pod dolnymi żebrami, z lewej strony. Mniej więcej tam, gdzie wydaje ci się, że masz serce. Odrobinę niżej. Robisz ze mnie balona, Roger?

- No, coś jakby. Przypuszczam, że wspominałem coś, czego nie powinienem, Klaro.

- Proszę, żebyś tego więcej nie robił!

- Postaram się.

Lecz myśl o Dorce i Bradzie nadal czaiła się gdzieś na skraju jego świadomości. Zmienił temat:

- Coś jeszcze: usiłuję zamknąć oczy i nie mogę.

Zbliżyła się i pogłaskała go z serdecznym współczuciem po ramieniu.

- Będiesz mógł, kochanie. - Uhm.

- Ależ naprawdę. Byłam przy Willym mniej więcej w tym samym czasie i to go też nieźle zniechęciło. Ale poradził sobie. No, a na razie - powiedziała oddalając się - ja to zrobię za ciebie.

Cisza nocna, gasimy światła. Rankiem musisz być rześki jak skowronek.

- Po co? - odezwał się podejrzliwie.

- Och, nie będzie już żadnego krojenia. Z tym na razie koniec. Czy Brad ci nie mówił?

Jutro podłączają cię do komputera, żeby ruszyć z tą całą mediacją. Będziesz miał huk roboty, Roger, więc prześpij się trochę.

Zgasiła światło i Roger przyglądał się, jak jej ciemna buzia przechodzi w łagodną światłość, kojarzącą mu się z kolorem brzoskwini. Coś mu przyszło do głowy.

- Klaro? Zrobisz coś dla mnie?

Przystanęła z dłonią na drzwiach.

- Co takiego, kochanie?

- Chcę cię o coś zapytać.

- Więc pytaj.

Zawahał się, rozmyślając, jak przeprowadzić to, co zamierzał.

- Chciałbym się dowiedzieć - rzekł układając to sobie w głowie na gorąco - mianowicie, jakby to... ach, tak. Chciałbym się dowiedzieć mianowicie, w jakich pozycjach odbywasz stosunek z

mężem?

- Roger!

Światłość jej twarzy podskoczyła na pół decybelę; widział pod jej skórą siatkę żyłek nabiegających krwią.

- Przepraszam cię, Klaro - powiedział. - Pewnie... pewnie od tego ciągłego leżenia nachodzi mnie, no wiesz, chęćka. Zapomnij, że cię o to pytałem, bardzo proszę.

Milczała przez chwilę. Kiedy odzyskała głos, przemówiła oficjalnym tonem, już nie serdecznym.

- Oczywiście, Roger. Nie ma sprawy. Po prostu trochę mnie zaskoczyłeś. Wszystko... no, wszystko w porządku, tylko że nigdy z niczym takim do mnie nie wyskakiwałeś.

- Wiem. Przykro mi.

Ale nie było mu przykro, czy też niezupełnie. Patrzył, jak zamykają się za nią drzwi, i studiował prostokątny obrys światła przesączonego się z korytarza. Przewornie ze wszystkich sił starał się zachować spokój. Nie chciał, żeby monitory ponownie uderzyły na alarm. Chciał bowiem pomyśleć o czymś, co znajdowało się na samej granicy strefy zagrożonej, a mianowicie jak to się dzieje, że numer, jaki wykręcił Klarze Bly, wywołał na jej twarzy rumieniec, który tak bardzo przypominał raptowną światłość wywołaną na twarzy Brada pytaniem o to, czy był u Dorki.

Nazajutrz znajdowaliśmy się w stanie pełnej mobilizacji, kontrolując obwody, dołączając systemy rezerwowe, upewniając się, że przełączniki automatyczne są nastrojone na przełączanie przy najslabszym sygnale awarii. Brad przybył o 6.00, osłabiony, lecz z jasną głową i gotowy do pracy. Weidner oraz Jon Freeling zjawili się dosłownie chwilę po nim, chociaż główna robota na ten dzień należała w całości do Brada. Nie wytrzymali i przyszl. Katarzyna Doughty była też, a jakże, tak jak była przy wszystkich etapach, nie dlatego, że dyktowały jej to obowiązki, lecz dlatego, że dyktowało jej to serce.

- Nie zamęcz mi chłopaka - warknęła znad papierosa. - Będą mu potrzebne wszystkie siły, kiedy ja zabiorę się za niego w przyszłym tygodniu.

- Katarzyno - powiedział Brad, akcentując każdą zgłoskę. - Zrobię, do jasnej cholery, co w mojej mocy.

- Aha. Wiem, że zrobisz, Brad. - Zgniotła papierosa i natychmiast zapaliła drugiego. - Nigdy nie miałam dzieci, więc pewnie Roger i Willy to dla mnie swego rodzaju namiastki.

- Aha - mruknął Brad już nie słuchając.

Nie miał kwalifikacji ani pozwolenia, żeby tknąć się 3070 bądź któregoś z urządzeń pomocniczych. Pozostało mu tylko patrzeć i czekać, aż technicy i programiści zrobią swoje. Kiedy trzeci sprawdzian dobiegał końca bez zgrzytu, wreszcie opuścił pomieszczenie komputera i pojechał windą trzy piętra wyżej do pokoju Rogera. Przed drzwiami przystanął na chwile i odetchnął parę razy, po czym z uśmiechem na ustach otworzył drzwi.

- Jesteś prawie gotowy do podłączenia, chłopie - rzekł. - Czujesz się na siłach?

Owadzie oczy obróciły się ku niemu. Bezbarwny głos Rogera powiedział:

- Nie wiem, jak mam się czuć. Bo to, co czuję naprawdę, to strach.

- Och, nie masz się czego bać. Dziś jedynie - dodał pośpiesznie Brad - przetestujemy mediację, nic więcej.

Nietoperzowe skrzydła zadrżały i zmieniły położenie.

- Czy to mnie może zabić? - spytał irytująco monotony głos.

- Och, daj spokój, Roger! - rozeźlił się nagle Brad.

- To przecież tylko pytanie - zatykotał głos,
- To jest do dupy pytanie! Słuchaj, wiem, jak się czujesz...
- Wątpię.

Brad zamilkł, wpatrując się w nieodgadnioną twarz Rogera. Po chwili rzekł:

- Pozwolisz, że powtórzę wszystko jeszcze raz. Moim celem jest nie zabicie ciebie, tylko, przeciwnie, utrzymanie cię przy życiu. Ty myślisz, rzecz jasna, o tym, co spotkało Willy'ego. Ciebie to nie spotka. Poradzisz sobie ze wszystkim, co cię czeka tutaj oraz na Marsie, gdzie to się liczy.

- Dla mnie liczy się tutaj - rzekł Roger.

- Och, na litość boską. Kiedy system rozkręci się na całego, będziesz widział i słyszał jedynie to, co potrzebujesz. Albo co zechcesz. Będziesz miał od groma wolicjonalnej kontroli. Będziesz w stanie...

- Ja nawet jeszcze nie jestem w stanie zamknąć własnych oczu, Brad.

- Będiesz. Będziesz w stanie ruszać wszystkim. Ale nie ruszysz niczym, dopóki z tym nie wystartujemy. Wówczas cały ten gips odfiltruje niepotrzebne bodźce, żebyś nie popadł w dezorientację. Bo to właśnie zabiło Willy'ego: dezorientacja.

Zapadła cisza, w której mózg za groteskową twarzą przetrawiał to, co usłyszał. W końcu Roger powiedział:

- Marnie wyglądasz, Brad.

- Przykro mi. Ale faktycznie nie czuję się zbyt dobrze.

- Jesteś pewny, że sobie z tym poradzisz?

- Jestem pewny. Ejże, Roger. Co ty mi tu wciskasz? Czy chcesz to wszystko przełożyć?

- Nie.

- No to czego chcesz?

- Sam chciałbym wiedzieć, Brad. Zabieraj się do roboty.

Do tego czasu byliśmy już w pełnej gotowości; światełka "start" migotały zielenią od kilku minut. Brad wzruszył ramionami i rzekł markotnie do dyżurnej pielęgniarki:

- Gaz do dechy.

Nastąpiło wówczas dziesięć godzin rozruchu obwodów mediacyjnych, jednego po drugim, sprawdzianów, regulacji, próbowania przez Rogera jego nowych zmysłów na kleksach Rorschacha i kołach barw Maxwella.

Dzień mijał Rogerowi jak z bicza trząśł. Jego poczucie czasu stało się zwodnicze. Nie było już regulowane przez tkwiące w każdym człowieku zegary biologiczne, lecz przez jego mechaniczne części składowe; one zwalniały mu percepcję czasu w sytuacji bezstresowej, przyśpieszając ją w potrzebie.

- Wolniej - błagał, patrząc na pielęgniarki, które śmigały wokół niego jak kule karabinowe, i oto gdy Brad, padający na nos ze zmęczenia, zwalił tackę z tuszem i kredkami, przedmioty te dla Rogera zdawały się spływać ku ziemi. Nie miał trudności ze złapaniem dwóch buteleczek tuszu i samej tacki, zanim to wszystko wylądowało na podłodze. Zastanawiając się nad tym później, zdał sobie sprawę, że były to przedmioty, które mogły roztrzaskać się i zalać podłogę. Woskowym kredkom pozwolił spokojnie zlecieć. W owym ułamku sekundy przeznaczonym na decyzję wybrał przedmioty wymagające z łapania, a pozwolił spaść pozostałym, nie uświadamiając sobie nawet, co robi. Brad był wielce zadowolony.

- Spisujesz się wspaniale, chłopie - powiedział, oparty w nogach łóżka. - Ja już spływam trochę pokimac, ale będę u ciebie jutro po operacji.

- Operacji? Jakiej operacji?

- Och - rzekł Brad - tylko małeńki retuszyk. Nic w porównaniu z tym, co już przeszedłeś, możesz mi wierzyć! Od tej pory - mówił zbierając się do wyjścia - twój poród jest niemal zakończony, teraz musisz już tylko dorosnąć. Ćwicz. Naucz się posługiwać tym, co masz. Wszystkie ciężkie chwile są za tobą. Jak ci idzie z wyłączaniem widzenia na życzenie?

- Brad - zabrzmiał matowy głos, głośniejszy w amplitudzie, lecz tonalnie błady - czego ty do cholery ode mnie chcesz? Staram się!

- Wiem, wiem - powiedział Brad pojednawczo. - No, to do jutra...

Po raz pierwszy tego dnia Roger został sam. Poddawał próbom swoje nowe zmysły. Spostrzegł, że mogą mu się bardzo przydać w sytuacjach walki o życie. Ale też i dezorientowały. Wszelkie drobne codzienne hałasy ulegały wzmocnieniu. Słyszał rozmowę Brada z Freelingiem w korytarzu i schodzące z dyżuru pielęgniarki. Wiedział, że za pomocą uszu, jakie przyniósł sobie na świat, nie byłby w stanie złowić choćby szmeru, a teraz mógł dowolnie rozróżniać słowa:

- ...miejscowe znieczulenie, ale ja nie chcę. Chcę go wyłączyć. Przeszedł dosyć wstrząsów.

To mówił Freeling do Brada.

Światła były jaśniejsze niż przedtem. Usiłował zmniejszyć czułość swego widzenia, ale nic z tego nie wyszło. Tak naprawdę - pomyślał - wystarczy mi pojedyncza lampka choinkowa. Taka lampka to kupa światła; te tutaj reflektory subiektywnej jasności wprowadzają zamęt. Ponadto - zaobserwował - te światła tak pulsują, że można dostać kota; postrzegał każdy impuls prądu o częstotliwości sześćdziesięciu herców. Wewnątrz świetlówek widział wijącego się gazowego węża światła. Z drugiej strony, żarówki były niemal ciemne, z wyjątkiem jaskrawych żarników pośrodku, które mógł szczegółowo badać wzrokiem. Nie odczuwał żadnego przemęczenia oka, nawet gdy wpatrywał się w najjaśniejszą żarówkę.

Usłyszał nowy głos na korytarzu i wyostrzył słuch, żeby go rozpoznać: Klara Bly, przybyła właśnie do pracy na nocny dyżur.

- Jak tam pacjent, doktorze Freeling?

- W porządku. Sprawia wrażenie wypoczętego. Nie musiałaś mu dawać proszka nasennego wczoraj wieczorem?

- Nie. Miał się dobrze. Trochę jakby... - zachichotała - trochę jakby napalony, co prawda. Przystawiał się do mnie w taki sposób, jakiego bym się nie spodziewała po Rogerze.

- Hm. - Nastąpiła zagadkowa przerwa. - Cóż, z tym nie będzie już więcej problemów. Muszę sprawdzić odczyty. Miej tu oko.

Roger pomyślał, że musi być szczególnie miły dla Klary, co nie sprawi mu trudności, gdyż była jego ulubienicą wśród pielęgniarek. Leżał na wznak, zasłuchany w szelest swoich własnych czarnych skrzydeł i rytmiczne tykanie tablicy telemetrycznej. Był bardzo zmęczony. Z przyjemnością by zasnął...

Zerwał się. Światła zgasły! Po czym znów zapłonęły, jak tylko zdał sobie sprawę z ich braku. Nauczył się zamykać oczy! Zadowolony ponownie opadł na łagodnie rozkołysane łóżko. To prawda, rzeczywiście robi postępy.

Obudzili go, nakarmili, po czym znów uspili do ostatniej operacji. Bez narkozy.

- Po prostu cię wyłączymy - powiedział Jon Freeling. - Nic me poczujesz.

I faktycznie nie poczuł.

Najpierw wtoczyli go przez sąsiednie drzwi do sali operacyjnej, z kroplówkami, rurkami,

drenami i całym kramem. Nie czuł woni środka odkażającego, ale wiedział, że jest; postrzegał jasność zbierającą się na kantach każdego metalowego przedmiotu, ciepło ze sterylizatora, podobnego słonecznemu rozbłyskowi na ścianie.

A potem doktor Freeling polecił wyłączyć go, a my to wykonaliśmy. Przymknęliśmy jego doprowadzenia bodźców jedno po drugim; odczuwał to tak, jakby dźwięki osłabły, światła przygasły, dotknięcia na jego ciele zdelikatniały. Stłumiłyśmy doprowadzenia bólowe na całej jego nowej skórze, wygaszając je całkowicie tam, gdzie miał ciąć nóż i gdzie miała przekłuwać igła Freelinga. Z tym problem był złożony. Wiele doprowadzeń bólowych miało mu pozostać po wyzdrowieniu. Kiedy znajdzie się sam na powierzchni Marsa, musi mieć jakiś system ostrzegawczy, coś, co by sygnalizowało o doznanym oparzeniu, ranie lub awarii, a ból był najostrzejszym sygnałem alarmowym, jaki mogłyśmy mu podarować. Lecz dla znacznego obszaru jego ciała ból przestał istnieć. Raz wygaszone doprowadzenia całkowicie wymazywałyśmy z zespołu jego narządów zmysłów.

Roger nic o tym, rzecz jasna, nie wiedział. Roger po prostu zapadł w sen, a potem obudził się. Obudził się, podniósł wzrok i wrzasnął. Odchylony w tył i rozprostowujący palce Freeling podskoczył, upuszczając maskę.

- Co się stało?

- Jezusie! - powiedział Roger. - Przez moment widziałem tu... sam nie wiem. Może to był sen? Ale widziałem was wszystkich wokół siebie, jak patrzycie na mnie z góry, i wyglądaliście jak banda upiórów. Szkielety. Czaszki. Wyszczерzone do mnie w uśmiechu! I nagle znów byliście sobą.

Freeling spojrział na Weidnera i wzruszył ramionami.

- Myślę - powiedział - że to jedynie twoje obwody mediacyjne w akcji. Kapujesz? Przekładają to, co widzisz, na coś, co możesz bezpośrednio pojąć.

- Nie podoba mi się to - Roger był wściekły.

- No cóż, będziemy musieli pogadać o tym z Bradem. Ale szczerze mówiąc, Roger, myślę, że to ma tak właśnie być. Myślę, że to tak, jakby komputer przejął twoje doznania lęku i bólu, wiesz, to co każdy odczuwa w czasie operacji, i nałożył je na bodziec wzrokowy: nasze twarze, maski, wszystko w kupie. Ciekawe. Zastanawia mnie, ile z tego wzięło się z mediacji, a ile to zwykłe pooperacyjne majaki?

- Miło mi, że cię to ciekawi - obruszył się Roger.

Ale tak naprawdę i jemu wydawało się to ciekawe. Kiedy znalazł się z powrotem w swoim pokoju, popuścił cugli wyobraźni. Nie potrafił przywołać fantastycznych wizji na życzenie. Przychodziły, gdy chciały przyjść, ale już nie tak przerażające jak ów pierwszy straszny przelotny widok gołych żuchw i pustych oczodołów.

Weszła Klara z basenem i gdy odchodziła po tym, jak zrezygnował z basenu machnięciem ręki, obserwował ją w zamykających się drzwiach i cień drzwi stał się wylotem jaskini, a Klara Bly jaskiniowym niedźwiedziem, pomrukującym na niego gniewnie. Ciągłe jest odrobinę zagniewana - uświadomił sobie; jakiś infradźwiękowy sygnał w jej twarzy zapisywał się w jego zmysłach, był analizowany przez buczący 3070 piętro niżej i wyświetlany jako przestroga. Za to następnym razem miała twarz Dorki. Twarz ta rozpląnęła jej się i oblekła z powrotem w znajomą ciemną skórę i jasne oczy, zupełnie odmienne niż oczy Dorki, ale Roger uznał to za znak, że znowu wszystko jest między nimi w porządku...

Między Klarą a nim.

Nie - pomyślał - między Dorką a nim. Zapatrzył się na telefon przy łóżku. Zgodnie z jego żądaniem obwody wizyjne były na stałe odłączone; bał się, że zadzwoni do kogoś zapominając, co



tamci mogą zobaczyć. Jednak w ogóle nie skorzystał z telefonu, żeby zadzwonić do Dorki. Dość często wyciągał rękę po słuchawkę, lecz za każdym razem cofał.

Nie wiedział, co jej powiedzieć. Jak zapytać własną żonę, czy sypia z twoim najlepszym przyjacielem? Szorujesz do baby i walisz prosto z mostu, ot i wszystko - odpowiedziało Rogerowi jego poczucie odwagi cywilnej, ale nie potrafił przemóc się do końca, żeby tak zrobić. Nie miał dostatecznej pewności. Nie potrafił zdobyć się na sformułowanie takiego oskarżenia - mógł się przecież mylić.

Szkopuł w tym, że nie mógł również zwierzyć się z tego przyjaciółom, żadnemu z nich. Don Kayman nadawałby się tu z natury rzeczy, w ramach powinności kapłańskich. Lecz Don Kayman był tak wyraźnie, tak słodko i tak czule zakochany w swej ślicznej siostrzyczce, że Roger nie miał serca rozmawiać o braku serca z nim właśnie. Co do reszty zaś jego przyjaciół, problem polegał na tym, że oni by doprawdy nie widzieli, w czym problem. Małżeństwo otwarte było tak powszechne w Tonce - właściwie niemal w całym zachodnim świecie - że to raczej należące do rzadkości zamknięte pary małżeńskie bywały przedmiotem plotki. Przyznać się do zazdrości nie było łatwo. A zresztą - powiedział sobie z mocą Torraway - to wcale nie sprawa zazdrości. Niezupełnie zazdrości. Tu chodziło o coś innego. Żadne sycylijskie machismo, żadna wściekłość posiadacza odkrywającego, że ktoś przełazi przez płot do jego własnych rajszych ogrodów. Chodziło tu o to, że Dorka powinna pragnąć miłości tylko jego. Ponieważ on pragnął kochać tylko ją.

Zdał sobie sprawę, że osuwa się w taki stan umysłu, jaki niechybnie uruchomi dzwonki alarmowe na telemetrycznych odczytach. Tego nie chciał. Zdecydowanie uciekł myślami od swej żony. Przez jakiś czas ćwiczył "zamykanie oczu"; dowolne uprawianie tej nowej sztuki dodawało mu pewności siebie. Nie umiałby nic a nic lepiej od Willy'ego Hartnetta opasać, co właściwie takiego robi, lecz jakoś był w stanie podjąć decyzję o wstrzymaniu odbioru bodźców wzrokowych, a zespół obwodów w jego głowie i tych na dole wewnątrz 3070 potrafił jakoś przeistoczyć tę decyzję w ciemność. Roger mógł nawet selektywnie przyciemniać światło. Mógł je rozjaśniać. Mógł, jak się przekonał, odfiltrować wszystkie, z wyjątkiem wybranego, pasma długości fal, bądź wygasić jedno wybrane albo rozjaśnić jedną czy więcej barw tęczy bardziej od pozostałych.

Było to doprawdy całkiem przyjemne, jakkolwiek nużące po pewnym czasie. Wolałby już oczekiwać z utęsknieniem lunchu, lecz tego dnia miało nie być żadnego lunchu, częściowo z powodu przebytej przez Rogera świeżo operacji, a częściowo dlatego, że stopniowo odzwyczajali go od jedzenia. Przez parę następnych tygodni miał jeść i pić coraz to mniej; kiedy już znajdzie się na Marsie, tak naprawdę potrzebny mu będzie jeden pełny posiłek miesięcznie.

Odrzucił prześcieradło i objął bezmyślnym spojrzeniem ten sztuczny twór, jakim uczyniono jego ciało. W chwilę później wydał donośny, chrapliwy krzyk trwogi i bólu. Wszystkie telemetryczne monitory rozbłysły oślepiającą czerwienią. Na korytarzu Klara Bly zawróciła w pół kroku i pognęła pędem do jego drzwi. Daleko, w kawalerce Brada, dzwonki alarmowe odezwały się ułamek sekundy później, donosząc mu o czymś pilnym i ważnym, co wyrwało go z płytkiego, męczącego snu.

Kiedy Klara Bly otworzyła drzwi, jej oczom ukazał się Roger zwinięty na łóżku w pozycji płodu i jęczący żałośnie. Jedną dłonią przykrywał krocze, pomiędzy stulonymi nogami.

- Roger! Co się stało!?

Głowa uniosła się i owadzie oczy zmierzyły ją niewidzącym spojrzeniem. Roger nie przerwał tych zwierzęcych jęków, nie przemówił. Jedyne unióśł dłoń.

A tam, pomiędzy jego nogami, nie było nic. Ani śladu po takich drobiazgach jak penis, jądra, moszna, nic - tylko połyskujące, sztuczne ciało, a na nim przezroczysty bandaż, kryjący szwy. Tak, jak gdyby nigdy niczego tam nie było. W miejsce pierwotnych cech męskich - pustka.

Przeprowadzono ów "drobny retuszyk", po którym nie pozostało nic.

Dziewięć

Dash przy łożu boleści

Donowi Kaymanowi nie podobała się pora, ale nie miał wyboru - musiał iść do krawca. Na nieszczęście jego krawiec znajdował się na Merritt Island u wybrzeży Florydy, w Atlantyckim Ośrodku Doświadczalnym. Odlatywał tam zmartwiony i wylądował zmartwiony. Nie tylko tym, co stało się z Rogerem Torrawayem. To wydawało się opanowane, za co chwala Bogu miłosiernemu, chociaż Kayman nie mógł się oprzeć uczuciu, że o mały włos nie stracili Rogera i że ktoś popełnił gruby błąd nie przygotowując go na ten ostatni „maleńki retuszyk”. Prawdopodobnie - uważał w swoim miłosierdziu - stało się tak dlatego, że Brad był chory. Ale z pewnością byli o włos od zawalenia całego programu. Gnębiło go jeszcze jedno: nie mógł się pozbyć poczucia winy wywołanego tym, że w głębi duszy pragnął zawalenia programu. Spędził smutną godzinę z siostrą Klotyldą po tym, jak prawdopodobieństwo jego podróży na Marsa obróciło się nagle w brutalną pewność rozkazów. Czy powinni się przedtem pobrać? Nie. Nie powinni z pragmatycznych, praktycznych względów: chociaż nie było najmniejszej wątpliwości, że oboje mogą poprosić i mają szansę uzyskać dyspensę z Rzymu, to również nie było nadziei na uzyskanie jej szybsze niż za pół roku. Może gdyby wystąpili wcześniej... Ale nie wystąpili, a przecież wiedzieli, że bez dyspensy nie tylko się nie pobiorą, ale nawet nie zaczną ze sobą sypiać bez sakramentu. Przynajmniej - powiedziała pod koniec Klotyldą siląc się na uśmiech - nie musisz się martwić o moją wierność. Skoro nie łamię dla ciebie ślubów, wątpię, żebym zła mała je dla innego.

- Wcale się nie martwiłem - odparł, ale teraz, pod roziskrzonym niebem Florydy, podnosząc oczy na wieże startowe wychodzące na spotkanie białym, pierzastym obłokom, teraz się martwił.

Pułkownik piechoty, który zaofiarował się oprowadzić Kaymana, wyczuwał, że jest on zatroskany, ale nie miał pojęcia, jakie mogły być tego przyczyny.

- To całkiem bezpieczne - powiedział na chybił trafił. - Ja bym się nie przejmował wprowadzeniem na niską orbitę spotkaniową.

- To wyrwało Kaymana z zadumy.

- Zapewniam pana, że się nie przejmowałem. Nawet nie wiem, co pan ma na myśli.

- Och. No więc, rzecz w tym, że wypuszczamy pański balonik i obie rakiety pomocnicze na orbitę niższą niż zwykle: dwieście dwadzieścia kilometrów zamiast czterystu. To politykierstwo, rzecz jasna. Nie cierpię, jak urzędasy mówią nam, co mamy robić, ale w tym przypadku to jest naprawdę bez znaczenia.

Kayman zerknął na zegarek. Miał jeszcze godzinę do ostatecznej przymiarki skafandrów marsjańskiego i kosmicznego i nie chciał poddawać się chandrze. Oceniał trafnie, że pułkownik należy do tych szczęściarzy, co to o niczym nie lubią tak rozprawiać, jak o swojej pracy, i że wystarczy tylko od czasu do czasu chrząknąć, aby pułkownik dalej objaśniał wszystko, co da się objaśnić. Chrząknął.

- No więc, ojczy - powiedział wylewnie pułkownik - podstawiamy panu wielki statek, rozumie pan. Zbyt wielki, żeby go wystrzelić w jednym kawałku. Wypuszczamy więc trzy baloniki i spotkacie się na orbicie - dwieście dwadzieścia na dwieście trzydzieści pięć, najlepiej - i spodziewam się, że wygramy w tej gonitwie... no i...

Kayman kiwnął głową, właściwie nie słuchając. Znał już plan lotu na pamięć, wszystko

było w instrukcjach. Otwarta pozostawała jedynie sprawa wyznaczenia dwóch pozostałych pasażerów marsjańskiego "balonika", ale jej rozstrzygnięcie było już tylko kwestią dni. Jeden musiał być pilotem, który pozostanie na orbicie, podczas gdy trzej pozostali wcisną się do marsjańskiego ładownika i opuszczą na powierzchnię planety. Idealem tego czwartego byłby ktoś, kto mógłby pełnić funkcję rezerwowego pilota, aerologa i cyborga, lecz taka osoba nie istniała, rzecz jasna. Wszelako nadszedł już czas na podjęcie decyzji.

Trzy istoty ludzkie, trzy nie odmienione istoty ludzkie - poprawił się - nie posiadały zdolności Rogera przeżycia nago na powierzchni Marsa. Musiałyby przejść przez te same przymiarki, które on teraz przechodził, a potem przećwiczyć postępowanie w różnych sytuacjach jako ostatni szlif, wszystkim zresztą potrzebny, nawet Rogerowi. A do startu pozostało zaledwie trzydzieści trzy dni.

Pułkownik skończył z manewrami cumowania i ponownego montażu i zabierał się do naszkicowania kalendarza wydarzeń dzień po dniu w czasie długich miesięcy podróży na Marsa.

- Chwileczkę, panie pułkowniku. Niezbyt jasne są dla mnie te względy polityczne. Co polityka ma wspólnego z tym, jak my startujemy?

- To te cholerne ekologiczne pierdolce - z odrazą warknął pułkownik - każdemu zajdą za skórę. Te rakiety nośne Teksaskie Bliźniaki nie są małe. Ciąg ze dwudziestu "Saturnów". Stąd masa spalin. Będzie tego jakieś dwadzieścia pięć ton metrycznych pary wodnej na sekundę, razy trzy takie baloniki - od cholery pary wodnej. Mówiąc szczerze, istnieje jakieś tam ryzyko, że para wodna... no więc nie, nie ma się co czarować... wiemy cholernie dobrze... przepraszam, ojciec... że na wysokościach normalnego wprowadzenia na orbitę cała ta para wodna zwiąże wolne elektrony w wielkiej połaci nieba. Odkryli to dawno temu, zaraz, chyba to było w siedemdziesiątym trzecim lub siedemdziesiątym czwartym roku, gdy wprowadzono na orbitę pierwsze laboratorium orbitalne. Związane zostały elektrony w obszarze atmosfery ciągnącym się od Illinois po Labrador, jak później zmierzono. A to, rzecz jasna, właśnie elektrony swobodne pilnują, żebyśmy się zbytnio nie opalili na słońcu. Między innymi. Biorą udział w odfiltrowywaniu promieniowania nadfioletowego słońca. Rak skóry, oparzenia, zniszczenie flory - no cóż, to są rzeczy realne, mogą się przydarzyć. Ale Dashowi nie idzie tu o naszych rodaków! To chodzi o NLA, oto co go gryzie. Dali mu ultimatum, że jeśli nasz start naruszy ich niebo, uznają to za "wrogi akt". Wrogi akt! A jak u diabła nazwać ich defiladę w pięć nuklearnych okrętów podwodnych wokół Cape May w New Jersey? Utrzymują, że to statki oceanograficzne, ale kto używa podwodnych tropicieli krążowników do badań oceanograficznych, w każdym razie nie nasza marynarka wojenna...

- W każdym razie - pułkownik z uśmiechem przypomniał sobie o gościu - dla nas nie ma sprawy. Po prostu wprowadzimy was na orbitę spotkaniową nieco niżej, poza warstwą elektronów swobodnych. Oznacza to większe zużycie paliwa. I w rezultacie większe skażenie, tak jak ja to widzę. Lecz zachowujemy w nietkniętym stanie ich bezcenne wolne elektrony, co wcale nie znaczy, że one mają realną szansę przetrwania za Atlantykiem, w Afryce, nie mówiąc już o Azji...

- Bardzo to interesujące, panie pułkowniku - powiedział uprzejmie Kayman. - Niestety, chyba już na mnie czas.

Czekali na niego z przymiarką.

- Proszę wskoczyć w to na chwileczkę - fizykoterapeuta ekipy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

"Wskoczenie" w kombinezon kosmiczny było to dwadzieścia minut ciężkiej harówki, nawet z pomocą całej ekipy. Kayman uparł się, że zrobi to sam. W statku kosmicznym nie będzie miał

nikogo do pomocy prócz pozostałych członków załogi, zajętych własnymi sprawami, a w nagłym wypadku w ogóle nikogo. Chciał być przygotowany na nagły wypadek. Zajęło mu to godzinę i jeszcze dodatkowe dziesięć minut na wyskoczenie, jak już sprawdzili wszelkie parametry i uznali, że wszystko gra, po czym zaprezentowano mu do przymiarki pozostałe skafandry. Kiedy skończył, na dworze była już ciemna, ciepła jesienna florydzka noc. Spojrzał na wyłożoną na stołach kolekcję ubiorów i uśmiechnął się. Wskazując kolejno na wstążkę anteny radiowej zwisającą z jednego mankietu, na płaszcz antyradiacyjny do zakładania w okresach rozbłysku chromosfery Słońca oraz trykot pod kombinezony, powiedział:

- Aleście mnie wyekwipowali. Mam i manipularz, i ornat, i nawet komżę. Jeszcze parę drobiazgów i mogę śmiało odprawiać mszę.

W rzeczywistości Kayman umieścił pełny komplet szat liturgicznych w przyznanym mu limicie bagażu, poważnie uszczuplając miejsce na książki, taśmy z muzyką i zdjęcia siostry Klotyldy. Nie zamierzał jednak o tym dyskutować z tymi świeckimi ludźmi. Przeciągnął się i westchnął.

- Gdzie tu w pobliżu można dobrze zjeść? - zapytał. - Jakiś befsztyk albo rybkę - coś z tych waszych sławetnych Lucjanów czerwonych, a potem do łóżka...

Podpierający ścianę od dwóch godzin żandarm sił powietrznych zerknął na zegarek i wystąpił naprzód.

- Przepraszam, ojcze - powiedział. - W tej chwili oczekują pana zupełnie gdzie indziej i mamy tam być - jak widzę - za jakieś dwadzieścia minut.

- Gdzie znowu mamy być? Mnie czeka jutro długi lot...

- Przepraszam, sir. Mam rozkaz doprowadzić pana do budynku Dowództwa Bazy Sił Powietrznych im. Patricka. Spodziewam się, że tam powiedzą panu, o co chodzi.

Ksiądz wyprostował się z godnością.

- Kapralu - rzekł - ja nie podlegam waszej jurysdykcji. Proponuję, żebyście mi powiedzieli, o co tu chodzi.

- Nie, sir - zgodził się żandarm. - Nie podlega pan. Ale mam rozkaz doprowadzić pana i, z całym należytym szacunkiem, sir, ten rozkaz wykonam.

Fizykoterapeuta dotknął ramienia Kaymana.

- Ruszaj, Don - powiedział. - Przeczucie mówi mi, że już zawędrowałeś bardzo wysoko.

Sarkając Kayman dał się wyprowadzić i zapakować do poduszkowca terenowego. Kierowca spieszył się. Nie zawracał sobie głowy drogami, tylko skierował pojazd w przybrzeżne fale, sprawdził, ile ma czasu i jaki dystans, i doliną fali wyprysnął w morze. Po czym skręciwszy na południe dał gaz do dechy - w dziesięć sekund robili już przynajmniej sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Nawet na wysokim ciągu, trzy metry w powietrzu ponad średnią wysokością wody, kołysanie i wiry kotłujących się pod pojazdem fal tak nimi rzucały, że Kayman przełykał ślinę rozglądając się za torebką higieniczną w razie wysoce prawdopodobnej potrzeby. Próbował nakłonić kaprala, żeby zwolnił.

- Przepraszam, sir.

Było to ulubione wyrażenie żandarma, jak się zdawało. Udało im się jednak dotrzeć do plaży w bazie Patricka, zanim Kayman się porzygał, wróciwszy zaś na ląd kierowca zwolnił do rozsądnej prędkości.

Kayman wygramolił się i stał pośród parnej, upojnej nocy do momentu, aż uprzedzeni przez radio o jego przybyciu dwaj inni żandarmi zaszalutowali i odprowadzili go do otynkowanego na biało budynku. Nie upłynęło dziesięć minut, jak został rozebrany do naga i obszukany, co mu uświadomiło, jak rzeczywiście wysoko zawędrował.

Samolot prezydencki wylądował w bazie Patricka o godzinie 04.00. Z nogami okrytymi pledem Kayman drzemał na leżaku; obudzono go uprzejmym potrząsaniem i doprowadzono do schodków wejściowych, przy których obsługa cysterny uzupełniała już do pełna zbiorniki w skrzydłach wśród dziwnie niesamowitej ciszy. Bez żadnych rozmów, bez trzaskania mosiężnymi końcówkami węży o aluminiowe kapsle wlewów, jedynie przy akompaniamencie mruczenia pomp cysterny. Ktoś bardzo ważny zażywał snu. Kayman z całego serca żałował, że to nie on. Doprowadzono go na fotel z odchylanym oparciem, zapięto pasami i zostawiono; zanim jeszcze stewardesa z Korpusu Kobięcego opuściła go, samolot zaczął kołować na pas startowy. Kayman usiłował przysnąć, lecz nie zdążyli nawet wspiąć się na wysokość przelotu, jak przyszedł kamerdyner prezydenta i oznajmił:

- Prezydent pana oczekuje.

W pozycji siedzącej, świeżo wygolony wokół swej koziej bródki, prezydent Deshatine wyglądał jak portret własny Gilberta Stuarta. Spoczywał niedbale w skórzanym fotelu, roztargnionymi oczami wyglądając przez okno prezydenckiego odrzutowca i jednocześnie słuchając jakiejś taśmy przez słuchawki. Kawa parowała z filiżanki przy jego łokciu, druga pusta filiżanka stała przy srebrnym dzbanku. Obok tej filiżanki leżało podłużne pudzderko z czerwonej skóry, na której wytłoczony był srebrny krzyż. Dash nie kazał mu czekać. Obejrzał się, uśmiechnął, ściągnął słuchawki i powiedział:

- Dziękuję, ojczy Kaymanie, że dałeś się porwać. Siadaj, proszę. Poczęstuj się kawą, jeśli masz ochotę.

- Dziękuję.

Kamerdyner doskoczył, napełnił filiżankę i wycofawszy się stanął za plecami Dona Kaymana. Ksiądz nie oglądał się, wiedząc, że kamerdyner będzie obserwował najmniejsze drgnienie jego mięśni, wołał więc unikać gwałtownych ruchów. Prezydent rzekł:

- Przez ostatnie czterdzieści osiem godzin byłem w tak wielu strefach czasowych, że zapomniałem, jak to jest na bożym świecie. Monachium, Berlin, Rzym. Dorwałem Verna Scanyona w Rzymie, gdy doszły mnie słuchy o kłopotach z Rogerem Torrawayem. Mało w portki nie zrobiłem ze strachu, ojczy. Prawieście go stracili, co?

- Jestem - powiedział Kayman - aerologiem, panie prezydencie. Nie ja za to odpowiadałem.

- Daj spokój, ojczy. Nie szukam kozła ofiarnego; winnego się zawsze znajdzie, jak dobrze poszukać. Chcę się dowiedzieć, co to było.

- Jestem przekonany, że generał Scanyon mógł panu powiedzieć więcej niż ja, panie prezydencie - rzekł sztywno Kayman.

- Gdybym zadowolili się wersją Scanyona - cierpliwie odparł prezydent - nie lądowałbym po ciebie. Ty tam byłeś. Nie on. On siedział daleko w Watykanie na Konferencji Pacem in Excelsis.

Kayman szybko pociągnął łyk z filiżanki.

- Cóż, mało brakowało. Uważam, że z powodu panującej epidemii grypy Roger nie został odpowiednio przygotowany na to, co go czekało. Brakowało nam personelu. Nie było Brada.

- Nie pierwszy raz - zauważył prezydent.

Kayman wzruszył ramionami i nie podjął wątku.

- Wykastrowali go, panie prezydencie. Zrobili mu to, co sułtanowie zwykli nazywać kastracją doskonałą: członek i reszta. Jemu to niepotrzebne, gdyż proces spalania jest w nim już tak znikomy, że wszystko wydała odbytnicze, więc to było tylko słabe miejsce. Nie ulega kwestii, że

musiało do tego dojść, panie prezydencie.

- A co z wycięciem - jak jej tam - prostaty? Czy ona też była słabym miejscem?

- Doprawdy powinien pan spytać o to któregoś z lekarzy, panie prezydencie.

- Pytam ciebie. Scanyon mówił coś o "księżej chorobie", a ty jesteś księdzem.

Kayman uśmiechnął się.

- To stary termin, z czasów, gdy księży obowiązywał celibat. Ale owszem, mogę to panu wyjaśnić, sporo się o tym mówiło w seminarium. Prostata wytwarza spermę - niedużo, parę kropli dziennie. Jeśli mężczyzna nie ma wytrysków, w większości uchodzi ona z moczem, lecz w przypadku podniecenia seksualnego jest tego więcej i nie wszystko ulega wydaleniu. Nadmiar zbiera się, a taki zastój prowadzi do kłopotów.

- A więc wycięli mu i prostatę.

- I wszczepili sterydową kapsułkę, panie prezydencie. Nie zniewieścieje. Fizycznie nie różni się on obecnie niczym od kompletnego samowystarczalnego kapłana w... Och. Chcę powiedzieć kapłana, żyjącego w celibacie.

Prezydent pokiwał głową.

- To się nazywa przejęzyczenie freudowskie.

Kayman wzruszył ramionami.

- A skoro ty tak to widzisz - naciskał prezydent - to myślisz, że jak, do diabła, patrzy na to Torraway?

- Wiem, że nie jest mu z tym lekko, panie prezydencie.

- O ile się orientuję - ciągnął Dash - nie jesteś jedynie aerologiem, Don, jesteś również konsultantem małżeńskim. I nie najlepiej ci to idzie, zgadza się? Ta mała puszczałska. żona naszego chłopaka, daje mu popalić.

- Dorka ma wiele problemów.

- Nie, Dorka ma jeden problem. Taki sam jak my wszyscy. Ona rozpieprza nasz program marsjański, a nam nie wolno do tego dopuścić. Możesz ją ustawić?

- Nie.

- Cóż, nie idzie mi o zrobienie z niej wzoru cnót. Daj spokój, Don! Spróbuj ją zmusić, żeby go chociaż na tyle uspokoiła, żeby nie dostał już nigdy szoku. Niech mu da całusa, obieca więcej, wyśle list miłosny na Marsa; Torraway nie oczekuje, Bóg mi świadkiem, niczego więcej. Ale przynajmniej tyle mu się należy.

- Mogę spróbować - rzekł Kayman bezradnie.

- A ja pogadam z Bradem - rzekł ponuro prezydent. - Mówiłem ci, mówiłem wam wszystkim: ten program musi się powieść. Nie obchodzi mnie, że jednemu zimno w głowę, a drugiej gorąco w majtkach, chcę, aby Torraway był na Marsie, i chcę, żeby był tam szczęśliwy.

Samolot przechylił się w wirażu biorąc nowy kurs, tak żeby ominąć ruch wokół Nowego Orleanu, i blask porannego słońca odbił się od mazistej, oleisto-śliskiej powierzchni zatoki. Prezydent zezował na nią z góry ze złością.

- Pozwolisz, że powiem ci, ojcze Kaymanie, o czym myślałem. Pomyślałem sobie, że Roger byłby szczęśliwszy opłakując śmierć swojej żony w wypadku samochodowym niż martwiąc się, co też ona wyprawia, gdy go nie ma w domu. Nie lubię takich rzeczy. Ale mam tylko jedną alternatywę i muszę wybrać mniejsze zło. A teraz - rzekł uśmiechając się nagle - mam coś dla ciebie od Jego Świątobliwości. To prezent, zajrzyj do środka.

Kayman z ciekawością otworzył czerwone pudełko. Na czerwonym aksamicie jego wnętrza leżał zwinięty różaniec. Zdrowaś Marie były z kości słoniowej, rzeźbionej w pączki róży;

wielkie paciorki Ojcie Nasz wyczelowane zostały w kryształach.

- Ma ciekawą historię - ciągnął prezydent. - Przesłano go Ignacemu Loyoli z jednej z jego misji w Japonii, po czym znajdował się przez dwieście lat w Ameryce Południowej w... jak wy je nazywacie?... Szkołki Paragwajskie? To prawdziwy zabytek muzealny, lecz Jego Świątobliwość życzył sobie, żebyś go miał.

- Ja... ja nie wiem, co powiedzieć - wydusił z siebie Kayman.

- I ma on błogosławieństwo Jego Świątobliwości. - Prezydent opadł na oparcie i jakby w oczach się postarzał. - Módl się na nim, ojcie - rzekł. - Ja nie jestem katolikiem. Nie wiem, co wy czujecie w tych sprawach. Pragnę jednak, abyś modlił się o takie przemeblowanie w głowie Dorki Torraway, żeby to utrzymało jej męża jakiś czas przy życiu. A jeśli nic z tego nie wyjdzie, to módl się z całych doprawdy sił za nas wszystkich.

Powróciwszy do głównej kabiny Kayman zapiął się pasami w fotelu i usiłował przysnąć na pozostałą godzinę z kawałkiem lotu do Tonki. Znużenie zatriumfowało nad zmartwieniem i Kayman odpłynął w nicłość. Nie on jeden się martwił. Nie oceniłyśmy prawidłowo wstrząsu, jakim utrata genitaliów będzie dla Rogera Torrawaya, i mało brakowało, abyśmy go utraciły. Wadliwość działania osiągnęła punkt krytyczny. Podobne ryzyko nie mogło się powtórzyć. Zorganizowałyśmy wzmocniony nadzór psychologiczny nad Rogerem, a plecakowy komputer w Rochester został przeprogramowany tak, że monitorował poważniejsze napięcia psychiczne i reagował, zanim wolniejsze ludzkie synapsy Rogera mogły rozedrgać się w konwulsje.

Sytuacja światowa rozwijała się zgodnie z przewidywaniami. Miasto Nowy Jork znajdowało się, oczywiście, w stanie zamętu, napięcia na Bliskim Wschodzie rosły przekraczając wydolność zaworów bezpieczeństwa, a z Nowej Ludowej Azji sypały się gwałtowne deklaracje zaprzeczające rzezi kałamarnic w Oceanie Spokojnym. Planeta szybko osiągała masę krytyczną. Nasze wydruki wskazywały, że przyszłość rasy na Ziemi stanie za dwa lata pod znakiem zapytania. Nie mogliśmy na to pozwolić. Lądowanie na Marsie musiało się powieść.

Wyszedłszy z otępienia po swym ataku Roger nie zdawał sobie sprawy, jak bliski był śmierci, zdawał sobie jedynie sprawę, że zraniono go we wszystkie najczulsze miejsca naraz. Jego samopoczucie sprowadzało się do pustki: wymiecionej, beznadziejnej pustki. Stracił nie tylko Dorkę, stracił również swoją męskość. Ból był zbyt nieludzki, żeby uśmierzyć go płaczem, nawet gdyby mógł płakać. Ból nie do wytrzymania, niczym dłutowanie zęba bez znieczulenia, odczuwany już nie jako sygnał ostrzegawczy, lecz jako element otoczenia, coś, czego doznajemy i co musimy wytrzymać.

Otworzyły się drzwi i weszła nowa pielęgniarka.

- Witam. Widzę, że pan nie śpi.

Podeszła do niego i położyła mu ciepłe palce na czole.

- Nazywam się Sulie Carpenter - powiedziała. - Właściwie Susan Lee, ale mówią mi Sulie. - Zdjęła dłoń i uśmiechnęła się. - Pewnie pan myśli, że upadłam na głowę sprawdzając gorączkę ręką, prawda? Wiem z monitorów, ile pan ma, ale taka już ze mnie staromodna dziewczyna.

Torraway prawie nie słuchał, pochłonięty jej widokiem. Czyżby to było oszustwo jego obwodów mediacyjnych? Wysoka, zielonooka, czarnowłosa, tak podobna do Dorki, że zaczął zmieniać parametry widzenia swych wielkich, owadzich oczu najeżdżając wzrokiem na pory w jej z lekka piegowatej cerze, przeinaczając wartości barw, zmniejszając czułość, aż odniósł wrażenie, że dziewczyna rozplywa się w półcieniu. Na nic. Ciągle wyglądała jak Dorka.

Podeszła zerknąć na duplikaty monitorów w kącie pokoju.

- Ma się pan naprawdę nieźle, pułkowniku Torraway - zawołała przez ramię. - Zaraz przyniosę panu lunch. Potrzebuje pan czegoś teraz?

Podniósł się i usiadł.

- Wszystkiego, czego nie mogę mieć - powiedział z goryczą

- Och, nie, pułkowniku! - Jej oczy spoglądały ze zgorzaniem. - Chcę powiedzieć... no cóż, proszę mi wybaczyć. Nie mam prawa przemawiać do pana w ten sposób. Ale, na miły Bóg, pułkowniku, jeśli jest na tym świecie ktoś, kto może mieć wszystko, czego zapragnie, to pan nim jest!

- Szkoda, że ja tego tak nie czuję - mruknął, ale obserwował ją bacznie i z ciekawością, odczuwając coś... coś... czego nie umiał zidentyfikować, a jednak coś, co nie było bólem, jaki go dręczył zaledwie kilka chwil temu.

Sulie Carpenter rzuciła okiem na zegarek, po czym przysunęła sobie krzesło.

- Zdaje się, że jest pan w kiepskim nastroju, pułkowniku - powiedziała ze współczuciem. Pewnie niełatwo wytrzymać to wszystko.

Odwrócił od niej oczy spoglądając w górę, tam gdzie wielkie, czarne skrzydła marszczyły się z wolna ponad jego głową.

- Ma to swoje złe strony - powiedział - proszę mi wierzyć. Ale wiedziałem, w co się pakuję.

Sulie pokiwała głową.

- Ja też miałam ciężkie chwile - odezwała się - kiedy mój... kiedy zmarł mój chłopak. Oczywiście, nie ma to nic wspólnego z pana sytuacją. Ale poniekąd, kto wie, czy nie było to gorsze; widzi pan, to było tak bezsensowne. Jednego dnia siedzimy sobie szczęśliwi i rozmawiamy o naszym ślubie. Nazajutrz on wraca od doktora i okazuje się, że jego bóle głowy to... - wzięła głęboki oddech. - Guz mózgu. Złośliwy. Zmarł trzy miesiące później, a ja nie mogłam się z tym po prostu pogodzić. Musiałam uciekać z Oakland. Poprosiłam o przeniesienie tutaj. W najśmielszych marzeniach nie przypuszczałam, że mnie wezmą, ale chyba ciągle brakuje im personelu z powodu grypy...

- Przykro mi - szybko powiedział Roger.

Uśmiechnęła się.

- Nie ma o czym mówić. Tyle tylko, że w moim życiu powstała wielka pustka, i jestem wdzięczna losowi, że dał mi coś, co ją wypełni. - Ponownie spojrzała na zegarek i zerwała się. - Oberwę od siostry oddziałowej - powiedziała. - Nie, ale poważnie, czym mogę panu służyć? Książka? Muzyka? Cały świat jest na pana rozkazy, wie pan, łącznie ze mną.

- Nic a nic - powiedział szczerze Roger. - Dziękuję w każdym razie. Skąd pomysł, żeby przyjść akurat tutaj?

Spojrzała na niego w zamyśleniu; kąciki jej ust uniosły się prawie niedostrzegalnie.

- Cóż - powiedziała. - Wiem co nieco o tutejszym programie, dziesięć lat pracowałam w medycynie aerokosmicznej w Kalifornii i znam pana, pułkowniku Torraway. Znam! Miałam kiedyś pańską fotografię na ścianie, z czasów kiedy ratował pan tamtych Rosjan. Nie uwierzyłby pan, jaką męską rolę odgrywał pan w moich dziewczęcych marzeniach, panie pułkowniku. Odeszła z szerokim uśmiechem na twarzy, ale przystanęła jeszcze w drzwiach. - Proszę, niech pan zrobi coś dla mnie, dobrze?

Roger był zaskoczony.

- Oczywiście. A co takiego?

- Otóż chciałabym mieć pana nowsze zdjęcie. Wie pan, jak tu jest ze służbą bezpieczeństwa. Gdybym przemyśliła aparat... czy mogę cichaczem pstryknąć panu zdjęcie? Żeby chociaż mieć co wnukom pokazywać, o ile w ogóle będę miała jakieś wnuki.



- Zabiją cię, Sulie, jeśli cię złapią - zaprotestował Roger.

Puściła oko.

- Zaryzykuję, bo warto. Dzięki.

Po jej odejściu Roger usiłował powrócić do rozmyślań o swej kastracji i swoich rogach, lecz z jakiegoś powodu wszystko to wydawało mu się mniej przytłaczające. Nie miał też zbyt wiele czasu. Sulie przyniosła mu treściwy lunch, uśmiech i obietnicę powrotu nazajutrz rano. Klara Bly zrobiła mu lewatywę, a następnie leżał i dziwował się najściu trzech identycznych wąsatych blond facetów, przeczesujących każdy centymetr podłogi, ścian i mebli wykrywaczami metalu i elektronicznymi miotłami. Zupełnie nie znał tych mężczyzn, którzy zasiedli na specjalnie przyniesionych krzesłach, w milczeniu obserwując uważnie wkroczenie Brada. Brad wyglądał nie tylko na chorego, był również poważnie zaniepokojony.

- Cześć, Roger - powiedział. - Jezu, aleś napędził nam stracha. To moja wina, powinienem być na nasłuchu, ale ten cholerny wirus grypy...

- Jakoś przeżyłem - rzekł Roger studiując dość przeciętną twarz przyjaciela i dziwiąc się, dlaczego nie czuje wściekłości ani niechęci.

- Teraz, bracie, nie damy ci już ani chwili spokoju - zaczął Brad przysunawszy sobie krzesło. - Chwilowo przymknęliśmy niektóre z twoich obwodów mediacyjnych. Kiedy ponownie ruszą w komplecie, będziemy musieli przemykać ci doprowadzenia bodźców. I tak, krok po kroczku, umożliwimy ci odbieranie całego otoczenia. A Katarzyna wyłazi ze skóry, żeby zacząć z tobą rehabilitację, no wiesz, chodzi o korzystanie z tych twoich mięśni i tak dalej.

Zerknął na trzech milczących obserwatorów. Roger miał wrażenie, że na jego twarzy pojawił się nagle lęk.

- Myślę, że jestem gotów - powiedział Roger.

- Och, bez wątpienia. Wiem, że jesteś - odparł zaskoczony Brad. - Czyżby nie pokazywali ci aktualnych odczytów twojej telemetrii? Chodzisz, bracie, jak siedemnastokamieniowy zegarek. Gdyby mnie pytano - wyszczerzył zęby w uśmiechu - to jesteś dziełem sztuki, Roger, a ja artystą. Żałuję tylko, że nie zobaczę cię na Marsie. Tam jest twoje miejsce, chłopie.

Jeden z milczących cerberów odchrząknął.

- Czas się kończy, doktorze Bradley - rzekł.

Wyraz niepokoju powrócił na twarz Brada.

- Już idę. Uważaj na siebie, Róg. Wpadnę do ciebie później.

Wyszedł, a za nim wymaszerowali trzej agenci rządowi, zastąpieni przez Klarę Bly, która zaczęła się kręcić bez celu po pokoju. Zagadka wyjaśniła się nagle.

- Dash przybywa do mnie z wizytą - odgadł Roger.

- Spryciarz! - fuknęła Klara. - Cóż, ty chyba możesz o tym wiedzieć. Ja nie mogę. Robią z tego tajemnicę. Ale co to za tajemnica, skoro cały szpital przewracają do góry nogami? Tych facetów było już tu pełno wszędzie, jeszcze zanim przyszłam na dyżur.

- A kiedy Dash się tu zjawi? - spytał Roger.

- To akurat jest jeszcze tajemnicą. Przede mną, w każdym razie.

Ale nie pozostało to tajemnicą bardzo długo, gdyż za godzinę, przy akompaniamencie nieuchwytnego dla uszu, lecz silnie wyczuwanego „Ave, Imperator”, prezydent Stanów Zjednoczonych wkroczył do pokoju. Towarzyszył mu ten sam kamerdyner, który był w prezydenckim odrzutowcu, tym razem nie jako kamerdyner, a najwyraźniej goryl.

- Mam szczęście widzieć cię znowu - rzekł prezydent wyciągając dłoń.

Nigdy dotąd nie widział zmodyfikowanej i zmontowanej wersji astronauty i mimo że lekko

połyskliwe ciało, fasety wielkich oczu i wiszące w powietrzu skrzydła musiały niewątpliwie wyglądać niesamowicie, to na doskonale opanowanym obliczu prezydenta nie malowało się nic innego poza serdecznością i zadowoleniem.

- Wpadłem po drodze do Dory, żeby pozdrowić twoją miłą żonę. Zapomniałem ja zapytać, ale mam nadzieję, że wybaczyła mi zniszczenie manikiuru w zeszłym miesiącu. No, a ty jak się czujesz?

Roger czuł się po raz drugi zdumiony gruntownością przygotowania prezydenta do rozmowy, lecz jego odpowiedź brzmiała:

- Świetnie, panie prezydencie.

Prezydent skinął głową na swego goryla nie spojrzawszy na niego.

- John, masz tę paczuszkę dla pułkownika Torrawaya? Dora prosiła mnie, żebym ci coś przekazał; możesz zajrzeć do środka, jak my już sobie pójdziemy.

Goryl złożył paczuszkę na nocnym stoliku Rogera i niemalże tym samym ruchem podsunął prezydentowi krzesło, akurat gdy prezydent zabierał się do siadania.

- Roger - powiedział prezydent, prostując kanty bermudów. - Wiem, że mogę być z tobą szczerzy. Nie mamy teraz nic prócz ciebie i jesteś nam potrzebny. Wskaźniki wyglądają z każdym dniem coraz gorzej. Azjaci rwą się do bitki i nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam, żeby im nie dać po łbie. Musimy cię wysadzić na Marsie i musisz być na chodzie, jak się tam znajdziesz. Żadne słowa nie oddadzą tego, jakie to ma znaczenie.

- Myślę, że to rozumiem, sir.

- Cóż, poniekąd chyba rozumiesz. Ale czy rozumiesz to całą duszą? Czy naprawdę czujesz w głębi serca, że jesteś tym jednym jedynym człowiekiem, może jednym z dwóch, który zajmuje pozycję tak ważną dla całej ludzkości, że nawet to, co się z nim samym stanie, przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie? Taką pozycję zajmujesz, Roger. Wiem - ciągnął prezydent ze smutkiem - że dopuszczono się pewnej samowoli na twoim ciele, która wymaga ogromnej ofiary. Nie dając ci możliwości powiedzenia, czy się zgadzasz, czy nie. Nie mówiąc ci nawet o tym. To jest chujowy sposób traktowania człowieka w ogóle, a co dopiero kogoś, kto znaczy tak wiele jak ty, kogoś tak zasłużonego. Paru baranów dostało za to ode mnie kopa w dupę. Z przyjemnością dokopię jeszcze paru. Powiedz mi tylko, czy chcesz, a już ja to załatwię. W każdej chwili. Lepiej, żebym ja to zrobił, niż ty - z tymi stalowymi mięśniami, w jakie cię wyposażyli, mógłbyś skutecznie uszkodzić kilka tych ślicznych dupek, które się koło ciebie kręcą. Czy mogę zapalić?

- Co? Do diabła, oczywiście, panie prezydencie.

- Dziękuję.

Ledwie prezydent wyciągnął dłoń, a już kamerdyner jedną ręką podsuwał mu otwartą papierośnicę, a drugą płonąca zapalniczkę. Prezydent zaciągnął się głęboko i opadł na oparcie.

- Roger - powiedział - pozwól, że podzielę się z tobą moimi myślami na temat twoich myśli. Myślisz sobie: oto stary cwaniak Dash, polityk do szpiku kości, pieprzy i obiecuje, usiłując wyciągnąć kasztany z ognia moimi rękami. Powie wszystko, wszystko obieca. A chce jedynie wydusić ze mnie, ile można. No co, ciepło, ciepło, jak dotąd?

- Ależ... nie, panie prezydencie! No... może trochę tak.

Prezydent kiwnął głową.

- Byłbyś idiotą, gdybyś tak nie myślał - powiedział rzeczowo. - Wszystko to prawda, zgadzam się. Do pewnego stopnia. To prawda, że obiecuję wszystko, powiem każde kłamstwo, jakie mi przyjdzie do głowy, żeby wysłać cię na Marsa. Ale z drugiej strony to ty, Roger, trzymasz nas wszystkich za jaja. Jesteś nam p o t r z e b n y. Idzie wojna i trzeba ją jakoś powstrzymać. To

idiotyczne, ale wykresy tendencji pokazują, że może ją powstrzymać jedynie wysłanie ciebie na Marsa. Nie pytaj mnie dlaczego, Ja powtarzam tylko to, co mówią mi eksperci, a oni twierdzą, że to właśnie wychodzi z komputerów.

Skrzydła Rogera poruszały się niespokojnie, ale oczy wlepione były w prezydenta.

- I dlatego - rzekł prezydent całkiem serio - mianuję siebie twoim sługą, Roger. Mów, czego sobie życzysz. Stanę na głowie, żebyś to miał. Podnoś słuchawkę o każdej porze dnia i nocy. Połączą cię ze mną. Gdybym spał, budź mnie, jeśli zechcesz. Jeżeli to nic pilnego, zostaw wiadomość. Nikt już tu więcej nie będzie robił cię w jajo, a gdybyś tylko uznał, że coś takiego ma miejsce, daj mi znać, to ja już z tym skończę. Jezu - uśmiechnął się i zaczął wstawać - czy wiesz, co napiszą o mnie w podręcznikach historii? "Fitz James Deshatine, 1943-2026, czterdziesty drugi prezydent Stanów Zjednoczonych. Za jego kadencji rasa ludzka założyła swoją pierwszą samowystarczalną kolonię na innej planecie" Tyle osiągnę, o ile mi się to uda - i tobie jednemu będę to zawdzięczał. No cóż - skierował się w stronę drzwi - w Palm Springs oczekują mnie na zjeździe gubernatorów. Miałem tam być sześć godzin temu, ale uznałem, że ty jesteś dużo ważniejszy od nich. Ucałuj ode mnie Dorę. I dzwoń do mnie. Jak nie będziesz miał na co się poskarżyć, zadzwoń powiedzieć, że żyjesz.

I wyszedł, odprowadzany spojrzeniem oszołomionego astronauty. Jakby na to nie patrzeć - zadumał się Roger - było to piękne przedstawienie, które pozostawiło po sobie uczucie zarówno lęku, jak i zadowolenia. Odrzucając z tego dziewięćdziesiąt dziewięć procent jako pieprzenie, reszta była wysoce zadowalająca. Drzwi uchyliły się i weszła Sulie Carpenter, jakby nieco wystraszona. Niosła fotografię w ramce.

- Nie miałam pojęcia, w jakie kręgi towarzyskie pan wstępuje - powiedziała. - Chce pan to?

Pokazała zdjęcie prezydenta z dedykacją: "Rogerowi od wielbiciela Dasha".

- Chyba tak - rzekł Roger. - Da się to zawiesić?

- Skoro to fotografia Dasha, to się da - odparła. - One mają samoprzyczepny wichajster.

Może być tutaj?

Przykleiła fotografię do ściany koło drzwi i cofnęła się o krok, żeby podziwiać swoje dzieło. Po czym rozejrzała się dokoła, puściła oko i z kieszeni fartucha wyciągnęła płaski, czarny aparat wielkości paczki papierosów.

- O, ptaszek leci - powiedziała i usłyszał trzask migawki. - Nie zakabluje mnie pan? Dobra. Muszę zmiatać, nie mam teraz dyżuru, tylko chciałam do pana zajrzeć.

Roger wyciągnął się na wznak i złożył ręce na piersi. Sprawy przybierały wcale interesujący obrót. Nie zapomniał wewnętrznego bólu spowodowanego odkryciem swej kastracji i nie wyrzucił Dorki z myśli. Lecz ani jedno, ani drugie nie sprawiało mu już bólu. Zbyt wiele nowych, przyjemniejszych myśli przysłoniło te sprawy. Na myśl o Dorce przypomniał sobie o jej upominku. Rozwinął paczkę. Była to ceramiczna, mieniąca się wszystkimi barwami lata filiżanka, ozdobiona rogiem owocowej obfitości. Do niej załączono bilecik: "Na znak, jak bardzo cię kocham". Podpisano: "Dorka".

Wszystkie symptomy wskazywały już na stabilność Torrawaya i sposobiliśmy się do rozruchu obwodów mediacyjnych. Tym razem Roger był doskonale przygotowany. Brad nie opuszczał go ani na chwilę, przykładny i gorliwy po zainkasowaniu lwiej części prezydenckich kopów w dupę. Jedną grupę operacyjną skierowaliśmy do nadzorowania rozruchu obwodów mediacyjnych, druga buforowała odczytywanie-wczytywanie danych z 3070 w Tonce do nowego

plecakowego komputera w Rochester pod Nowym Jorkiem. Teksas i Oklahoma przeżywały akurat wtedy jeden z cyklicznych okresów ograniczenia zużycia energii elektrycznej, co komplikowało wszelką obróbkę danych komputerowych, a ponadto ludzki personel odczuwał jeszcze skutki grypy. Zdecydowanie brakowało nam rąk do pracy. Potrzebowałyśmy też czegoś więcej.

Wskaźnik niezawodności każdego elementu komputera plecakowego wynosił 99,999999999 procent, ale tych elementów istniało około 108. Mnóstwo było dublowania i pełna siatka poprzecznych powiązań między doprowadzeniami danych, tak że w razie awarii trzech z czterech głównych podsystemów pozostały wystarczająco do utrzymania Rogera na chodzie. Lecz nam to nie wystarczało. Analizy wykazywały, że prawdopodobieństwo awarii ścieżki krytycznej po upływie pół roku marsjańskiego wynosi jeden do dziesięciu. Postanowiono więc skonstruować, wystrzelić i wprowadzić na orbitę wokółmarsjańską pełnowymiarowy 3070, duplikujący potrójnie wszystkie czynności komputera plecakowego. Nie było to równie dobre jak komputer plecakowy. Gdyby plecakowy doznał całkowitej awarii, orbitalny służyłby Rogerowi jedynie przez pięćdziesiąt procent czasu - kiedy znajdowałby się ponad horyzontem na swej orbicie, dzięki czemu mógłby kontaktować się z Rogerem drogą radiową. W najmniej sprzyjających warunkach występowałaby zwłoka jednej setnej sekundy, co mieściło się w granicach tolerancji. Do tego Roger musiałby przebywać w otwartym terenie lub też podłączyć się do anteny zewnętrznej.

I jeszcze jedno przemawiało za wprowadzeniem rezerwowego orbitera: wysokie ryzyko zniekształcenia sygnałów. Zarówno krążący na orbicie 3070, jak i komputer plecakowy były silnie ekranowane. Niemniej jednak czekała je przeprawa przez pasy Van Allena po starcie i wiatr słoneczny na całej trasie lotu. Po dotarciu w sąsiedztwo Marsa miałyby już wiatr słoneczny na znośnym poziomie wyjąwszy przypadki rozbłysków. Naładowane cząsteczki chromosfery bez trudu mogły zdeformować dostatecznie dużo danych wprowadzonych do pamięci obu komputerów, żeby poważnie naruszyć ich działanie. Komputer plecakowy nie jest zdolny do samoobrony - co innego 3070, który ma dość rezerwowej pojemności na nieustanną wewnętrzną kontrolę i korektę. W momentach przestoju - a będzie miał wiele momentów przestoju, dochodzącego do dziewięćdziesięciu procent czasu działania nawet przy korzystaniu z niego przez Rogera - porównywałby dane w każdym ze swych potrójnych układów pamięci. Jeśli jakiś element danych różniłby się od tego samego elementu danych w pozostałych układach pamięci, sprawdziłby zgodność danych sąsiadujących; jeżeli wszystkie dane będą zgodne, wówczas zbada wszystkie trzy układy pamięci i skoryguje ów jeden niezgodny bit do zgodności z pozostałymi dwoma. W przypadku podwójnej niezgodności porównałby dane, o ile to możliwe, z komputerem plecakowym. Już na większą redundancję nie mogliśmy sobie pozwolić, ale to i tak było sporo. W sumie byliśmy bardzo zadowolone. Co prawda krążący na orbicie 3070 potrzebował mnóstwo energii. Wyliczyłyśmy wskaźnik prawdopodobnego maksimum poboru mocy do prawdopodobnego zasilania w najgorszych warunkach dla każdego sensownego zestawu baterii słonecznych i doszłyśmy do wniosku, że margines bezpieczeństwa jest zbyt wąski. W efekcie Raytheon otrzymał zamówienie z prawem pierwokupu na jeden ze swych generatorów magnetohydrodynamicznych, a ekipy specjalistów zabrały się do roboty nad modyfikacją Route 128 do wystrzelenia w przestrzeń kosmiczną i automatycznego działania na orbicie wokółmarsjańskiej.

3070 i generator MHD po wejściu na orbitę przycumują do siebie. Generator dostarczy wszelkiej potrzebnej komputerowi energii i pozostanie mu jej jeszcze tyle, żeby za pośrednictwem mikrofal przekazywać użytkowe nadwyżki na dół, na powierzchnię Marsa, do Rogera, który je wykorzysta w razie potrzeby do zasilania swoich własnych części mechanicznych oraz wszelakiego pobierającego moc sprzętu, jaki zechciałby zainstalować.

Kiedy już załatwiłyśmy się z tymi wszystkimi planami, trudno nam było pojąć, jak mogliśmy myśleć na początku, że sobie bez tego poradzimy. To były piękne dni! Zażądałyśmy i niezwłocznie udzielono nam wszelkiej niezbędnej pomocy. Tulsa żyła bez światła dwie noce w tygodniu, żeby zapewnić nam potrzebne rezerwy energii, zaś Instytut Napędów Odrzutowych stracił swój cały personel od medycyny kosmicznej na rzecz naszego programu.

Trwało wczytywanie danych. Sfałszowane sygnały harcowały wesoło po obu komputerach, plecakowym w Rochester i duplikacie 3070, ściągniętym pośpiesznie na Merritt Island. Lecz my tropiłyśmy je, osaczałyśmy i korygowałyśmy, i wszystko szło według harmonogramu.

Świat zewnętrzny nie był, rzecz jasna, tak piękny.

Przy użyciu bomby plutonowej chałupniczej produkcji, zrobionej z materiałów zrabowanych z reaktora w Carmarthen, walijscy nacjonaści wysadzili w powietrze Koszary Hyde Parku i większość Knightsbridge. W Kalifornii w pożarze nie do opanowania płonęły Góry Kaskadowe, podczas gdy helikoptery pożarnicze tkwiły na ziemi z braku paliwa. Wybuch epidemii czarnej ospy wyludnił Pune i obecnie szalał też w Bombaju, a meldowano o zachorowaniach od Madras po Delhi w miarę jak ci, którzy byli w stanie, uciekali przed zarazą. Australijczycy postawili w stan gotowości bojowej swoje siły zbrojne, NLA zażądała zwołania nadzwyczajnej sesji Rady Bezpieczeństwa ONZ, a Capetown był oblężony.

Wszystko było tak, jak przepowiadały wykresy. Byłyśmy świadome tego wszystkiego. Nie ustawałyśmy w pracy. Jeśli któraś z pielęgniarek czy jakiś inżynier znajdował czas na martwienie się, podtrzymywało go na duchu oświadczenie prezydenta. Na każdej tablicy ogłoszeń i rozplakatowane w większości pracowni widniały słowa Dasha:

ZAJMIJCIE SIĘ EOGEREM TORRAWAYEM,  
A JA ZAJMĘ SIĘ BESZTA ŚWIATA.  
Fitz James Deshatine

Nas nie trzeba było podtrzymywać na duchu, myśmy wiedziały, jak wielkie znaczenie ma ta praca. Zależało od niej być albo nie być naszej rasy. W porównaniu z tym wszystko inne było bez znaczenia.

Roger przebudził się w kompletnej ciemności. Śnił i przez chwilę po przebudzeniu ten sen i jawa były dziwnie ze sobą stopione. Śnił o czymś, co miało miejsce bardzo dawno temu, kiedy z Dorką i Bradem pojechali za miasto nad jezioro Texoma, w towarzystwie paru przyjaciół, którzy mieli żaglówkę, i wieczorem wszyscy śpiewali razem przy akompaniamencie gitary Brada, a ogromny księżyc szybował ponad wodą.

Przez ową chwilę wydawało mu się, że znów słyszy głos Brada... ale wsłuchawszy się uważniej, już na trzeźwo, nie usłyszał nic. Nic nie słyszał. To było dziwne. W ogóle żadnego dźwięku, żadnego mrużenia czy trzasków telemetrycznych monitorów pod ścianą, żadnego szelestu na korytarzu za drzwiami. Obojętne, jak bardzo się wyteżał, przy całej zwiększonej czułości swoich nowych uszu, nie słyszał najmniejszego dźwięku. Nie widział też światła. W żadnym kolorze, nigdzie, z wyjątkiem najniklejszej, przymglonej poświaty swego własnego ciała i równie nikłej poświaty bijącej od listew przypodłogowych. Poruszył się niespokojnie i stwierdził, że jest przywiązany do łóżka. Na moment paniczny strach chwycił go za gardło: w potrzasku, bezsilny, sam jeden. Czyżby go wyłączyli? Czy go celowo zamroczone? Co się dzieje?

Przy jego uchu znowu ozwał się cichutki głos:

- Roger? To ja, Brad. Twoje odczyty wskazują, że nie śpisz.

Ulga była nie do opisania.

- Tak - wziął się w karby. - Co się dzieje?

- Pozbawiliśmy cię dopływu bodźców. Czy słyszysz cokolwiek poza moim głosem?

- Nic a nic - powiedział Roger. - Zupełnie nic.

- A jak ze światłem?

Roger doniósł o mglistej poświacie ciepła.

- To wszystko.

- Świetnie - rzekł Brad. - Teraz uważaj, Roger. Zamierzamy wprowadzić cię kroczek po kroczeniu w zespół twoich nowych narządów zmysłów. Proste dźwięki. Proste desenie. Mamy rzutnik w ścianie nad wezłowiec łóżka i ekran przy drzwiach - nie możesz go oczywiście zobaczyć, ale on tam jest. Zamierzamy zrobić rzecz następującą... chwileczkę. Katarzyna uparła się, żeby z tobą pogadać.

Usłyszał nikłe odgłosy tarcia i szurania i nagle głos Katarzyny Doughty:

- Roger, ten zasraniec zapomina o jednej ważnej rzeczy. Izolacja zmysłowa jest niebezpieczna, jak wiesz.

- Słyszałem o tym - przyznał Roger.

- Zdaniem specjalistów, najgorsza w niej jest świadomość bezsilności, uczucie, że nie można z tego wyjść. Więc jak tylko poczujesz się źle, po prostu mów coś; ktoś z nas będzie stał przy tobie i odpowie ci. Odpowiemy ci, Brad, albo ja, albo Sulie Carpenter, albo Klara.

- Wszyscy tutaj jesteście w tej chwili?

- O Jezu, oczywiście... plus Don Kayman i generał Scanyon, i, o rany, połowa Instytutu. Nie zabraknie ci towarzystwa, Roger. To ci przyrzekam. No dobra. Co powiesz o moim głosie, może sprawia ci jakiś kłopot?

Zastanowił się.

- Nie, to drobiazg. Brzmi trochę tak jak skrzypienie drzwi - sprecyzował.

- To niedobrze.

- Wcale tak nie uważam. Zawsze brzmiał właśnie tak jakoś podobnie, Katarzyno.

Zachichotała.

- Niech ci będzie, i tak zaraz się zamknę. A co z głosem Brada?

- Nic nie zauważyłem. A przynajmniej nie jestem pewny. Coś jakby mi się śniło i przez chwilę wydawało mi się, że on śpiewa „Aurę Lee”, przygrywając sobie na gitarze.

- To interesujące, Roger! - wtrącił Brad. - A jak teraz?

- Teraz nie. Mówisz swoim normalnym głosem.

- No tak, twoje odczyty wyglądają dobrze. W porządku. Wrócimy do tego później. Teraz zrobimy, co następuje: damy ci jasne, proste bodźce wzrokowe do obróbki. Jak powiedziała Katarzyna, możesz mówić do nas w każdej chwili, a my ci, jeśli zechcesz, odpowiemy. Ale przez jakiś czas nie będziemy dużo gadać. Najpierw niech dotrą się obwody wzrokowe, nim pomieszymy rzeczy z jednoczesnym obrazem i dźwiękiem, rozumiesz?

- Zaczynajcie - rzekł Roger.

Zamiast odpowiedzi na przeciwną ścianę pojawił się za chwilę blady punkt świetlny. Nie był jaskrawy. Swymi naturalnymi oczami - podejrzewał Roger - w ogóle by go nie mógł zobaczyć; obecnie dostrzegał go wyraźnie i mimo że powietrze w jego szpitalnym pokoju zostało przefiltrowane, widział ponad głową nikłą ścieżkę światła wiodącą od rzutnika do ściany. Przez długi czas nic więcej się nie wydarzyło. Roger czekał najcierpliwiej, jak tylko potrafił. Upłynęło

więcej czasu. Wreszcie rzekł:

- W porządku, widzę to. To jest kropka. Przyglądam się jej przez cały czas, ale ciągle jest kropką. Jak zauważam - powiedział obracając głowę na wszystkie strony - rzuca taki odbłask, że widzę trochę cały pokój, ale to wszystko.

Brad odezwał się głosem jak huk gromu:

- Świetnie, Roger, poczekaj, damy ci coś innego.

- A ja j! - rzekł Roger. - Nie rycz tak, dobrze?

- Nie ryczałem wcale głośniejszy niż przedtem - zaprotestował Brad. I faktycznie jego głos został sprowadzony do normalnej skali.

- Dobra, dobra - mruknął Roger.

Zaczynało go to nudzić. Za chwilę kilkanaście centymetrów od pierwszego pojawił się drugi punkt świetlny. Oba tkwiły tak znowu przez długi czas, po czym nagle połączyła je świetlna linia.

- To jest porządnie nudne - jęknął.

- Takie ma być - tym razem głos należał do Klary Bly.

- Cześć - powitał ją Roger. - Słuchajcie. Widzę już całkiem dobrze przy tej całej iluminacji, jaką mi robicie. Co to za kupa drutów we mnie wchodzi?

Włączył się Brad:

- Twoja telemetria, Roger. Dlatego właśnie musieliśmy cię przywiązać, żebyś się nie przekreślił i nie poplątał przewodów. Teraz wszystko jest zdalnie sterowane, rozumiesz. Musieliśmy również wynieść, co się dało, z twego pokoju.

- Zauważyłem. No dobra, jedziemy dalej.

Było to jednak nudne i nudne pozostało. Nic z tych rzeczy, co to mają na celu zajęcie czyjegoś umysłu. Może było to ważne, ale też i nieciekawe. Po ciągnącym się bez końca etapie prostych geometrycznych figur świetlnych o tak zmniejszonej jasności, że coraz mniej rzucały poświaty rozjaśniającej resztę pokoju, zaczęto podawać mu dźwięki: trzaski, piski oscylatora, dzwonek, biały szum.

W sąsiednim pomieszczeniu nieustannie zmieniały się ekipy. Przerywano tylko wtedy, gdy telemetria podawała, że Roger potrzebuje snu, jedzenia albo basenu. Żadna z tych potrzeb nie zachodziła często. Roger zaczynał już rozpoznawać, kto ma dyżur, po najdrobniejszych oznakach: jeśli w głosie Brada pojawiła się słabiutka nuta ironii, zawsze oznaczała obecność Katarzyny Doughty w pokoju; wolniejszy, czulszy jakoś był szczebiot ścieżek dźwiękowych, kiedy Sulie Carpenter kontrolowała reakcje. Odkrył, że jego poczucie czasu nie było takie samo jak poczucie czasu tamtych z sąsiedniego pokoju, podobnie zresztą poczucie "rzeczywistości", obojętne, co przez nią rozumieć.

- Należało się tego spodziewać, Róg - powiedział znużony głos Brada, gdy o tym zameldował. - Jak nad tym popracujesz, przekonasz się, że możesz to dowolnie regulować. Możesz odmierzać sekundy niczym metronom, jeśli zechcesz. Albo poruszać się szybciej czy wolniej, w zależności od potrzeby.

- Niby jak ja mam to robić? - zapytał Roger.

- A idź, człowieku, do diabła! - wściekł się Brad. - To twoje ciało. Naucz się nim posługiwać. - Po czym dodał przeproszająco: - W ten sam sposób, w jaki nauczyłeś się blokować widzenie. Eksperymentuj, dopóki sobie tego nie wykombinujesz. Teraz uważaj: puszcę ci partite Bacha.

Czas jakoś mijał. Ale niełatwo i nie szybko. Były długie okresy, kiedy zmienione poczucie

czasu Rogera przeciągało na przekór nudę, były chwile, kiedy przyłapywał się na tym, że wbrew woli znowu myśli o Dorce. Pokrzepienie na duchu wizytą Dasha, przyjemna troska i przywiązanie Sulie Carpenter jak wszystko, co dobre, nie trwało wiecznie. Dorka stanowiła rzeczywistość jego rojeń i gdy tylko myśli miał na tyle wolne, że zaczynały wędrować, to wędrowały właśnie do Dorki. Do Dorki i radości ich pierwszych wspólnie przeżytych lat. Do Dorki i straszliwej prawdy, że on już nie jest mężczyzną na tyle, żeby zaspokajać jej seksualne potrzeby. Do Dorki i Brada...

- Nie wiem, Roger, co ty, do cholery, wyprawiasz - warknął głos Katarzyny Doughty - ale to rozpieprza w tobie objawy życia. Skończ z tym.

- Dobrze już, dobrze - burknął.

Wyrzucił Dorkę z myśli. Myślał o naburmuszonym, czułym głosie Katarzyny, o tym, co mówił prezydent, o Sulie Carpenter. Uspokoił się.

W nagrodę pokazano mu slajd z pękiem fiołków w naturalnym kolorze.

## Dziesięć

### Entrechaty Batmana

Znienacka, ku zdumieniu wszystkich, zostało zaledwie dziewięć dni. Przed kolegium duchownym ojciec Kayman dygotał na zimnie, czekając na podwiezienie do Instytutu. W minionych dwóch tygodniach bardzo silnie pogorszyły się niedobory paliwa, spotęgowane walkami na Środkowym Wschodzie i wysadzeniem rurociągów Morza Północnego przez Bojowników o Niepodległość Szkocji. Sam program miał bezwzględne priorytety we wszystkim, mimo że niektóre z podziemnych silosów nie miały dość paliwa na wypuszczenie w niebo zamkniętych w nich rakiet, niemniej jednak całemu personelowi zalecono gaszenie świateł, wspólne dojazdy, przykręcenie domowych termostatów, rzadsze oglądanie telewizji.

Wczesna zawieja zasypała śniegiem oklahomskie prerie i przed kolegium jakiś kleryk z seminarium odgarniał sennie śnieg z chodnika. Nie było tego śniegu wiele, ale - pomyślał Kayman - nie wyglądał przyjemnie dla oka. Czy to była jego imaginacja, czy rzeczywiście śnieg miał barwę wiele mówiącej szarości? Mógłbyż popiół z płonących w Kalifornii i Oregonie lasów zbrukać śnieg w odległości dwóch tysięcy pięciuset kilometrów?

Kayman podskoczył, gdy Brad zatrąbił klaksonem.

- Przepraszam, zagapiłem się - powiedział wsiadając i zatrzasnął drzwi. - Słuchaj, czy nie powinniśmy następnym razem wziąć mojego samochodu? Zużywa znacznie mniej paliwa od tej twojej maszyny.

Brad wzruszył markotnie ramionami i zerknął w lusterko wsteczne. Drugi poduszkiwiec, tym razem lekka, sportowa maszyna, wyjeżdżał za nimi zza zakrętu.

- I tak prowadzę dwa - rzekł. - To ten sam, który siedział mi na ogonie we wtorek. Partacze. Chyba, że chcą mi pokazać czarno na białym, że jestem śledzony.

Kayman obejrzał się. Podążający za nimi pojazd rzeczywiście nie robił nic, żeby nie rzucić się w oczy.

- Wiesz, co to za jedni, Brad?

- A co, masz jakieś wątpliwości?

Kayman nie odpowiedział. W samej rzeczy nie miał. Prezydent dał Bradowi jasno do zrozumienia, że pod żadnym pozorem ma się nie pieprzyć z żoną potwora, i każda bolesna sekunda tej półgodzinnej rozmowy pozostała mu w pamięci jak żywa. Śledzić zaczęli go zaraz potem, dla



pewności, że nie zapomni. Ale to nie był temat, który Kayman chciałby omawiać z Bradem. Włączył radio i trafił na wiadomości. Kilka minut słuchali o serii ocenzonej, a mimo to przygniatających nieszczęść, aż wreszcie Brad bez słowa sięgnął do wyłącznika. Jechali dalej w ciszy pod ołowianym niebem, aż dojechali pod osamotniony na pustej prerii, ogromny, biały sześcian Instytutu.

W budynku nie było żadnej szarości: rozjarzone lampy oświetlały twarze żywe, choć wymęczone i czasami zafrasowane. Przynajmniej tu w środku - pomyślał Kayman - panuje atmosfera spełnienia i celowości. Program szedł ściśle według planu. Za dziewięć dni wystartuje statek marsjański i on sam we własnej osobie będzie na jego pokładzie.

Kayman nie bał się wyprawy. Tak ukierunkował całe swoje życie od pierwszych dni w seminarium, kiedy to uświadomił sobie, że może służyć Bogu w wielu miejscach poza amboną, zachęcany przez ojca przełożonego do interesowania się wszystkimi niebami - czy to astrofizycznymi, czy teologicznymi. Był to jednak twardy orzech do zgryzienia. Kayman czuł, że nie jest gotowy. Czuł, że świat nie jest gotowy do tej próby. Wszystko wydawało mu się dziwną improwizacją, mimo że pracowały na to stulecia, łącznie z nim samym. Nawet załoga jeszcze nie została wyznaczona ostatecznie. Lecił Roger jako *raison detre* całego programu, rzecz jasna. Lecił Kayman; ta decyzja zapadła nieodwołalnie. Lecz kandydatury dwóch pilotów nadal były jedynie tymczasowe. Kayman poznał i polubił obu. Należeli do śmietanki pilotów NASA, jeden z nich pilotował z Rogerem wahadłowiec osiem lat temu. Lecz na skróconej liście potencjalnych kandydatów znajdowało się jeszcze piętnastu innych - Kayman nawet nie znał wszystkich nazwisk, wiedział tylko, że jest ich sporo. Vern Scanyon z dyrektorem naczelnym NASA polecieli przekonać prezydenta osobiście, nalegając, żeby zatwierdził ich kandydatów, ale Dash ze znanych jedynie sobie powodów zastrzegł prawo ostatecznej decyzji dla siebie i nie odkrywał kart.

Jedyną rzeczą, która sprawiała wrażenie w pełni gotowej do tej próby, było ogniwo łańcucha, które przedtem sprawiała wrażenie najmniej, pewnego - sam Roger.

Szkolenie szło mu jak po maśle. Roger poruszał się już zupełnie swobodnie po całym budynku Instytutu, regularnie kursując pomiędzy pokojem ciągle traktowanym jako "dom", marsjańską komorą normalną, pracowniami badawczymi oraz wszystkimi miejscami, do których udać się miał ochotę. Cały Instytut przywykł do widoku wysokiej, czarnoskrzydłej istoty, która sadziła długimi krokami przez korytarze, wielkimi, fasetowymi oczami rozpoznawała znajomych i bezbarwnym głosem wykrzykiwała wesołe pozdrowienia.

Cały ostatni tydzień z kawałkiem należał do Katarzyny Doughty. Okazało się, że Roger opanował do perfekcji zespół narządów zmysłów, obecnie przyszła kolej na opanowanie sztuki korzystania ze wszystkich możliwości umięśnienia. Tak więc Katarzyna sprowadziła niewidomego, jakiegoś tancerza i byłego paraplegika, którzy przejęli obowiązki jego wychowawców, gdy Roger zaczął poszerzać swoje horyzonty. Gwiazda tancerza już zaszła, ale on wiedział o tym, jako dziecko zaś uczył się u Nuriejewa i Dolina. Niewidomy już nie był niewidomym. Oczu nie miał, lecz jego układ wzrokowy zastąpiono sensorami bardzo podobnymi do posiadanych przez Rogera, toteż w dwóch wymieniali poglądy na temat subtelnych odcieni barw i sposobów manipulowania parametrami widzenia. Paraplegik, poruszający się obecnie na zmotoryzowanych kończynach, które były prototypami członków Rogera, miał za sobą rok nauki posługiwania się nimi i razem z Rogerem brał lekcje tańca. Nie zawsze razem w sensie fizycznym, mówiąc dokładniej. Eksparaplegik imieniem Alfred był mimo wszystko daleko bardziej "ludzki" od Rogera Torrawaya, a pośród swych rozlicznych cech człowieczych posiadał potrzebę oddychania.

Kiedy Kayman z Bradem weszli do pomieszczenia kontrolnego marsjańskiej komory

normalnej, Alfred wykonywał entrechaty po jednej stronie podwójnej szklanej tafli, a Roger po drugiej stronie powielał jego ruchy. Katarzyna Doughty podawała tempo, zaś system głośników nadawał walca A-dur z "Sylfid". Vern Scanyon siedział z boku pod ścianą okraciem na odwrotnie ustawionym krześle, z dłońmi zaplecionymi na oparciu i ze wspartą na nich brodą. Brad ruszył wprost do niego i wdali się w rozmowę, której inni nie słyszeli.

Don Kayman przysiadł pod drzwiami. Paraplegik z potworem wykonywali niewiarygodnie szybkie podskoki, bijąc stopami w kolibrzym trzepocie. Ta muzyka nie nadaje się do entrechatów - pomyślał Kayman, lecz tamci dwaj sprawiali wrażenie, że im wszystko jedno.

Tancerz wpatrywał się w nich z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Prawdopodobnie żałuje, że nie jest cyborgiem - snuł myśl Kayman. Z takimi mięśniami mógłby objąć każdą scenę w kraju. Była to umiarkowanie zabawna myśl, ale Kayman czuł się nieswojo. Wtem przypomniał sobie: siedział właśnie dokładnie w tym miejscu, kiedy na jego oczach zmarł Willy Hartnett. Zdawało się, że od tego czasu upłynęły wieki. Zaledwie przed tygodniem Brenda Hartnett przyszła z dziećmi pożegnać się z nim i siostrą Klotyldą, a już prawie o niej zapomniano. Gwiazdą programu był teraz potwór imieniem Roger. Śmierć innego potwora w tym miejscu, jakże niedawno temu, to już tylko historia.

Kayman ujął różaniec i zaczął odmawiać piętnaście Zdrowaś Mario na dziesiątkach. Podczas gdy jedna jego połowa klepała zdrowaśki, druga uświadamiała sobie przyjemne ciepło paciorków z kości słoniowej i kontrastującą z nim kruchość kryształu. Zdecydował się zabrać podarunek Ojca Świętego ze sobą na Marsa. Byłoby szkoda, gdyby zginął... no tak, szkoda by było, gdybym i ja zginął - pomyślał. Nie umiał ważyć tego rodzaju niewiadomych, więc postanowił zrobić to, co najwyraźniej zgadzało się z intencją Jego Świątobliwości, i zabrać jego podarunek w najdłuższą z odbytych przez różaniec podróży. Wyczuł, że ktoś za nim stoi.

- Dzień dobry, ojczu Kaymanie.

- Jak się masz, Sulie.

Zerkał na dziewczynę zaintrygowany. Co go uderzyło w jej wyglądzie? Miał wrażenie, że jej kruczoczarne włosy złocą się u nasady, ale nie widział w tym nic szczególnego; nawet ksiądz wie, że kobiety wybierają sobie kolor włosów, jaki im się podoba. Niektórzy księża również, jeśli o to chodzi.

- Jak idzie? - spytała.

- Rzekłbym idealnie. Popatrz, jak skaczą! Roger zdaje się jest tak gotowy, że już bardziej nie można, i myślę, że Deo volente, wyrobimy się na wyznaczony dzień startu.

- Zazdroszczę ci - powiedziała pielęgniarka, zaglądając ponad nim do normalnej komory marsjańskiej.

Jak na zdawkową uwagę zbyt wiele żaru było w jej głosie.

- Mówię serio, Don - rzekła. - Powodem, dla którego pchałam się do programu kosmicznego, było przede wszystkim to, że sama pragnęłam lecieć. Dopiełabym swego, gdyby nie... - urwała i wzruszyła ramionami. - No cóż, służę tobie i Rogerowi, jak sądzę. Czyż nie uważa się, że właśnie do tego kobiety zostały stworzone? Na służące. W każdym razie nie jest z tym tak źle, kiedy służy się takiej ważnej sprawie jak nasza.

- Mówisz to chyba bez większego przekonania.

Uśmiechnęła się i ponownie skierowała spojrzenie w stronę komory. Muzyka umilkła. Katarzyna Doughty wyjęła z ust peta, zapaliła następnego papierosa i powiedziała:

- No dobra, chłopaki. Dziesięć minut przerwy. Spisujecie się na medal.

Roger pozwolił sobie wewnątrz komory na siad ze skrzyżowanymi nogami. Wygląda,

wypisz wymaluj, jak szatan zasiadający na szczycie pagórka, w starym klasycznym filmie Disneya - pomyślał Kayman. "Noc na Łysej Górze"?

- Co z tobą, Roger? - zawołała Katarzyna Doughty. - Nie powiesz mi, że masz już dość.

- Tego mam dość, tak czy inaczej - stęknął. - Nie rozumiem, na jakie лихо mi ten cały balet. Willy tego nie miał.

- Willy zmarł - rzuciła ostro.

Zapadła cisza. Roger obrócił głowę w jej stronę, przez szybę wlepiając w nią spojrzenie swoich wielkich, wielopłaszczyznowych oczu.

- Nie na brak entrechatów.

- Skąd wiesz? Och - przyznała niechętnie - myślę, że przeżyłbyś bez tych paru podskoków.

Ale to ci dobrze robi. Tu chodzi nie tylko o naukę poruszania się. Musisz umieć tak się poruszać, żeby nie niszczyć otoczenia. Czy ty w ogóle masz pojęcie, jaki jesteś teraz silny?

Roger milczał w swojej komorze, wreszcie pokręcił głową.

- Nie czuję się specjalnie silny - oznajmił bezbarwnym głosem.

- Możesz przebić pięścią ścianę na wylot, Roger. Spytaj Alfreda. Jaki masz czas na jedną milę, Alfredzie?

Eksparaplegik zaplótł dłonie na otyłym brzuchu i na jego twarzy pojawił się uśmiech. Miał pięćdziesiąt osiem lat i zanim jeszcze myasthenia gravis zniszczyła mu naturalne kończyny, też żaden był z niego sportowiec.

- Minuta czterdzieści siedem - odparł z dumą.

- Myślę, Roger, że z tobą będzie jeszcze lepiej - zawołała Katarzyna. - Toteż musisz się nauczyć, jak tym wszystkim kierować.

Roger wydał dźwięk zupełnie nie przypominający słowa, po czym podniósł się na nogi.

- Wyrównajcie śluzę - rzekł. - Wychodzę.

Technik wcisnął przełącznik i potężne pompy zaczęły z dźwiękiem przypominającym darcie linoleum tłoczyć powietrze do komory wyjściowej.

- Och - jęknęła Sulie Carpenter za plecami Dona Kaymana. - Nie założyłam szkieł kontaktowych!

I dała nogę, zanim Roger wkroczył do sali. Kayman odprowadził ją spojrzeniem. Jedna zagadka została rozwiązana: wiedział już, co go uderzyło w jej wyglądzie. Ale po co Sulie Carpenter szkła kontaktowe zmieniające jej piwne oczy na zielone? Wzruszył ramionami i dał temu spokój.

My znaliśmy odpowiedź. Zadałyśmy sobie niemało trudu, żeby znaleźć Sulie Carpenter. Kryteria selekcji tworzyły długą listę, na której najmniej ważnym punktem był kolor włosów oraz kolor oczu, jako że jeden i drugi dawało się zmienić z łatwością.

Ze zbliżaniem się dnia ostatecznego terminu sytuacja Rogera ulegała zmianie. Przez dwa tygodnie znajdował się w położeniu połcia mięsa na rzeźnickim pieńku, przewracany i rąbany, bierny i bezwolny wobec tego, co z nim wyprawiają. Następnie został uczniem i wypełniał polecenia swoich nauczycieli, ucząc się władania własnymi zmysłami i używania własnych członków. Było to przejście z pozycji laboratoryjnego preparatu na pozycję półboga, a przebył już ponad połowę drogi. Czuł, jak to się staje. Już od paru dni kwestionował wszystko, co polecano mu robić, czasami odmawiając. Katarzyna Doughty przestała już być szefową, władną nakazać mu sto podciągnięć na drążku i godzinkę piruetów. Stała się jego pracownicą, którą zatrudnił sobie do pomocy. Brad zrobił się znacznie mniej skłonny do sypania dowcipami jak z rękawa, był znacznie poważniejszy i teraz on prosił Rogera o przysługi: "Przeleciałbyś dla mnie te testy na rozróżnianie barw, co? To będzie

dobrze wyglądać w mojej pracy na twój temat”. Roger często dawał się uprosić, ale nie zawsze. Najczęściej i bez gadania udawało się to Sulie Carpenter, ponieważ to ona zawsze była przy nim i zawsze się o niego troszczyła. Niemal zapomniał, jak bardzo jest podobna do Dorki. Nie zapomniał jednak, że jest bardzo ładna.

Sulie dostosowywała się do jego nastrojów. Kiedy był najeżony, stawała się cicha i pogodna. Jeśli chciał porozmawiać, gawędziła z nim. Czasami grywali w gry planszowe - Sulie była bardzo trudnym przeciwnikiem w scrabble. Raz późną nocą, kiedy Roger przeprowadzał eksperyment, jak długo może wytrzymać bez snu, przyniosła gitarę i śpiewali sobie, a jej miły, dyskretny kontrakt przyozdabiał jego bezbarwny, prawie matowy szept.

Jej twarz ulegała przeobrażeniom w jego oczach, ale nauczył się z tym żyć. Obwody interpretujące zespołu jego narządów zmysłów odzwierciedlały jego uczucia, jeśli do tego dopuścił, i zdarzały się chwile, kiedy Sulie Carpenter była podobna do Dorki bardziej niż sama Dorka.

Po przebiegnięciu przez Rogera jego dziennego dystansu w marsjańskiej komorze normalnej Sulie ściagała się z nim w powrotnej drodze do pokoju - roześmiana dziewczyna z dudniącym potworem - po szerokich korytarzach Instytutu: oczywiście wygrywał z łatwością. Pogawędzili trochę, po czym ją żegnał.

Dziewięć dni do startu.

W rzeczywistości mniej niż dziewięć. Trzy dni przed startem miał polecieć na Merritt Island, zaś ostatni dzień pobytu w Tonce był przeznaczony na zamontowanie mu komputera plecakowego i przestawienie części jego ośrodka zmysłów na specyficzne warunki marsjańskie. Miał zatem sześć... nie, pięć dni.

I od tygodni nie widział Dorki.

Przejrzał się w lustrze zainstalowanym na jego żądanie: owadzie oczy, skrzydła nietoperza, lekko połyskujące ciało. Pozwolił sobie dla zabawy na swobodny strumień wzrokowych interpretacji - od nietoperza przez olbrzymią muchę do demona... i do siebie samego, takiego, jakim siebie pamiętał, z miłą twarzą i młodzieńczą sylwetką.

Gdybyż tak Dorka miała komputer pośredniczący w jej widzeniu! Gdybyż tak mogła widzieć go takim, jaki był kiedyś! Poprzysiągł sobie, że nie zadzwoni do niej, że nie może jej zmuszać do oglądania komiksowej postaci, jaką stał się jej mąż. Co poprzysiągłszy, podniósł słuchawkę i wykręcił numer Dorki. Impuls był nie do odparcia.

Czekał. Jego harmonijkowy zmysł czasu rozciągnął mu tę przerwę w nieskończoność, zanim tło obrazu rozbłysło z ekranu i brzęczenie z głośnika nadało pierwszy dzwonek. Po czym czas zdradził go ponownie. Do drugiego dzwonka znów upłynęła wieczność. Wreszcie rozległ się i trwał też wieczność, aż wreszcie umilkł.

Nie odpowiadała.

Roger należał do tego rodzaju osobników, którzy wszystko liczą, toteż wiedział, że większość ludzi nie odpowiada przed trzecim dzwonkiem. Jednakże Dorka zawsze płuwała z ciekawości, kogo też los zdarzy. Czy wyrwana z głębokiego snu, czy z wanny, rzadko pozwoliła, żeby telefon zadzwonił więcej niż dwukrotnie. Nareszcie zabrzmiał trzeci dzwonek i - nadal bez odpowiedzi. Roger zaczynał cierpieć. Starał się panować nad tym, jak mógł najlepiej, nie chcąc uruchamiać sygnałów alarmowych telemetrii. Nie mógł tego całkowicie powstrzymać. Nie ma jej - myślał. Jej męża zamieniono w potwora, a ona nie siedzi w domu i nie ubolewa nad tym, nie martwi się; jest na zakupach, u przyjaciółki albo w kinie.

Albo z jakimś mężczyzną.

Jakim mężczyzną?

Z Bradem - pomyślał.

Nie byłoby to niemożliwe - zostawił Brada na dole przy komorze dwadzieścia pięć minut temu z zegarkiem w ręku. Dość czasu, żeby dotarł do Dorki. Może ona wcale nie wyszła. Może...

Czwarty dzwonek...

Być może oni tam są, oboje, goli, i parzą się na podłodze na wprost telefonu. I ona mówi: "Przejdź do drugiego pokoju, zobacz, kto to". A on mówi ze śmiechem: "Nie, odbierzemy w tej pozycji". I ona powie...

Piąty dzwonek... tło obrazu rozkwitło kolorami twarzy Dorki. A jej głos powiedział:

- Halo?

Pięść Rogera wyprysła szybko jak myśl i przykryła obiektyw.

- Dora - powiedział. Własny głos nie pierwszy raz wydał mu się bezbarwny i chrapliwy. - Jak się masz?

- Roger! - krzyknęła. Radość w jej głosie brzmiała bardzo prawdziwie. - Och, kochany, jak się cieszę, że dzwonisz! Jak się czujesz?

- Świetnie - powiedział machinalnie jego głos.

Dalej już sam, bez udziału świadomości, sprostował owo stwierdzenie, opowiedział, co się z Rogerem działo, wyliczył próby i ćwiczenia. W tym samym czasie Roger wpatrywał się w ekran ze wszystkimi zmysłami na najwyższych obrotach.

Wyglądała... jak? Zmęczona? Zmęczony wygląd był potwierdzeniem jego obaw. Szlajała się z Bradem co noc, nie bacząc na cierpienia męża i jego błazeńskie poniżenie. Świeża i radosna? Świeży i radosny wygląd to również potwierdzenie. Oznaczał, że wypoczywała bawiąc się dobrze... nie bacząc na katusze swego męża.

Torrawayowi wcale nie brakowało piątej klepki, po prostu jego umysł przez całe życie przywykł do analizowania i logiki. Nie uszło jego uwagi, że gra, którą uprawia, zwie się "Ty przegrywasz". Wszystko było potwierdzeniem winy Dorki. Jednakże bez względu na to, jak bacznie badał jej obraz i jak bardzo zwielokrotnionymi zmysłami, nie wyglądała wrogo ani przesadnie serdecznie. Wyglądała po prostu jak Dorka. I kiedy o tym pomyślał, zalała go fala czułości, od której głos mu uwiązł w gardle.

- Stęskniłem się za tobą, kochanie - rzekł bezbarwnie.

Jedyne, co zdradzało uczucia, to opóźnienie jednej sylaby o ułamek sekundy: "kocha... nie".

- I ja stęskniłam się za tobą. Staram się wynajdywać sobie różne zajęcia, mój drogi - szczebiotała. - Malowałam ci gniazdko. To niespodzianka, ale przecież tyle czasu upłynie, zanim je zobaczysz, że... No więc, będzie brzoskwiniowe. Z boazerią w kolorze jaskrów i myślę, że chyba z jasnoblękitnym sufitem. Podoba ci się? Zamierzałam najpierw zrobić to wszystko w ochrze i brązie, no wiesz, barwy jesieni, barwy Marsa, na twoją cześć. Ale pomyślałam, że jak już wrócisz, pewnie nie będziesz mógł patrzeć na barwy Marsa! - I szybko, jednym tchem spytała: - Kiedy się zobaczymy?

Zaskoczyła go zmiana w jej głosie.

- No wiesz, wyglądam dość szkaradnie - rzekł.

- Wiem, jak wyglądasz. Boże, Roger, czy ty myślisz, że Midge, Brenda, Collie i ja nie omawiałyśmy tego przez ostatnie dwa lata? Jak tylko zaczął się ten program. Widziałyśmy rysunki. Widziałyśmy fotografie modeli. I widziałyśmy zdjęcia Willy'ego.

- Nie jestem już dokładnie taki jak Willy. Pozmieniali różne rzeczy...

- Wiem i o tym, Roger. Brad opowiedział mi o wszystkim. Chciałabym się z tobą zobaczyć.

W tym momencie twarz jego żony bez ostrzeżenia - zmieniła się w twarz wiedzmy.

Szydełko w jej dłoni stało się brzoźową miotłą.

- Widujesz się z Bradem?

Byłaż przed jej odpowiedzią mikrosekundowa pauza?

- Pewnie nie powinien mi mówić - rzekła - ze względu na tajemnicę państwową, i tak dalej. Ale sama chciałam, żeby mi powiedział. Nie takie to straszne, kochanie. Jestem dorosła. Dam sobie z tym radę.

Przez chwilę Roger miał ochotę zdjąć dłoń z obiektywu i pokazać, jak wygląda, ale zaczynał się gubić i czuć nieswojo. Nie potrafił zinterpretować swych uczuć. Zawrót głowy? Wzruszenie? Jakaś usterka jego mechanicznej części? Wiedział, że jeszcze chwilka, a przyleci Sulie albo Don Kayman lub ktoś inny, zaalarmowany telemetrycznymi urządzeniami ostrzegawczymi znajdującymi się poza tym pokojem. Usiłował się opanować.

- Może przed odlotem - rzekł bez przekonania. - Ja... ja myślę, że lepiej będzie, jak już skończę, Dorka.

Ich znajomy salon też się zmieniał za jej plecami. Głębia ostrości wideofonu nie była nadzwyczajna i reszta pokoju rozmazywała się nawet w jego mechanicznych zmysłach. Czy to nie jakiś mężczyzna stoi w półmroku? Czy nie ma na sobie oficerskiej bluzy piechoty morskiej? Czy to nie Brad?

- Muszę odłożyć słuchawkę - powiedział i odłożył.

Zjawiła się Klara Bly, pełna pytań i troski. Za całą odpowiedź w milczeniu pokręcił głową. Jego nowe oczy nie miały kanalików łzowych, toteż nie mógł, rzecz jasna, płakać. Nawet tej pociechy mu odmówiono.

## Jedenaście

Dorota Luiza Mintz Torraway

jako Penelopa

Wyświetlane przez nas krzywe tendencje pokazywały, że najwyższy już czas przedstawić światu Rogera Torrawaya od A do Z. Tak więc wieść się rozniosła i ekrany wszystkich telewizorów na świecie gościły przez moment Rogera w kilkunastu pełnych ujęciach pomiędzy zbliżeniami umierających z głodu Pakistańczyków a pożarami w Chicago.

W efekcie przyniosło to popularność Dorce. Telefon od Rogera wytrącił ją z równowagi. Ale nie aż tak, jak kartka z wiadomością od Brada, że nie będzie mógł się z nią więcej spotykać. I nie aż tak, jak czterdzieści pięć minut, które prezydent spędził na wbijaniu jej do głowy, co się stanie, jeśli będzie bruździła jego pieścuchowi astronauty. Na pewno nie aż tak, jak świadomość, że jest śledzona, ma telefon na podsłuchu i mieszkanie oczywiście też.

Ale nie wiedziała, jak ma pogrywać z Rogerem. Podejrzewała, że nigdy się tego nie dowie, i nie miała nic a nic przeciwko temu, że za kilka dni wyślą go w przestrzeń kosmiczną, co oznaczało, że nie będzie się musiała wiele martwić o ich stosunki przez co najmniej półtora roku.

Nic również nie miała przeciwko nagłej fali popularności. Teraz, jak to wszystko było w gazetach, przyszli ją obejrzyć reporterzy z telewizji, a ona obejrzała własną dzielną twarz w reportażu o osiemnastej. Tygodnik "Fem" wysyłał kogoś do niej. Ten ktoś najpierw zatelefonował. Była to kobieta około sześćdziesiątki, weteranka ruchu wyzwolenia, która prychnęła z pogardą:

- Nigdy tego nie robimy, nie przeprowadzamy z nikim wywiadów tylko dlatego, że ten ktoś jest czyjąś żoną. Ale kazano mi. Nie mogłam wykręcić się od polecenia, jednak chcę być wobec

ciebie uczciwa i oświadczam, że dla mnie jest w tym coś obrzydliwego.

- Bardzo mi przykro - przeprosiła Dorka. - Czy mam to anulować?

- Och, nie - powiedziała kobieta takim tonem, jakby to była wina Dorki - to nie twoja wina, ale uważam to za zdradę ideałów „Fem”. Nie ma sprawy. Wpadnę do ciebie do domu. Zrobimy piętnastominutowy kawałek do wersji kasetowej, a ja spiszę to do druku. O ile możliwe...

- Ja... - zaczęła Dorka.

- ...mów o sobie raczej niż o nim. O swojej przeszłości. Swoich zainteresowaniach. Swoim...

- Przepraszam, ale ja bym naprawdę wołała...

- ...stosunku do programu kosmicznego i tak dalej. Dash twierdzi, że to podstawowy cel Ameryki i że od tego zależy przyszłość świata. Jakie jest twoje zdanie? Nie proszę, żebyś mi odpowiadała w tej chwili, proszę...

- Nie chcę, żeby to miało miejsce w moim mieszkaniu - Dorka wcisnęła się z tym w rozmowę nie czekając na miejsce.

- ...żebyś pomyślała nad tym i odpowiedziała do kamery. Nie u ciebie w mieszkaniu? Nie, to wykluczone. Będziemy za godzinę.

Dorce pozostała do rozmowy kurcząca się plamka świetlna, a i ta zniknęła po chwili.

- Suka! - powiedziała niemal bezwiednie.

Tak naprawdę to me czuła się dotknięta wywiadem we własnym domu. Tylko tym, że nie pozostawiono jej wyboru. Tak, tym czuła się bardzo dotknięta.

Dora Torraway, jeszcze jako Dee Mintz, była bardzo czuła na punkcie swobody wyboru. Jedną z tych rzeczy, które od samego początku podobały jej się w Rogerze, poza splendorem programu kosmicznego i towarzyszącymi mu bezpieczeństwem i pieniędzmi, i poza samą wcale męską przystojnością Rogera - było to, że liczył się z jej życzeniami. Inni mężczyźni interesowali się głównie tym, czego sami chcieli, a co nie było jednakowe u wszystkich mężczyzn, ale nie zmieniało się w obrębie stosunków z każdym poszczególnym mężczyzną. Harold zawsze chciał tańczyć i balować, Jim zawsze chciał seksu, Everett chciał seksu oraz balów, Tommy politycznego fanatyzmu, Joe chciał, żeby go niańczyć. Roger chciał poznawać świat razem z nią i okazywał taką samą gotowość do poznawania tego, co ją interesowało, jak i tego, co sam uważał za ważne. Nigdy nie żałowała, że wyszła za Rogera.

Wiele mieli okresów rozłąki. Pięćdziesiąt cztery dni, które on spędził na Stacji Kosmicznej Trzy. Niezliczona liczba krótszych lotów. Dwa lata służbowej tułaczki po całym świecie, w ramach współpracy z całym systemem naziemnych stacji obserwacyjnych od Aachen po Zair, bez prawdziwego domu w którymkolwiek z tych miejsc. Dorka zrezygnowała z tego niebawem i powróciła do mieszkania w Tonce. Ale nie czuła się dotknięta. Może Roger się czuł - to pytanie jednak nigdy nie przyszło jej na myśl. W każdym razie widywali się nie tak znowu rzadko. On bywał w domu raz na parę miesięcy, a ona miała co robić z czasem. Miała swój sklep, który otworzyła dzięki przekazowi na pięć tysięcy dolarów, otrzymanemu z okazji urodzin od przebywającego w Islandii męża. Miała przyjaciółki. Miała - od czasu do czasu - mężczyzn.

Żadna z tych rzeczy nie wypełniała jej życia, ale ona nie oczekiwała, że zostanie ono wypełnione. Liczyła się z tym, że raczej będzie samotne.

Była jedynaczką chowaną przez matkę, która nie znosiła sąsiadów, toteż nie miała zbyt wielu przyjaciół. Sąsiedzi również za jej matką nie przepadali, ponieważ była to drobna narkomanka z nieuchronnie wycinowanym mózgiem prawie każdego popołudnia, co nie ułatwiało Dorce życia. Lecz Dorka nie czuła się pokrzywdzona, nie wiedziała, że można żyć inaczej.

W wieku trzydziestu jeden lat była zdrowa, śliczna i umiała sobie radzić ze światem, jak tylko to było możliwe. Sama siebie uważała za szczęśliwą. Ta diagnoza nie brała się z żadnej zalewającej jej duszę radości. Brała się z obiektywnego spojrzenia na siebie i z faktu, że ilekroć postanowiła, że czegoś chce, zawsze to miała, a jakaż inna mogła być definicja szczęścia?

Czas do przybycia panny Hagar Hengstrom i jej ekipy wykorzystała gromadząc wybór ceramiki ze swego sklepu na stoliczku przed kanapą, gdzie zamierzała zasiąść. Resztę czasu poświęciła mniej ważnej operacji przyczesania włosów i poprawienia makijażu oraz przebraniu się w najmodniejsze sznurowane po bokach spodnie z żakietem. Gdy zadzwonił dzwonek u drzwi, była w pełni gotowa.

Panna Hagar Hengstrom potrząsnąwszy jej dłonią wniosła do pokoju błyszczący lazur fryzury i czarny kłęb dymu z cygara. Za nią wkroczyła osobniczka od światła, osobniczka od dźwięku, osobniczka od kamery i chłopaki od "przynieś-wynieś".

- Mały ten pokój - mruknęła mierząc umeblowanie lekceważącym spojrzeniem. - Torraway usiądzie tam. Przenieść to.

Chłopcy podskoczyli i przenieśli fotel klubowy spod okna w kąt zajmowany obecnie przez sekretarzyk, który wytargali na środek pokoju.

- Chwileczkę - powiedziała Dorka. - Myślałam, że po prostu siądę sobie tutaj na kanapie...

- Nie masz jeszcze odczytu światła? - zapytała Hengstrom. - Sally, puść kamerę. Nigdy nie wiadomo, co się może przydać do montażu.

- Ja coś mówiłam - powiedziała Dorka.

Hengstrom popatrzyła na nią. Głos był cichy, lecz ton nie wróżył nic dobrego. Wzruszyła ramionami.

- Ustawmy to - zaproponowała - a jeśli ci się nie spodoba, to pogadamy. Zrób mi próbę, zgoda?

- Próbę czego? - Dorka zauważyła, że młoda blada dziewczyna celuje w nią trzymaną w ręku kamerą, i to ją rozpraszało.

Osobniczka od światła znalazła gniazdko w ścianie i w obu dłoniach trzymała teraz krzyże reflektorów, przesuwając je z lekka dla usunięcia cieni tak szybko, jak powstawały przy każdym poruszeniu się Dorki.

- No więc, na początek, jakie masz plany na najbliższe dwa lata? Z pewnością nie zamierzasz po prostu zbijać bąków w oczekiwaniu na powrót Rogera Torrawaya do domu.

Dorka usiłowała przedrzeć się do kanapy, lecz osobniczka od światła zmarszczyła brwi i odgoniła ją gestem w drugą stronę, zaś dwóch "przynieś-wynieś" odepchnęło stolik daleko od niej.

Powiedziała:

- Mam sklep. Myślałam, że może zechcecie złapać kamerą parę drobiazgów z tego sklepu w trakcie wywiadu ze mną...

- Świetnie, oczywiście. Chodziło mi o plany osobiste. Jesteś zdrową kobietą. Masz potrzeby seksualne. Do tyłu trochę, proszę. Sandrze coś szumi w dźwięku.

Dorka stwierdziła, że stoi przed krzesłem, i nie pozostało jej nic innego, jak usiąść.

- Oczywiście... - zaczęła.

- Spoczywa na tobie odpowiedzialność - powiedziała Hengstrom. - Jakiż przykład zamierzasz dać młodszym kobietom? Zostać zaszuszoną starą panną? Czy żyć pełnią życia?

- Nie wydaje mi się, abym miała ochotę dyskutować...

- Sprawdziłam cię wcale dokładnie, Torraway. Podoba mi się to, co odkryłam. Jesteś osobniczka niezależną, na tyle w każdym razie, na ile może być niezależna osobniczka, która



akceptuje idiotyczną farsę małżeństwa. Po co to zrobiłaś?

Dorka zawahała się.

- Roger jest naprawdę bardzo miłym człowiekiem - zaproponowała jako wyjaśnienie.
- I co z tego?
- No, to z tego, że zapewnił mi dobrobyt i oparcie...

Hagar Hengstrom westchnęła.

- Zawsze ta stara psychologia niewolnicy. Mniejsza o to. Drugą zagadką jest dla mnie twoje wplątanie się w program kosmiczny. Nie wyczuwasz w tym kombinacji seksistów?

- No, nie. Sam prezydent mi powiedział - rzekła Dorka, świadoma, że usiłuje się podlizać na wypadek drugiej wizyty Dasha - że umieszczenie jakiegoś osobnika na Marsie jest absolutnie nieodzowne dla przyszłości rodzaju ludzkiego. Ja mu wierzę. Winni jesteśmy...

- Wróc - zakomenderowała Hengstrom.
- Co?
- Wróc to, co przed chwilą powiedziałaś. Umieszczenie czego na Marsie?
- Jakiegoś osobnika. Och. Rozumiem, co pani ma na myśli.

Hengstrom pokiwała ze smutkiem głową.

- Rozumiesz, co mam na myśli, ale nie zmieniasz swojego sposobu myślenia. Dlaczego osobnika? Dlaczego nie osobniczki? Z wyrazem politowania pod adresem Dorki spojrzała na osobniczkę od dźwięku, która pokręciła głową z ubolewaniem. - Dobra, przejdźmy do czegoś ważniejszego: czy wiesz, że cała załoga wyprawy marsjańskiej ma być męska?

Było to dla Dorki przedpołudnie co się zowie. Tylko że ze sfilmowania jej ceramicznych śliczności wyszły nici.

Przyszedłszy na dyżur po południu Sulie Carpenter przyniosła Rogerowi dwie niespodzianki: wypożyczoną z biura prasowego (czytaj: cenzury) programu kasetę z tym wywiadem i gitarę. Najpierw wręczyła mu kasetę nie przeszkadzając w oglądaniu filmu, zajęta zmienianiem pościeli i wody kwiatom w wazonie. Już po wszystkim powiedziała z ożywieniem:

- Twoja żona wypadła bardzo dobrze, moim zdaniem. Spotkałam kiedyś Hagar Hengstrom. To wyjątkowo trudna baba.

- Dorka wspaniale wyglądała - rzekł Roger.

Żadnej emocji nie dało się wyczytać z jego przerobionej twarzy, tylko nietoperzowe skrzydła przebiegało niespokojne drżenie.

- Zawsze podobała mi się w tych spodniach.

Sulie kiwnęła głową, notując sobie w pamięci: otwarte sznurowania z boku nogawek ukazywały sporo golizny. Najwyraźniej wszczepione Rogerowi steroidy robiły, co do nich należało.

- A tu mam coś jeszcze - powiedziała otwierając futerał gitary.

- Zagrasz mi?

- Nie, Roger. T y zagrasz.

- Nie umiem grać na gitarze, Sulie - zaprotestował.

Roześmiała się.

- Rozmawiałam z Bradem - powiedziała - i myślę, że będziesz zaskoczony. Ty, Roger, nie jesteś zwyczajnie, no wiesz, inny. Ty jesteś lepszy. Weź na przykład swoje palce.

- Co z moimi palcami?

- Ano, ja gram na gitarze od dziewiątego roku życia, ale jeśli zrobię sobie przerwę na parę tygodni, znikają mi odciski i wszystko muszę zaczynać od początku. Twoje palce nie potrzebują

odcisków, są dostatecznie twarde i silne, zęby już za pierwszym razem brać idealne progi.

- Wspaniale - rzekł Roger - tylko że ja nawet nie wiem, o czym ty mówisz. Co to znaczy "brać progi"?

- Przyciskać struny na progach. O, tak. - Brzdąknęła dźwięk G, następnie D i C. - Teraz ty to zrób - powiedziała. - Tylko uważaj, żeby nie za mocno. Rzecz jest łamliwa. - Wręczyła mu gitarę.

Przejechał kciukiem po pustych strunach, jak to podpatrzył u niej.

- Wspaniale - zaklaskała w dłonie. - Teraz weź G. Palec serdeczny na trzecim progu struny e1 - o tutaj. Palec wskazujący na drugim progu struny A. Środkowy palec na trzecim progu struny E. - Naprowadziła mu dłonie. - Teraz uderz.

Szarpnął struny i podniósł na nią wzrok.

- Hej - powiedział. - Ładnie.

- Nie ładnie - poprawiła go z uśmiechem. - Doskonale. A teraz, tak jest C. Palec wskazujący na drugim progu struny B, środkowy tutaj, serdeczny tutaj... Dobrze. A to jest ton D: palec wskazujący i środkowy na strunie G i E, tutaj, serdeczny jeden próg niżej na B... Znów doskonale. Teraz zagraj mi G.

Ku swemu zaskoczeniu Roger wygrał idealnie G. Uśmiechnęła się.

- A nie mówiłam? Brad miał rację. Jak raz poznasz ton, to już go umiesz: 3070 pamięta go za ciebie. Tobie wystarczy jedynie pomyśleć "dźwięk G", żeby twoje palce go zagrały. Jesteś teraz - rzekła z udaną zawiścią - jakieś trzy miesiące dalej, niż byłam ja, kiedy pierwszy raz wzięłam gitarę do ręki.

- To całkiem ładne - powiedział Roger próbując wszystkie trzy akordy po kolei.

- To dopiero początek. Zagraj teraz czterotakt, no wiesz, ta-ram-pa-pam. Akordem G... - Wysłuchiwała i skinęła głową. Wspaniale. A teraz zagraj to w ten sposób: G, G, G, G, G, G, G, G, C, C, G, G, G, G, G, G, G... Wspaniale... Jeszcze raz, tylko po C, C, zagraj teraz D, D, D, D, D, D... i bomba. Teraz obie rzeczy razem, jedno po drugim...

Zagrał, a ona zaśpiewała do wtóru:

- Kumbaya, panie. Kumbaya! Kumbaya, panie. Kumbaya...

- Hej! - wykrzyknął Roger w zachwycie.

Pokręciła głową z żartobliwą konsternacją.

- Trzy minuty jak wzięłeś gitarę do ręki, a już zostałeś akompaniatorem. Proszę, przyniosłam ci książkę akordów z paroma prostymi utworami. Do mojego powrotu powinieneś już grać to wszystko i wtedy zacznę z tobą chwyt, glissando i portamento.

Pokazała mu, jak czytać tabulaturę każdego akordu, i zostawiła go w pełni szczęścia, główkującego nad pierwszymi sześcioma modulacjami F. Przystanąwszy za drzwiami jego pokoju wyjęła szkła kontaktowe, przetarła oczy i pomaszerowała do gabinetu dyrektora. Sekretarka Scanyona machnęła jej ręką przyzwalająco.

- Jest uszczęśliwiony gitarą, generale - zameldowała. - Mniej uszczęśliwiony swoją żoną.

Vern Scanyon kiwnął głową i podkręcił gałkę komunikatora na biurku: z nasłuchu w pokoju Rogera doleciały dźwięki akordów do "Kentucky Babe". Ściszył je z powrotem.

- Wiem, co z gitarą, majorze Carpenter. A co z jego żoną?

- Obawiam się, że ją kocha - powiedziała z ociąganiem. - Do pewnego punktu wszystko w nim jest w porządku. Dalej, myślę, czekają nas kłopoty. Ja mogę go wspierać dopóty, dopóki jest tutaj w Instytucie, ale on przez długi czas będzie daleko stąd i... ja... sama nie wiem.

Scanyon rzucił ostro:

- Przestańcie się jąkać i do rzeczy, majorze!

- Myślę, że będzie tęsknił za nią ponad swoje możliwości. Już teraz nie jest najlepiej. Obserwowałam go, jak oglądał tę kasetę. Bez najmniejszego drgnienia, w kamiennym skupieniu, żeby nie uronić czegokolwiek. Kiedy znajdzie się czterdzieści milionów mil od niej... No cóż. Wszystko mam na podsluchu, generale. Przeprowadzę komputerową symulację i wtedy może będę mogła powiedzieć coś więcej. Ale jestem niespokojna.

- Ty jesteś niespokojna! - warknął Scanyon. - Dash obetnie mi jaja, jeśli go tam wyślemy, a on weźmie i nawali!

- A co ja mogę powiedzieć panu, generale? Proszę poczekać, aż przeprowadzę symulację. Wówczas może będę wiedziała, co z tym fantem zrobić. - Usiadła nie czekając na zaproszenie i potarła czoło dłońmi. - Prowadzenie podwójnego życia dużo człowieka kosztuje, generale - zauważyła. - Osiem godzin w roli pielęgniarki i osiem godzin w roli psychoanalityka, to wcale nie jest zabawne.

- Dziesięć lat zamykania kancelarii sztabu na Antarktydzie jest jeszcze mniej zabawne - skwitował to Scanyon krótko.

\*\*\*

Prezydencki odrzutowiec osiągnął wysokość ekonomiczną przelotu, trzydzieści jeden tysięcy metrów, i poszedł pełnym gazem - ponad trzy Macha, szybciej nawet, niż to zakładano dla prezydenckiego CB-5. Prezydent spieszył się.

Konferencja na szczycie na wyspach Midway zakończyła się fiaskiem. Wyciągnięty z zamkniętymi oczami na kanapie udając pogrążonego we śnie, żeby mieć z głowy towarzyszących mu senatorów, Dash ponuro rozważał swoje opcje. Było ich niewiele.

Nie spodziewał się dużo po konferencji, a zaczęła się dość obiecująco. Australijczycy zasygnalizowali, że są gotowi zaakceptować ograniczoną współpracę z NLA w eksploatacji Interioru, pod warunkiem otrzymania odpowiednich gwarancji itd., itd. Delegaci NLA poszeptali między sobą i oświadczyli, że chętnie udzielą gwarancji, jako że ich rzeczywiste cele to zaspokojenie maksimum potrzeb życiowych wszystkich ludzi na świecie, traktowanym jako jedna całość, bez względu na przestarzałe granice państwowe itd.

Sam Dash opędził się od szepczących doradców i oświadczył, że Ameryka widzi swój interes na tej konferencji jedynie w udzieleniu życzliwego poparcia dwojgu bliskim jej sercu sąsiadów, i nie żąda niczego dla siebie itd., i przez jakiś czas - wszystkiego dwie godziny - zanosilo się, że konferencja może przynieść konkretne rezultaty.

Po czym zaczęto przechodzić do szczegółów. Azjaci zaoferowali milionową Armię Ziemi plus strumień zbiornikowców dowożących trzy miliony galonów stężonego osadu z kanałów Szanghaju tygodniowo. Australijczycy zgodzili się na nawóz, ale wymienili maksymalną liczbę pięćdziesięciu tysięcy rolników z Azji do uprawy ziemi. Ponadto zwrócili grzecznie uwagę, że skoro będzie to australijska ziemia i australijskie słońce, to i wyhodowana pszenica będzie też australijska. Człowiek z Departamentu Stanu przypomniał Dashowi amerykańskie zobowiązania wobec Peru, na co Dash podniósł się z ciężkim sercem i zażądał stanowczo co najmniej piętnastoprocentowego kontyngentu dla dobrych sąsiadów z Ameryki Południowej. I temperatura zaczęła rosnać. Przyspieszającym wszystko katalizatorem stał się wypadek samolotu rejsowego NLA, który zaraz po oderwaniu się od pasa startowego nad Sand Island wleciał w stado czarnostopych albatrosów, rozbił się na wysepce w lagunie i spłonął na oczach uczestników konferencji patrzących na to z tarasu na dachu Holiday Inn. Po czym padły ostre słowa. Japoński członek delegacji NLA pozwolił sobie na wyrażenie tego, co do tej pory tylko myślał: że obstawanie Ameryki przy tym, aby konferencja odbyła

się w miejscu jednej z najgłośniejszych bitew drugiej wojny światowej, ma na celu rozmyślne obrażenie Azjatów. Australijczycy nadmienili, że oni kontrolują populację własnych albatrosów bez większego trudu, i dziwi ich, że Amerykanie nie potrafią tego samego. Tak więc szczytowym osiągnięciem trzech tygodni przygotowań i dwóch dni nadziei było oszczędne w słowach oświadczenie, że trzy wielkie mocarstwa postanawiają kontynuować rozmowy. Kiedyś. Gdzieś. Nie tak prędko.

Lecz oznacza to wszystko tyle - przyznał w duchu Dash wiercący się niespokojnie na kanapie - że stoją w obliczu konfrontacji. Ktoś musiałby ustąpić, ale nikt nie chce. Podniósł się i zażądał kawy. Podano mu ją razem ze skreślonym na papeterii Linii Lotniczej Białego Domu liścikiem od któregoś z senatorów: "Panie prezydencie, musimy przed wylądowaniem załatwić sprawę proklamacji rejonu klęski". Dash zmiął papier. Znów ten senator Talltree z samymi skargami: jezioro Altur skurczyło się do dwudziestu procent swej normalnej powierzchni, turystyka w górach Arbuckle zdechła, ponieważ w Wodospadach Turnera zabrakło wody. Wiosenne Targi Stanowe musiały zostać odwołane ze względu na niesiony wiatrem pył. Oklahomę należy ogłosić rejonem klęski żywiołowej.

Mam pięćdziesiąt cztery stany - pomyślał Dash - i gdybym wysłuchiwał wszystkich senatorów i gubernatorów, musiałbym ogłosić pięćdziesiąt cztery rejony klęsk żywiołowych. W rzeczywistości istniał tylko jeden rejon klęski żywiołowej. Akurat tak się składało, że obejmował cały świat. I ja ubiegałem się o ten urząd - nie mógł wyjść ze zdumienia. Myśląc o Oklahomie siłą rzeczy pomyślał o Rogerze Torrawayu. Przez chwilę rozważał, czy nie wywołać pilota i nie zmienić kursu na Tonkę. Jednak spotkanie z Połączonym Szefostwem Sztabu nie mogło czekać. Będzie musiał zadowolnić się telefonem.

Roger wiedział, że tak naprawdę to nie on sam gra na gitarze, tylko zapamiętujący wszystkie właściwe podprogramy 3070, który nakazuje palcom wykonywać to, co mózg Rogera zarządził. W niecałą godzinę nauczył się wszystkich akordów z książki i wygrywał swobodnie jeden po drugim. Jeszcze parę minut na zapis w banku danych czasu trwania dźwięków na muzycznej pięciolinii, po czym jego wewnętrzne zegary przejęły sprawę tempa i od tej pory nie musiał już zastanawiać się nad rytmem. Jeśli chodzi o melodie, to nauczył się, który próg na której strunie odpowiada której nucie na pięciolinii, co odcisnąwszy się na rdzeniach pamięci utrwaliło raz na zawsze zgodność muzycznego zapisu z szarpnięciem struny. Sulie poświęciła dziesięć minut, żeby pokazać mu, kiedy i jakie nuty należy grać o pół tonu wyżej, a jakie pół tonu niżej, i odtąd galaktyka krzyżyków i bemoli rozsianych za kluczami na pięciolinii nie miała przed nim żadnych tajemnic.

Chwyty: dla układów nerwowych człowieka jest to kwestia dwóch minut nauki zasad i stu godzin ćwiczenia, zanim stanie się to automatyczne - kciuk na strunę D, palec serdeczny na e1, środkowy palec na B, kciuk na A, serdeczny na E, środkowy na B i tak dalej. Rogerowi wystarczyły dwie minuty nauki. Dalej już podprogramy sterowały jego palcami i jedynym ograniczeniem tempa była szybkość, z jaką sama struna może bez zerwania się wydawać dźwięk. Kiedy zadzwonił prezydent, grał właśnie z pamięci koncert Segovii po jednorazowym przesłuchaniu taśmy. Minęły czasy, kiedy Roger przejąłby się i zachwyił telefonem od prezydenta Stanów Zjednoczonych. Obecnie zirytował się - ten telefon odrywał go na jakiś czas od gitary. Ledwo słuchał tego, co prezydent miał do powiedzenia. Uderzył go zatroskany wyraz twarzy Dasha, głębokie bruzdy, jakich nie było parę dni temu, podkrążone oczy. Wtem zdał sobie sprawę, że obwody interpretacyjne wyolbrzymiają to, co widzi, dla zwrócenia jego uwagi na owe zmiany, toteż zapanował nad układami mediacyjnymi i ujrzał Dasha bez ich pośrednictwa. Lecz prezydent nadal był zatroskany.

W jego głosie brzmiała sama serdeczność i braterstwo, kiedy wypytywał Rogera, jak mają się sprawy. Czy Roger czegoś potrzebuje? Czy może wskazać jakiś tyłek zasługujący na kopa, żeby sprawy miały się lepiej?

- Mam się wspaniale, panie prezydencie - powiedział Roger, przy pomocy swoich magicznych oczu strojąc dla zabawy twarz prezydenta w brodę Świętego Mikołaja i czerwony kaptur z kutasem, a przez ramię przewieszając mu wór prezentów.

- Na pewno, Roger? - nalegał Dash. - Nie zapominaj, co ci powiedziałem: jeśli czegoś chcesz, krzyknij tylko.

- Krzyknę - obiecał Roger. - Ale naprawdę mam się wspaniale. Czekam na start.

I czekam, żebyś się wyłączył - pomyślał, znudzony rozmową.

Prezydent zmarszczył czoło. Natychmiast interpretatory Rogera zmieniły obraz: Dash pozostał Świętym Mikołajem, tyle że czarnym jak heban i z olbrzymimi kłami.

- Czy przypadkiem nie jesteś zbyt pewny siebie?

- A niby skąd miałbym to wiedzieć, nawet gdybym był? - spytał rezolutnie Roger. - Wydaje mi się, że nie jestem. Trzeba zapytać tutejszy personel, oni wiedzą o mnie więcej niż ja sam.

Parę zdań później udało mu się zakończyć rozmowę, ze świadomością, że prezydent jest nie usatysfakcjonowany i niejasno zaniepokojony, lecz mało go to obchodziło. Coraz mniej jest tego, co mnie obchodzi - pomyślał Roger. No i był szczery - rzeczywiście z utęsknieniem czekał na start. Będzie mu brakowało Sulie i Klary. W głębi ducha on też odczuwał podskórny niepokój na myśl o niebezpieczeństwie i długości podróży. Lecz podtrzymywało go z kolei na duchu przewidywanie tego, co zastanie, gdy dotrze do celu: spotkanie z planetą, dla której został stworzony. Wziął do ręki gitarę i ponownie zabrał się do Segovii, ale nie wychodziło mu tak dobrze, jakby sobie życzył. Po pewnym czasie zdał sobie sprawę, że dar idealnego stroju muzycznego jest także upośledzeniem: strój gitary Segovii nie był idealny, jego struna A nie drgała dokładnie 440 razy na sekundę, lecz była niższa o parę herców, a jego struna D stosunkowo jeszcze niższa o prawie ćwierć tonu. Wzruszył ramionami, aż nietoperzowe skrzydła zakręciły się jak cepy, i odłożył gitarę.

Przez chwilę siedział, jakby kij połknął, na swoim krzeselku do gry na gitarze, bez poręczy i z prostym oparciem, i zbierał myśli.

Coś go jednak dręczyło. To coś miało na imię Dorka. W grze na gitarze znajdował przyjemność i relaks, ale źródłem tej przyjemności był sen na jawie: roił sobie, że siedzi na pokładzie żaglówki z Dorką i Bradem i niedbale bierze od Brada gitarę i zadziwia ich wszystkich. Jakimś nieodgadnionym sposobem wszystkie drogi w jego życiu wiodły do Dorki. Grą na gitarze miał sprawić przyjemność Dorce. Okropność jego wyglądu polegała na tym, że był on okropny dla Dorki. Tragedia jego kastracji sprowadzała się do zawodu, jaki sprawiłby Dorce. To wszystko niby go już nie bolało, jego obecne spojrzenie na te sprawy byłoby nie do pomyślenia jeszcze parę tygodni temu, ale nadal tkwiły one w jego duszy jak ciernie. Sięgnął do telefonu i zaraz cofnął dłoń.

Nie zadowalał go sam telefon do Dorki. Już się o tym przekonał. Tak naprawdę pragnął się z nią zobaczyć.

Było to oczywiście niemożliwe. Nie pozwalano mu opuścić Instytutu. Szlag by trafił Verna Scanyona. Strażnicy zatrzymają go w drzwiach. Telemetria natychmiast zdradzi jego czynności, elektroniczny nadzór wewnętrzny rejonu zlokalizuje każdy jego krok, wszystkie moce Instytutu sprzysięgną się, żeby go nie wypuścić.

I nie ma najmniejszego sensu prosić o pozwolenie. Nawet Dasha - zakończy się to w najlepszym razie tak, że na polecenie prezydenta dostarczą mu zniewoloną i wściekłą Dorkę do pokoju. Roger nie życzył sobie, żeby Dorka przyszła do niego pod przymusem, z drugiej strony miał

pewność, że jemu nie pozwolą pójść do niej.

Z drugiej strony...

Z drugiej strony - zadumał się - na cholerę mu pozwolenie?

Nieruchomy jak posąg siedział na swym krzeselku z prostym oparciem i dumał tak przez minutę. Następnie delikatnie włożył gitarę do pudła i przystąpił do działania. Przede wszystkim schylił się przy ścianie, wyciągnął z gniazda przypodłogowego wtyczkę i wetknął w nie palec. Miedziany paznokieć nie był gorszy od gwoźdźcia. Bezpieczniki poszły. Światła w pokoju pogasły. Ciche pyr-pyr i szelesty szpul urządzeń rejestrujących zwolniły i umilkły. Pokój pograżył się w ciemnościach. Pozostało jeszcze ciepło, a takie oświetlenie wystarczało dla oczu Rogera. Widział wystarczająco dobrze, żeby powyciągać telemetryczne końcówki ze swego ciała. Znajdował się już za drzwiami, gdy Klara Bly, która w przerwie na kawę dolewała sobie śmietanki, obejrzała się na buczącą tablicę wskaźników.

Z bezpiecznikami wyszło mu lepiej, niż planował: pogasły również światła na korytarzach. W korytarzu byli ludzie, lecz nie widzieli w ciemności. Roger wyminął ich i zbiegł schodami przeciwpożarowymi po cztery stopnie naraz, nim zorientowano się, że go nie ma. Zestroił się z ruchami swego ciała ze swobodą i gracją. Procentowało mu teraz całe baletowe szkolenie Katarzyny Doughty: tanecznym krokiem zbiegł ze schodów, przepiruetował przez drzwi, frunął skokami przez korytarz - strażnik u wejścia nie zdążył nawet podnieść wzroku od swego telewizora, jak Rogera owionął chłód nocy. Był na dworze; mknął autostradą w kierunku śródmieścia Tonki z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Noc jarzyła się rodzajami świateł, jakich nigdy w życiu nie widział. Nad głową miał zbitą warstwę chmur - niskie stratocumulusy pędzone wiatrem z północy i ponad nimi średnie chmury kłębiaste - a mimo to dostrzegał mgliste łuny tam, gdzie przesączało się nieco promieni najjaśniejszych gwiazd. Po obu stronach drogi oklahomska preria lśniła trupa poświatą resztki ciepła pozostałego z dnia, popstrzoną rozlewiskami blasku w miejscach, w których stał dom lub budynek gospodarczy. Samochody wlokły po autostradzie wielkie pióropusze światła, jaskrawe u wylotu rury wydechowej, czerwieniejące i ciemniejące w miarę jak obłoki gorących spalin rozchodziły się w mroźnym powietrzu. Wkroczywszy do samego miasta wypatrywał i omijał rzadkich przechodniów, z których każdy świecił jak zjawa nikłą łuną własnego ciepła. Otaczające go budynki więziły drobne pozostałości ciepła po zmierzchu, ale rozsiewały dodatkowo więcej ze swych własnych systemów ogrzewania i jarzyły się niczym robaczki świętojańskie.

Przystanął na rogu swojej uliczki. Po drugiej stronie, naprzeciwko drzwi do jego domu, stał zaparkowany samochód z dwoma mężczyznami w środku. Sygnały ostrzegawcze zapłonęły mu w, mózgu i samochód zamienił się w czołg z wycelowanym w jego głowę działem. Ci ludzie nie stanowili problemu. Zmienił kierunek i przemknął podwórkami na tyłach domów, pokonując płoty i prześlizgując się przez furtki, zaś pod własnym domem wysunął miedziane pazury do zahaczenia i jakby nigdy nic zaczął piąć się na górę po murze.

To było to, co właśnie chciał zrobić. Nie tylko uniknąć ludzi w samochodzie przed domem, ale rozegrać to jak w baśni: chodziło mu o moment, kiedy wleci przez okno Dorki, zaskakując ją na... na czym?

Zaskoczył ją na oglądaniu kina nocnego w telewizji. Włosy miała sklezione nałożoną farbą; oparta na poduszkach siedziała w łóżku samotnie jedząc lody.

Powolutku otworzył uchylone okno i wśliznął się przez nie; Dorka obróciła głowę w jego stronę.

Krzyknęła.

Nie był to zwyczajny krzyk, był to natychmiastowy atak hysterii. Dorka rzuciła lody i wyskoczyła z łóżka. Telewizor stoczył się i gruchnął o podłogę. Dorka z łkaniem przywarła do przeciwległej ściany, zasłaniając pięściami zaciśnięte z całej siły oczy.

- Przepraszam - powiedział Roger ni w pięć, ni w dziewięć.

Chciał zbliżyć się do niej, ale rozsądek wziął górę. Wyglądała tak bezradnie i pociągająco w swym przezroczystym szlafroczku i z cieniutką przepaską majtek bikini.

- Przepraszam - wykrztusiła, spojrzała na niego, odwróciła wzrok, powlokła się do łazienki i zatrzasnęła za sobą drzwi.

No cóż - pomyślał - nie można jej winić. Wyobrażał sobie doskonale, co za niesamowity widok przedstawiał sobą, włączając tak przez okno znieńca.

- A mówiłaś, że wiesz, jak wyglądam - zawołał.

Z łazienki nie usłyszał żadnej odpowiedzi, dopiero w chwilę później doleciał go plusk wody. Rozejrzał się po pokoju. Był zupełnie taki sam jak zawsze. Szafy tak samo jak zawsze pełne jej i jego ciuchów. Puste miejsce za łóżkami tak samo puste jak zawsze, bez ukrytych kochanków. Nie był z siebie dumny, że przeszukuje mieszkanie jak pierwszy lepszy średniowieczny rogacz, lecz nie spoczął, dopóki nie nabrał pewności, że Dorka jest sama.

Zadzwonił telefon.

Obdarzony błyskawicznymi odruchami Roger porwał słuchawkę widełek, chyba jeszcze zanim rozległo się pierwsze "drrr", tak szybko i z taką gwałtownością, że zostały mu szczątki w dłoni. Ekran wizji rozjarzył się, po czym zgasł, jako że miał obwody sprzężone z fonią.

- Halo? - powiedział Roger. Lecz nie otrzymał odpowiedzi; postarał się o to, żeby już nikt nigdy nie porozmawiał przez ten aparat.

- Jezu! - wyrwało mu się.

Nie bardzo sobie wyobrażał, jak potoczy się to spotkanie, ale było jasne, że zaczęło się źle.

Po wyjściu z łazienki Dorka nie płakała, ale i nie odezwała się do niego. Nie patrząc na Rogera powędrowała do kuchni.

- Zrobię sobie herbaty - powiedziała przez ramię.

- A może ja bym ci zrobił coś mocniejszego? - zaproponował z nadzieją.

- Nie.

Usłyszał odgłosy napełniania elektrycznego czajnika, jego cichutki śpiew poprzedzający zagotowanie się wody oraz kilkakrotne pokasztywanie. Wytężył słuch i złowił oddech swojej żony, już spokojniejszy i równiejszy.

Usiadł w fotelu, który zawsze był jego fotelem, i czekał. Skrzydła mu przeszkadzały. Mimo tego, że automatycznie uniosły się ponad jego głowę, nie mógł się oprzeć. Niezdolny usiedzieć w miejscu, przewędrował do salonu. Przez wahadłowe drzwi dobiegł go głos żony:

- Chcesz herbaty?

- Nie. - Po czym dodał: - Nie, dziękuję.

W gruncie rzeczy miał wielką ochotę na herbatę, nie z żadnej tam potrzeby płynów czy odżywek, lecz z potrzeby poczucia, że uczestniczy w jakimś normalnym, mającym precedens wydarzeniu z Dorką. Nie chciał jednak rozchlapywać i oblewać się na jej oczach, a nie ćwiczył za wiele z filiżankami, spodeczkami i płynami..

- Gdzie jesteś? - Z filiżanką w dłoniach przystanęła pod drzwiami wahadłowymi. Nagle go spostrzegła. - Och. Dlaczego nie zapalisz światła?

- Nie chcę. Kochanie, usiądź i na chwilę przymknij oczy.

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

- Po co?

Ale zrobiła tak, jak prosił, sadowiąc się w fotelu z boku koło sztucznego kominka. Podniósł fotel wraz z nią i przekręcił go tak, że siedziała twarzą do ściany. Rozejrzał się za czymś do siedzenia dla siebie, ale nie zobaczył nic czy też nic, co by odpowiadało jego nowej geometrii - podłogowe poduszki i kanapy, wszystko niewygodne albo dla ciała, albo dla skrzydeł - z drugiej jednak strony wiedział, że właściwie nie potrzebuje siadać. Jego sztuczne mięśnie nie wymagały tego rodzaju relaksu. Toteż stanął za jej plecami.

- Czuję się lepiej, kiedy nie patrzysz na mnie - rzekł.

- Rozumiem to, Roger. Wystraszyłeś mnie i tyle. Szkoda, że wpadłeś przez okno tak znieenacka! Ja z kolei nie powinnam być tak bardzo pewna, że mogę na ciebie patrzeć, to znaczy patrzeć tak jak gdyby nigdy nic... to znaczy bez ataku hysterii.

- Wiem, jak wyglądam - rzekł.

- To jednak nadal jesteś ty, prawda? - powiedziała Dorka do ściany. - Chociaż nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek przedtem wspinał się z ulicy po murze domu, aby wleźć mi do łóżka.

- To żadna sztuka - stwierdził zdobywając się na coś, co było niemal niefrasobliwością.

- No więc... - pociągnęła łyk herbaty - mów. O co tu chodzi?

- Chciałem cię zobaczyć.

- Widziałeś mnie. Przez telefon.

- Chciałem, żeby to nie było przez telefon. Chciałem być z tobą w jednym pokoju.

Chciał nawet więcej, chciał jej dotknąć, chciał sięgnąć dłonią do jej karku i masować, i pieścić, aż się rozluźni, lecz nie starczyło mu śmiałości. Opuścił dłoń i zamiast tego zapalił gazowy płomień w kominku, nie tyle dla ciepła, co dla odrobiny światła, które przyda się Dorce. I żeby było radośniej.

- Mamy tego nie robić, Roger. Grzywna wynosi tysiąc dolarów...

Roześmiał się.

- Nie dla ciebie ani dla mnie, Dorka. Gdyby ktoś ci sprawiał kłopot, zadzwoń do Dasha i powiedz mu, że ja pozwoliłem.

Dora wzięła papierosa z pudełka leżącego na brzegu stolika i zapaliła.

- Roger, kochanie - powiedziała z wolna - ja nie mogę przyzwycząić się do tego wszystkiego. Nie chodzi mi tylko o twój wygląd. To rozumiem. Nie jest mi lekko, ale przynajmniej wiedziałam wcześniej, czego się spodziewać. Nawet jeśli nie myślałam, że to spotka ciebie. Ale nie mogę przyzwycząić się do tego, że jesteś taki... no, nie wiem... ważny.

- Ja też nie mogę się do tego przyzwycząić. - Wrócił pamięcią do reporterów telewizji i wiatujących tłumów, kiedy powrócił na Ziemię po uratowaniu Rosjan. - Teraz jest inaczej. Czuję się tak, jakbym coś dźwigał na plecach, może cały świat.

- Dash mówił, że właśnie dokładnie tak jest. Połowa z tego, co on gada, to pieprzenie, ale akurat nie to. Jesteś naprawdę ważnym człowiekiem, Roger. Zawsze byłeś sławny. Kto wie, czy nie dlatego właśnie za ciebie wyszłam. Ale tamto, to jak być gwiazdą rocka. Podniecające, ale w każdej chwili mogłeś wszystko rzucić, gdyby ci się znudziło. To nie sędzę, abyś mógł rzucić. - Zgniotła niedopałek. - Tak czy owak - powiedziała - jesteś tutaj, a oni pewnie tam w Instytucie wariują.

- Dam sobie radę.

- Tak - rzekła zamyślona. - Pewnie, że dasz. O czym pogadamy?



- O Bradzie - powiedział.

Tego nie zamierzał. Słowo wydobyło się z jego sztucznej krtani, sformowało na jego przestrojonych wargach bez żadnego udziału świadomej myśli. Poczł, jak ona sztywnieje.

- A co tu jest do gadania o Bradzie? - spytała.

- To, że z nim sypiasz, tylko tyle - odrzekł.

Jej kark zapłonął leciutko i Roger wiedział bez zagłądania jej w twarz, że wystąpiła tam zdradzająca wszystko siatka naczyń krwionośnych. Gazowe płomyki tańczyły w kominku kładąc się piękną tęczą barw na jej czarnych włosach i Roger zapatrzył się urzeczony grą kolorów, jak gdyby nie miało znaczenia to, co mówił do swojej żony, ani co ona mówiła do niego.

- Roger - powiedziała - ja doprawdy nie wiem, jak z tobą postępować. Gniewasz się na mnie?

W milczeniu obserwował taniec kolorów.

- Ostatecznie, Roger, przedyskutowaliśmy tę sprawę dawno temu. Ty masz swoje romanse, ja swoje. Zgodziliśmy się, że one nie mają żadnego znaczenia.

- Mają znaczenie, jeśli sprawiają ból. - Wyłączył swoje oczy z radością witając ciemność jako sojusznika myśli. - Tamte były inne.

- Jak to inne? - Teraz była zła.

- Inne, ponieważ je przedyskutowaliśmy - powiedział wykrętnie.

- Jak byłem w Algierii i nie mogłaś wytrzymać klimatu, to inna sprawa. To, co robiłaś powróciwszy do Tonki i co ja robiłem w Algierii, nie krzywdziło żadnego z nas. Jak byłem na orbicie...

- .Nigdy z nikim nie spałam, kiedy byłeś na orbicie!

- Wiem o tym, Dora. Uważałem, że to bardzo ładnie z twojej strony. Naprawdę tak uważałem, bo to nie byłoby uczciwe, prawda? Chodzi mi o to, że moje własne możliwości były dość ograniczone. Zaczny Juli Bronin nie był w moim typie. Ale teraz to co innego. To tak, jakbym znowu znalazł się na orbicie, tylko że teraz jest jeszcze gorzej. Nie mam nawet Juliego! Mało, że nie mam dziewczyny, to nawet gdybym miał, nie mógłbym niczego z nią zdziałać - nie miałbym czym.

- Ja to wszystko wiem - rzekła bezradnie. - Cóż mogę ci powiedzieć?

- Możesz mi powiedzieć, że będziesz dla mnie dobrą żoną! - ryknął.

Wystraszył ją, zapomniał, co może jego głos. Rozplakała się. Wyciągnął rękę, żeby ją pogłaskać, po czym pozwolił opaść ręce. Co to da? O Jezu - pomyślał. - Ale bigos! Jedyłą pociechą znajdował w tym, że rozmowa toczyła się tutaj, w zaciszu ich domowego ogniska, spontanicznie i bez świadków. Byłaby nie do zniesienia w czyjejkolwiek obecności, ale my, rzecz jasna, rejestrowaliśmy każde słowo.

Dwanaście

Dwie Symulacje

I jedna rzeczywistość

Miedzianopalcy Roger wysadził więcej niż jeden bezpiecznik topikowy. Spowodował zwarcie w całej skrzynce bezpieczników automatycznych. Trzeba było dwudziestu minut na przywrócenie światła.

Na szczęście 3070 miał rezerwowe zasilanie pamięci, toteż rdzenie nie uległy skasowaniu. Przeinaczone zostały operacje w toku. Wszystkie trzeba było powtórzyć. Automatyczny nadzór nie działał jeszcze długo po zniknięciu Rogera.

O tym, co zaszło, jako jedna z pierwszych dowiedziała się Sulie Carpenter, która w gabinecie sąsiadującym z pomieszczeniem komputera ucinając sobie krótką drzemkę w oczekiwaniu na zakończenie symulacji Rogera. Nie doczekała się. Obudziły ją dzwonki alarmowe sygnalizujące przerwę w przetwarzaniu informacji. Pogasły rześiste świetlówki i tylko czerwone żarówki pałały nikłą rozpacziwą łuną.

Pierwszą jej myślą była drogocenna symulacja. Spędziła dwadzieścia minut przy programatorach, studiując częściowy wydruk w nadziei, że wszystko będzie w porządku, nim zrezygnowała i popędziła do gabinetu Verna Scanyona. Tu właśnie wtedy dowiedziała się, że Roger nawiał. Wtedy też przywrócono dopływ prądu, który popłynął, kiedy Sulie przeskakując po dwa stopnie naraz zbiegała ze schodów przeciwpożarowych. Scanyon już wydzwaniał zwołując na pilne zebranie tych, których zamierzał obwinie. O Rogerze dowiedziała się Sulie od Klary Bly; w miarę jak ludzie schodzili się do gabinetu, informowano ich na bieżąco jednego po drugim. Z ważniejszych osób brakowało tylko Dona Kaymana, którego zastali przed telewizorem w jego duchownym kolegium. Katarzyna Doughty przybyła na górę z mieszczącego się w podziemiach gabinetu fizykoterapii i przywlokła za sobą Brada; był cały wilgotny i różowutki jak prosiaczek; akurat usiłował godziną sauny zastąpić całonocny sen. Freeling przebywał na Merritt Island, ale nie był specjalnie potrzebny; pół tuzina innych wkroczyło i z przygnębieniem bądź z niepokojem klapnęło na skórzane fotele wokół stołu konferencyjnego. Scanyon zdążył już wysłać w powietrze wojskowy helikopter obserwacyjny na przeszukiwanie całego rejonu wokół Instytutu. Kamery telewizyjne helikoptera omiały autostradę, drogi dojazdowe, parkingi, pola uprawne i prerię, wyświetlając wszystko, co widzą, na ściennym ekranie telewizyjnym w końcu sali. Siły policyjne Tonki zostały postawione w stan pogotowia - miały wypatrywać dziwnej, podobnej do diabła istoty uganiającej się po okolicy z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, która ściągnęła burzę na głowę sierżanta dyżurnego w Tonce. Popęłnił on fatalny błąd. Zapytał funkcjonariusza bezpieczeństwa Instytutu, czy pił. Dziesięć sekund później, mając przed oczami wizję zdzierania zelówek na patrolowaniu Kiski, sierżant zawiadamiał przez policyjną radiostację wszystkie wozy i piesze patrole policyjne. Policja otrzymała rozkaz nie aresztowania Rogera, nawet nie zbliżania się do niego. Mieli go tylko znaleźć. Scanyon, rzecz jasna, chciał mieć kozła ofiarnego.

- Pan za to odpowiada, doktorze Ramez - warknął na głównego . psychoanalityka. - Pan i major Carpenter. Jak mogliście dopuścić do tego, żeby Torrawayowi udało się przeprowadzić tego rodzaju akcje bez żadnego ostrzeżenia?

Ramez rzekł pojednawczo:

- Generale, mówiłem panu, że Roger jest nieźrównoważony na punkcie swojej żony. Dlatego właśnie poprosiłem o kogoś takiego jak Sulie. Dla jego libido potrzebny był inny obiekt, ktoś bezpośrednio związany z programem...

- Ale nic z tego nie wyszło, co?

Sulie przestała słuchać. Wiedziała bardzo dobrze, że jest następna w kolejce, ale czuła, że musi pomyśleć. Patrzyła na filmowany z helikoptera obraz ponad biurkiem Scanyona. Przedstawiony był w formie diagramu: drogi jako linie zieleń, pojazdy - niebieskie punkty, budynki - żółte. Nieliczni piesi - jaskrawoczerwone. Gdyby teraz któraś z tych czerwonych kropek zaczęła się nagle poruszać z prędkością niebieskiego pojazdu, byłby to Roger. Ale Roger miał mnóstwo czasu, żeby dotrzeć znacznie dalej, poza obszar będący w zasięgu helikoptera.

- Niech pan im każe przeszukać miasto, generale - powiedziała nagle.

Generał spojrział spode łba, lecz podniósł słuchawkę i wydał polecenie. Nie dane mu było jej odłożyć - miał na linii połączenie, którego nie mógł nie przyjąć.

Telly Ramez podniósł się z fotela przy dyrektorze i przeszedł naokoło do Sulie Carpenter. Nie podniosła oczu znad poskładanego zapisu symulacji. Czekał cierpliwie.

Do dyrektora dzwonił prezydent Stanów Zjednoczonych. Nawet gdyby nie zobaczyli maleńkiej twarzy Dasha wylaniającej się z ekranu na dyrektorskim biurku, poznaliby to po kroplach potu spływających po skroniach Scanyona. Głos dochodził niewyraźnie.

- ...rozmawiałem z Rogerem i wydawał się... nie wiem, jakby zobojętniały. Przemyslałem to, Vern, i postanowiłem do ciebie zadzwonić. Czy u was wszystko w porządku?

Scanyon przełknął ślinę. Rozejrzał się po twarzach wokół stołu i z nagłą rozłożył płatki osłony dźwiękochłonnej telefonu; obraz skurczył się do rozmiarów zwykłego znaczka pocztowego. Głos rozpląnął się w nicość, ponieważ dźwięk był przekazywany do głośnika parabolicznego, skierowanego prosto na głowę Scanyona, zaś płatkopodobne osłony pochłaniały słowa generała. Mimo wszystko zebrani na sali nie mieli żadnych trudności z nadążeniem za tokiem rozmowy, która niezwykle czytelnie zapisywała się na twarzy Scanyona.

Sulie podniosła wzrok znad transkrypcji na Telly'ego Rameza.

- Przerwijcie mu rozmowę - powiedziała gorączkowo. - Wiem, gdzie jest Roger.

- W mieszkaniu swojej żony - rzekł Ramez.

Potarła znużonym ruchem oczy.

- Chyba nie potrzebowaliśmy do tego symulacji, co? Przepraszam, Telly. Zdaje się, że nie miałam go na haczyku tak mocno, jak mi się wydawało.

\*\*\*

Oboje mieli rację, oczywiście; wiedziałyśmy o tym od pewnego czasu. Jak tylko Scanyon rozłączył się z prezydentem, zadzwonił urząd bezpieczeństwa z informacją, że mikrofony podsłuchowe w sypialni Dorki wychwyciły odgłosy włożenia Rogera przez okno.

Małe, żółtawe oczka Scanyona były bliskie łez.

- Dajcie dźwięk na głośnik - zarządził. - I dom Rogera na ekran.

Po czym przerzucił telefon na linię zewnętrzną i wykręcił numer Dorki. Z głośnika dobiegł dźwięk jednego dzwonka, następnie zgrzyt metalu i bezbarwny cyborgowy głos Rogera wychrypiał:

- Halo?

A w chwilę później, łagodniej, lecz równie bezbarwnie:

- Jezu.

Scanyon oderwał słuchawkę od głowy i potarł ucho.

- Co się, do diabła, stało? - zapytał.

Nie uzyskawszy odpowiedzi na to retoryczne pytanie, odłożył delikatnie słuchawkę.

- Jest jakiś sygnał uszkodzenia - oznajmił.

- Możemy tam posłać na górę człowieka, generale - zaproponował zastępca szefa bezpieczeństwa. - Dwóch naszych ludzi siedzi przed domem w samochodzie.

Na ekranie przesunął się obraz z kamery helikoptera, która ustawiła się po chwili sześćset metrów nad placem Ratuszowym w mieście Tonka. Kamera pracowała na podczerwieni i w górnym rogu ekranu szeroka wstęga Kanału Okrętowego zakreślała skraj miasta. Prostokąt czerni otoczony ruchomymi światełkami samochodów poniżej środka ekranu przedstawiał plac Ratuszowy; przy domu Rogera widniała czerwona gwiazdka znacznika.

Zastępca szefa bezpieczeństwa wyciągnął rękę i dotknął pobliskiej plamki świetlnej, pokazując swój samochód.

- Mamy z nimi łączność telefoniczną, generale - ciągnął. - Nie widzieli, jak wchodził

pułkownik Torraway.

Sulie wstała.

- Odradzam to - rzekła.

- Wasze rady nie cieszą się u mnie w tej chwili popularnością, majorze Carpenter - warknął Scanyon.

- W każdym razie, generale... - umilkła na widok uniesionej dłoni Scanyona.

Z głośnika dobiegł cichutki głos Dorki: "Zrobię sobie herbaty". A potem Rogera: "A może ja bym ci zrobił coś mocniejszego?". I jej prawie niesłyszalne: "Nie".

- W każdym razie - podniosła głos Sulie - on jest teraz zupełnie zrównoważony. Nie spieszymy tego.

- Nie mogę pozwolić, żeby on tam sobie siedział! Kto wie, co on do cholery robi za chwilę? Pani?

- Wie pan, gdzie on jest. Sądzę, że nie ruszy się z miejsca, przynajmniej przez jakiś czas. Don Kayman jest niedaleko stamtąd i jest jego przyjacielem. Niech pan poleci Kaymanowi przywieźć Rogera.

- Kayman nie jest żadnym specjalistą w walce.

- Tego właśnie pan pragnie? Jeżeli Roger nie zechce wrócić po dobroci, to co pan właściwie zamierza zrobić?

"Chcesz herbaty?"

"Nie... Nie, dziękuję".

- I proszę to wyłączyć - dodała Sulie. - Zostawmy biedakowi choć odrobinę intymności.

Scanyon powoli wyciągnął się w fotelu, bębniąc dłońmi w blat biurka, obydwoma jednocześnie, leciuteńko. Nagle podniósł słuchawkę i wydał rozkazy.

- Załatwimy to raz jeszcze po waszemu, majorze - rzekł. - Nie żebym miał do was wielkie zaufanie. Po prostu nie mam też wielkiego wyboru. Nie mogę wam niczym grozić. Jeśli znowu nic z tego nie wyjdzie, wątpię, abym miał jeszcze możliwość karania kogokolwiek. Ale jestem absolutnie pewny, że ktoś to zrobi.

Telesfor o Ramez rzekł:

- Sir, rozumiem pańskie stanowisko, ale wydaje mi się, że to jest niesprawiedliwe wobec Sulie. Symulacja wykazuje, że jemu spotkanie z żoną jest niezbędne.

- W symulacji, doktorze Ramez, chodzi o to, że ma ona wskazywać nam, co się wydarzy, zanim się to wydarzy.

- Tak, ale ona wskazuje również, że Torraway jest w zasadzie całkiem zrównoważony pod każdym względem. Da sobie z tym radę, generale.

Scanyon podjął bębnienie w biurko.

- On ma złożoną osobowość - mówił Ramez. - Widział pan rozkłady jego Testów Apercepcji Podmiotowej, generale. Ma silnie rozwinięte wszystkie popędy pierwotne, sukcesu, przynależności i słabszy, choć zdrowy - władzy. Jego zachowanie nie jest manipulacyjne. Jest introspekcyjne. On musi sobie wszystko przetrwać w głowie. Takich właśnie cech pan sobie życzy, generale. Będą mu wszystkie potrzebne. Nie może pan żądać od niego, żeby był kimś jednym tutaj, w Oklahomie, a kimś innym na Marsie.

- O ile się nie mylę - powiedział generał - właśnie coś takiego mi obiecaliście, z waszą modyfikacją behawioralną.

- Nie, generale - odparł nieporuszony psychiatra. - Obiecałem tylko, że jeśli damy mu nagrodę taką jak Sulie Carpenter, łatwiej zniesie swoje problemy z żoną. I zniósł łatwiej.

- Modbeh rządzi się swoją własną dynamiką, generale - wtrąciła Sulie. - Dość późno mnie wezwano.

- Co wy mi tu wygadujecie? - zapytał groźnie Scanyon. - Że on się załamał na Marsie?

- Mam nadzieję, że nie. Szansę są takie, jakie potrafimy stworzyć, generale. On już się w dużej mierze pozbył starych brudów, co widać w jego ostatnich TAP-ach. Ale za sześć dni od dziś jego już nie będzie i ja też zniknę z jego życia. A to niedobrze. Nie należy nigdy przerywać modbeh jak nożem uciął. Powinno się ją stopniowo wygaszać. Powoli ograniczając moją obecność, żeby dać mu szansę na umocnienie obrony.

Delikatne bębnienie w blat było teraz wolniejsze.

- Trochę późno mi to mówicie.

Sulie wzruszyła ramionami i nic nie odpowiedziała. Scanyon powiódł zamyślonym spojrzeniem dokoła stołu.

- No dobrze. Zrobiliśmy wszystko, na co nas było stać. Zwalniam was do ósmej... nie, umawiamy się na dziewiątą rano. Na tę godzinę oczekuję od każdego z tu obecnych gotowego raportu, nie więcej niż na trzy minuty, o tym, kto za co odpowiada i co mamy robić.

Don Kayman otrzymał wiadomość za pośrednictwem patrolowego wozu policji w Tonce. Ze świstem siadł mu na ogonie migając światłem i wyjąc syreną i zatrzymawszy go nakazał zawracać i jechać do Rogera. Kayman zapukał do drzwi z duszą na ramieniu, nie wiedząc, co zastanie. I kiedy drzwi się otworzyły i wyjrzały zza nich świecące oczy Rogera, Kayman szepcząc pośpiesznie "Zdrowaś Mario" usiłował zapuścić spojrzenie w głąb pokoju za plecami gospodarza, żeby zobaczyć... co? Poćwiartowane ciało Dorki Torraway? Krwawą jatkę? Ale zobaczył jedynie Dorke we własnej osobie, skuloną na fotelu i niewątpliwie zapłakaną. Ten widok niemalże sprawił mu przyjemność, jako że Kayman był przygotowany na coś znacznie gorszego.

Roger zabrał się z nim bez sprzeciwu.

- Żegnaj, Dora - powiedział i nie czekał na odpowiedź.

Miał kłopoty z wpasowaniem się w maleńki samochodzik Dona Kaymana; na szczęście mógł złożyć skrzydła. Odchyliwszy maksymalnie oparcie fotela jakoś sobie poradził, skurczony w karkołomnej pozycji, beznadziejnie niewygodnej dla każdej innej normalnej istoty ludzkiej.

Roger oczywiście nie był normalną istotą ludzką. Jego układ mięśniowy znosił długie przeciążenia w każdej prawie pozycji, da jakiej tylko mógł się nagiąć.

Milczeli obaj niemal do samego Instytutu. Wreszcie Don Kayman odchrząknął.

- Zdenerwowałeś nas.

- Ja myślę - odparł bezbarwny głos cyborga.

Skrzydła drżały mu niespokojnie, muskając jedno drugie, jakby zacierał dłonie.

- Chciałem się z nią zobaczyć, Don. To było dla mnie ważne.

- Rozumiem cię. - Kayman skrzywił na obszerny, pusty parking. - No więc? - sondował. - Wszystko w porządku?

Cyborg obrócił ku niemu swoją maskę. Wielkie, wielosoczewkowe oczy zalśniły jak hebanowe brylanty, bez żadnego wyrazu.

- Jesteś bałwan, wielbny ojcze Kaymanie. Jak może wszystko być w porządku?

Sulie Carpenter marzyła z utęsknieniem o śnie, jak gdyby to był urlop na riwierze francuskiej. W chwili obecnej ani jedno, ani drugie tak samo nie wchodziło w rachubę. Wzięła dwie ampułki amfetaminy i zastrzyk B-12, sama kłując sobie ramię w miejscach, które nauczyła się

znajdować dawno temu.

Symulacja Rogera uległa zniekształceniom z powodu przerwy w dopływie prądu, więc przeprowadziła ją jeszcze raz od początku, od wprowadzenia danych do odczytu. Byliśmy zadowolone. Dało nam to okazję dokonania kilku poprawek.

Czekając na wyniki wzięła długą, gorącą kąpiel w wannie hydroterapeutycznej, a kiedy symulacja dobiegła końca, przestudiowała ją uważnie. Nauczyła się czytywać szyfrowe wersaliki i liczby całkowite, żeby ustrzec się przed błędami programatorów, lecz tym razem nie poświęciła sprzętowi komputerowemu ani chwili i z miejsca przeszła do nie kodowanego odczytu na końcu. Była bardzo dobra w swoim fachu. A tak się składało, że jej fachem nie była praca pielęgniarki. Sulie Carpenter była jednym z pierwszych doktorów płci żeńskiej w dziedzinie medycyny kosmicznej i lotniczej. Uzyskała stopień naukowy z medycyny, specjalizację zrobiła z psychoterapii i całego mrowia pokrewnych eklektycznych dyscyplin, i przeszła do programu kosmicznego, ponieważ nic godnego uwagi nie widziała dla siebie do roboty na Ziemi. Po ukończeniu kursu astronautycznego zaczęła się zastanawiać, czy aby i w przestrzeni kosmicznej jest dla niej coś godnego uwagi. Teoretycznie praca naukowa wydawała jej się czymś takim, więc złożyła podanie o pracę w kalifornijskich zespołach naukowych i została przyjęta.

Przez jej życie przewinęła się dość pokaźna liczba mężczyzn, z których paru się liczyło. Ale żaden się nie sprawdził. Tyle z tego, co mówiła Rogerowi, było prawdą; po najświeższym bolesnym zawodzie zawężyła pole swoich zainteresowań, dopóki - jak sobie powiedziała - nie dorosnie na tyle, by wiedzieć, czego chce od mężczyzny. I tak trwała na bocznym torze, z dala od głównego nurtu ludzkich spraw, aż spośród setek tysięcy kart per Torowanych wybrałyśmy jej kartę, żeby zaspokoić potrzebę Rogera.

Otrzymała polecenie, a wydał je sam prezydent we własnej osobie. W żaden sposób nie mogła nie przyjąć zadania. W rzeczywistości wcale nie pragnęła odmówić. Ucieszyła się z odmiany. Nianczenie cierpiącej istoty ludzkiej ożywiło ośrodki dobrego samopoczucia w jej osobowości; doniosłość zadania była dla niej oczywista, bo jeśli w ogóle w coś wierzyła, to chyba tylko w program marsjański i we własne kwalifikacje. A kwalifikacje miała niesamowite. Ceniłyśmy ją niezwykle wysoko jako starszą figurę w rozgrywanej przez nas grze o przetrwanie naszej rasy.

Kiedy skończyła z symulacją Rogera, prawie dochodziła czwarta rano. Przespała się parę godzin na cudzym łóżku w pokoju pielęgniarek. Później wzięła prysznic, ubrała się i założyła swoje zielone szkła kontaktowe. Była niezadowolona z tego akurat aspektu swej pracy; przemknęło jej to przez głowę w drodze do pokoju Rogera. Farbowane włosy i zmieniony kolor oczu były oszustwem, a ona nie lubiła oszukiwać. Marzyła, że pewnego dnia da sobie spokój z kontaktami i wróci do swoich włosów ciemnoblonde... no, może z użyciem płukanki, nie oszukujmy się, przecież nie miała nic przeciwko sztucznym środkom, nie chciała tylko udawać, że jest kimś innym, niż była naprawdę. Ale do pokoju Rogera wchodziła z uśmiechem.

- Cudownie, że wróciłeś. Stęskniliśmy się za tobą. Jak ci było na swobodzie?
- Wcale nieźle - powiedział bezbarwny głos.

Roger stał pod oknem, wyglądając na róże wiatru, które ganiały się i zbijały w kłębki na parkingu. Obrócił się do niej.

- Wiesz, to wszystko prawda, co mi mówiłaś. To, co mam teraz, jest nie tylko inne, jest lepsze.

Oparła się pokusie wzmocnienia jego wypowiedzi i uśmiechnąwszy się zaczęła zdejmować pościel z łóżka.

- Zamartwiałem się seksem - ciągnął. - Ale wiesz co, Sulie? To tak, jakby mi

powiedziano, że przez najbliższe parę lat nie mogę jeść kawioru. Ja nie lubię kawioru. I gdy się tak dobrze nad tym zastanowić, nie pragnę w tej chwili seksu. Pewnie wdziurkowałeś to do komputera? "Zmniejszyć popęd płciowy, zwiększyć euforię"? Tak czy siak, nareszcie dotarło to do mojego ptasiego mózdzku, że uprawiam czysty masochizm zamartwiając się, jak wytrzymam bez czegoś, czego w gruncie rzeczy nie pragnę. To jest właściwie to, co ja myślę, że inni ludzie myślą, że powinienem pragnąć.

- Przystosowanie się kulturowe - podsunęła.

- Bez wątpienia - rzekł. - Wiesz co, chciałbym coś dla ciebie zrobić.

Ujął gitarę, oparł się o futrynę okienną, kładąc piętę na parapecie, a instrument na kolanie. Skrzydła ułożyły się miękko ponad jego głową, kiedy zaczął grać.

Sulie była zaskoczona. Nie tylko grał, ale i śpiewał. Śpiewał? Nie, te dźwięki przypominały raczej poświstywanie przez zęby, cichuteńkie, ale czyste. Palce trącały i przyciskały struny gitary wygrywając akompaniament, podczas gdy przejmujące pogwizdywanie przeplatało się z melodią utworu, którego nigdy przedtem nie słyszała. Gdy skończył, zapytała:

- Co to jest?

- Jest to sonata Paganiniego na gitarę i skrzypce - odparł z dumą. - Klara dała mi płytę.

- Nie wiedziałam, że potrafisz coś takiego. To znaczy nucić... czy cokolwiek to było.

- Ja też nie, dopóki nie spróbowałem. Nie potrafię tylko oddać dostatecznie głośno partii skrzypiec. I nie umiem dobrać dostatecznie cichego dźwięku z gitary, żeby je zrównoważyć, ale nie brzmiało to najgorzej, prawda?

- Roger - powiedziała zupełnie serio - jestem oczarowana.

Popatrzył na nią i oczarował ją po raz drugi, zdobywając się na uśmiech.

- Założę się, że nie wiedziałaś również, że i to potrafię. Sam też nie wiedziałem, dopóki nie spróbowałem.

Na zebraniu Sulie powiedziała z absolutną pewnością:

- Jest gotów, generale.

Scanyon zaaplikował sobie tyle snu, że wyglądał na wypoczętego, oraz tyle czegoś jeszcze, jakiegoś hartu ducha czy nie wiadomo czego, że wyglądał mniej przybity.

- Jesteście pewni, majorze Carpenter?

Kiwnęła głową.

- Nigdy nie będzie bardziej gotowy.

Zawahala się. Czytając to w jej twarzy, Vern Scanyon czekał na dalszy ciąg.

- Rzecz w tym, że w moim przekonaniu on jest gotowy do wyruszenia natychmiast. Wszystkie jego układy osiągnęły stan apogeum. Przebrnął przez problem żony. Jest gotów. Im dłużej będzie czekał, tym większe ryzyko, że ona wykręci jakiś numer, który wytrąci go z równowagi.

- Bardzo w to wątpię - rzekł Scanyon marszcząc brwi.

- No cóż, ona wie, jakiej by sobie napytała biedy. Ale ja nie chcę ryzykować, chcę go przerzucić.

- To znaczy przewieźć na Merritt Island?

- Nie. Chcę go przestawić na oczekiwanie.

Brad rozlał kawę, którą niósł do ust.

- Nie ma mowy, kochaneczko - zawołał wstrząśnięty nie na żarty. - Ja mam jeszcze siedemdziesiąt dwie godziny na testy jego układów! Jeśli go spowolnisz, nie uzyskam odczytów...

- Testów na co, doktorze Bradley? Na jego sprawność roboczą czy na użytek pańskiej

pracy, jaką zamierza pan o nim pisać?

- No cóż... Jezu, jasne, że zamierzam go opisać. Ale chcę go sprawdzić możliwie najdokładniej, wykorzystać każdą minutę dla jego własnego dobra. I dla dobra programu.

Wzruszyła ramionami.

- Mimo wszystko takie jest moje zalecenie. Tutaj nie ma dla niego nic do roboty, poza czekaniem. Starczy już tego.

- Co będzie, jeśli coś wsiądzie na Marsie? - zapytał Brad.

- Chcieliście poznać moje zdanie. Oto ono.

- Starajcie się - wtrącił Scanyon - żebyśmy wszyscy rozumieli, o czym mówicie.

Zwłaszcza ja.

Sulie popatrzyła na Brada, który rzekł:

- Planowaliśmy to zrobić na czas podróży, jak pan wie, generale. Jesteśmy w stanie przerzucić jego wewnętrzne zegary na zewnętrzną komputerową mediację. Mamy... zaraz... pięć dni i parę godzin do startu; możemy go spowolnić tak, żeby cały ten okres zleciał mu w jakieś trzydzieści minut czasu subiektywnego. Ma to sens, ale ma również sens to, co powiedziałem wcześniej; nie mogę wypuścić go z rąk, dopóki nie przeprowadzę wszystkich zamierzonych testów.

Scanyon nachmurzył się.

- Rozumiem, o co panu chodzi, to słuszny punkt widzenia, lecz i ja mam swój. Co ze sprawą poruszoną przez was poprzedniego dnia, majorze Carpenter? Żeby nie przerywać jego modyfikacji zachowania zbyt gwałtownie.

- On jest w fazie górowania, generale. Gdybym miała go jeszcze przez sześć miesięcy, zgodziłabym się bez słowa. Mając pięć dni - nie; więcej w tym ryzyka niż korzyści. Odkrył w sobie prawdziwe zainteresowanie gitarą - szkoda, że go nie słyszeliście. Umocnił swoje bardzo poprawne strukturalnie reakcje obronne na brak narządów seksualnych. Wykazał nawet inicjatywę, uciekając zeszłej nocy. a to jest krok milowy, generale, gdyż jego postawa była o wiele za bierna, wręcz niezadowolająca, jeśli weźmiemy pod uwagę wymogi tego programu. Powtarzam: przełączmy go natychmiast na oczekiwanie.

- A ja powtarzani, że potrzebuje na niego więcej czasu - wybuchnął Brad. - Być może Sulie ma rację. Ale ja też mam rację i zwrócę się do prezydenta, jeśli zaistnieje taka konieczność!

Scanyon w zamyśleniu popatrzył na Brada, następnie po wszystkich obecnych.

- Macie jakieś uwagi?

Głos zabrał Don Kayman:

- O ile to ma znaczenie, ja zgadzam się z Sulie. Nie jest on uszczęśliwiony sprawą swojej żony, ale też i nie jest roztrzęsiony. To dla niego właściwie najlepszy moment do startu.

- Ano - rzekł Scanyon, znowu bębniąc leciutko po blacie biurka. Spojrzał w przestrzeń i po chwili powiedział: - Jest coś, o czym nikt z was nie wie. Wasza symulacja nie jest jedyną symulacją Rogera, jakiej ostatnio dokonano. - Popatrzył w twarz każdemu z osobna. - O tym zabraniam - podkreślił - rozmawiać z kimkolwiek spoza tego pokoju... Azjaci przeprowadzają własną. Podłączyli się do obwodów naszego 3070 gdzieś pomiędzy naszym a pozostałymi dwoma komputerami i wykradli wszystkie dane, wykorzystując je do przeprowadzenia swojej własnej symulacji.

- Po co? - zapytał Don Kayman, zaledwie o włos wyprzedziwszy pozostałych zebranych.

- To właśnie chciałbym wiedzieć - rzekł Scanyon ponuro. - Nie zakłócają ich. Nie dowiedzielibyśmy się o tym, gdyby nie okresowa kontrola łączy, która wykryła ich podsłuch, a następnie trochę zabawy w stylu płaszcza i szpady w Pekinie, o której nic nie wiem i wiedzieć nie



chcę. Nie zrobili nic, poza odczytaniem wszystkich danych i przygotowaniem własnego programu. Nie mamy pojęcia, co im z tego przyjdzie, ale efekt jest zaskakujący. Zaraz po tym wszystkim wycofali swój protest przeciwko startowi. W samej rzeczy zaproponowali nam wykorzystanie ich marsjańskiego satelity do łączności telemetrycznej w czasie lotu.

- Nie ufałbym im za grosz - rozeźlił się Brad.

- Cóż, nie zamierzamy bezgranicznie polegać na ich latawcach, możecie być pewni. Lecz oto niespodzianka: mówią, że pragną powodzenia wyprawy. No tak - rzekł - to tylko jedna więcej komplikacja, ale wszystko sprowadza się do jednej decyzji w tej chwili, zgadza się? Muszę się zdecydować, czy przestawić, czy nie przestawiać Rogera na oczekiwanie. Dobra. Zgoda. Przyjmuję wasze zalecenie, majorze Carpenter. Powiedzcie Rogerowi, co zamierzamy zrobić, i wytłumaczcie mu wszystko, co tylko z doktorem Ramezem uważacie za stosowne, żeby wiedział dlaczego. Co do ciebie, Brad - podniósł rękę uciszając protest Brada - wiem, co chcesz powiedzieć. Zgadzam się. Potrzebujesz więcej czasu na Rogera. Otóż dostaniesz ten czas. Wysyłam cię na tę wyprawę. - Przynął sobie leżącą na biurku kartkę, wykreślił jakieś nazwisko z listy, wpisał drugie. - Zrezygnuję z jednego pilota, żeby zrobić ci miejsce. Już sprawdziłem. Zabezpieczenie pilotażu i tak jest ogromne, biorąc pod uwagę automatyczne układy sterowania i fakt, że i wy wszyscy macie za sobą jakieś tam kursy pilotażu, tak czy owak. Oto jest ostateczna lista załogi wyprawy na Marsa: Torraway, Kayman, generał Hesburgh jako pilot i - ty.

Brad zaprotestował. W pierwszym odruchu. Jak już oswoił się z decyzją, zaakceptował ją.

To, co Scanyon powiedział, to była prawda, a poza tym Brad natychmiast pojął, że w karierze, jaką sobie założył, nic mu tak nie pomoże jak faktyczne, fizyczne uczestnictwo w samej wyprawie. Żal było zostawiać Dorkę, i wszystkie inne Dorki, ale po powrocie będzie miał tych Dorek na pęczki...

Wypadki następowały po sobie niczym noc po dniu. To była ostatnia decyzja. Cała reszta stanowiła tylko realizację. Na Merritt Island ekipy rozpoczęły tankowanie rakiet nośnych. Po całym Atlantyku rozstawiono na wypadek awarii statki ratownicze. Brad przeleciał się na wyspę do przymiarki w towarzystwie szóstki eksastronautów, którzy za pięć dwunasta mieli mu wbić do głowy całe niezbędne szkolenie startowe. Jednym z nich był Hesburgh, niski, opanowany i uśmiechnięty, swą postawą dodający stale pewności. Don Kayman wziął przepustkę na drogocenne dwanaście godzin, aby pożegnać się ze swoją siostrzyczką.

Byliśmy z tego wszystkiego bardzo zadowolone. Byliśmy zadowolone z decyzji wysłania z nimi Brada. Byliśmy zadowolone z ekstrapolacji trendów, które z dnia na dzień wykazywały coraz korzystniejsze wpływy startu na światową opinię i wydarzenia. Byliśmy zadowolone ze stanu ducha Rogera. A najbardziej z symulacji Rogera przez NLA; w rzeczywistości była ona zasadniczym elementem planów ocalenia, nasze j rasy.

Trzyście

Gdy klamka zapada

Długa podróż orbitą Hohmanna do Marsa trwa siedem miesięcy. Wszyscy poprzedni astronauta, kosmonauci i sinonauci przekonali się, że są one doprawdy bardzo nużące. Każdy dzień miał 86 400 sekund do zapełnienia i nie bardzo było czym je zapełnić.

Roger różnił się od wszystkich innych pod dwoma względami. Po pierwsze, był on najdroższym pasażerem, jakiego do tej pory przewoził jakikolwiek statek kosmiczny. W nim samym i

we wszystkim wokół niego utopiono siedem miliardów dolarów programu Człowieka Plus. Należało go oszczędzać w najwyższym stopniu. Po drugie, jego jednego można było oszczędzać.

Rozłączono zegary jego ciała. Jego poczucie czasu było takie, jakie mu podyktował komputer.

Na początku spowalniali go stopniowo. Ludzie zaczęli sprawiać wrażenie, że poruszają się odrobinę zwawiej. Pora posiłku nadeszła wcześniej, niż oczekiwał. Głosy stały się bardziej piskliwe. Kiedy zaczęło to elegancko działać, zwiększono opóźnienie w jego układach. Głosy przeszły w kakofonię wysokich tonów, po czym znalazły się całkowicie poza jego percepcją. Z ledwością dostrzegał ludzi, a i to jedynie w postaci ruchomych smug. Zamykali jego pokój za dnia, nie po to, żeby uniemożliwić mu ucieczkę, tylko żeby go uchronić przed szybkim przejściem z dnia w noc. Pojawiały się przed nim tace z zimnymi przekąskami, jak na pikniku. Kiedy zabierał się do ich odsuwania na znak, że skończył lub że ich nie chce, tace znikają mu błyskawicznie z pola widzenia.

Roger wiedział, co się z nim dzieje. Nie oponował. Uwierzył zapewnieniom Sulie, że tak jest dobrze, że tak trzeba i tak jest w porządku. Myślał, że będzie mu brakować Sulie, i szukał sposobu, w jaki jej to powiedzieć. Sposób był, ale wszystko odbywało się zbyt szybko; jak gdyby za dotknięciem różdżki czarnoksiężskiej kreda wypisywała przed nim wiadomości na tabliczce. Kiedy odpowiadał, okazywało się, że jego odpowiedzi są porywane i ścierane, nim nabrał całkowitej pewności, że je skończył.

JAK SIĘ CZUJESZ?

Podnosi kredę, pisze jedno słowo.

ŚWIETNIE.

Po czym tablica znika, a następnie wraca z kolejną informacją.

ZABIERAMY CIĘ NA MERRITT ISLAND.

Jego odpowiedź:

JESTEM GOTÓW.

Porwana, zanim zdolał dodać resztę, którą pośpiesznie dogryzmołił na stoliku nocnym:

POZDRÓWCIE ODE MNIE DORKE.

Zamierzał dodać "i Sulie", lecz nie starczyło mu czasu, "bo nagłe stolik zniknął. On sam zniknął z pokoju. Pojawił się przyprawiający o zawrót głowy, chybotliwy ruch. Szybko przemknął mu przed oczami wjazd do Instytutu dla ambulansów i równie szybko mignął mu ulotny obraz pielęgniarki - czy to była Sulie? - odwróconej do niego tyłem i podciągającej sobie rajstopy. Odniósł wrażenie, że całe jego łóżko wzbija się w powietrze, w brutalny ogień promieni zimowego słońca, a potem w... co? Samochód? Nie zdążył nawet zadać sobie tego pytania, to coś oderwało się od ziemi i Roger zdał sobie sprawę, że to helikopter. Poczul, że żołądek podchodzi mu do gardła. Telemetria wiernie to przekazała, zaś regulatory stanęły na wysokości zadania. Nadal zbierało mu się na wymioty, nadal czuł, że rzuca nim jak piłką na wzburzonych, kotłujących się morskich falach, lecz nie wymiotował.

Wtem stop.

Jest poza helikopterem.

Znowu w oślepiającym słońcu.

I w czymś innym... w czym rozpoznał, jak już zaczęło się to poruszać, wewnątrz CB-5 wyposażone jak statek szpitalny. Jak za sprawą czarów owinęły się wokół niego pasy bezpieczeństwa.

Nie było to wygodne - ciągle miał zawroty i łupanie w głowie, chociaż nie tak już nieznośne - za to nie trwało długo. Minutę, a może dwie, jak się Rogerowi wydawało. Po czym

ciśnienie uderzyło mu do nosa - wynoszono go z samolotu, w oślepiający żar i blask - Floryda, rzecz jasna - uświadomił sobie poniewczasie, ale wtedy przebywał już w ambulansie i zaraz potem poza nim...

Następnie przez, jak się wydawało Rogerowi, dziesięć do piętnastu minut, a faktycznie przez większą część dnia nie działo się nic, poza tym, że ułożono go na łóżku i nakarmiono, i usunięto mu wydaliny cewnikiem, a potem objawiła mu się kartka:

POWODZENIA, ROGER, WYRUSZAMY.

Po czym od spodu palnął młot parowy na moment pozbawiając go przytomności. To wszystko bardzo ładnie - pomyślał - że oszczędzacie mi niemiłej nudy, ale kto wie, czy mnie nie zabijacie, żebym się nie nudził. Zanim jednak zdążył się zastanowić, jak to przekazać komukolwiek, został wyłączony.

Czas płynął. Czas snów. Roger miał mętłą świadomość, że trzymają go na środkach odurzających, że go prócz spowolnienia usypiają, i z tą świadomością się obudził.

Nie odczuwał żadnego ciśnienia. .Prawdę mówiąc, szybował. Jedyne pajęczyna pasów zabezpieczających utrzymywała go w miejscu.

Był w przestrzeni kosmicznej.

Jakiś głos powiedział mu do ucha:

- Dzień dobry, Roger. Słuchasz zapisu na taśmie magnetycznej.

Obróciwszy głowę odkrył siatkę małego głośnika przy uchu.

- Zwolniliśmy ją, abyś mógł to zrozumieć. Jeśli chcesz z nami mówić, to po prostu nagraj, co masz do powiedzenia, za chwileczkę. Wówczas przyspieszymy taśmę, żeby to było zrozumiałe dla nas. Czyż technika nie czyni cudów? Tak czy inaczej, nagrywam to w trzydziestym pierwszym dniu. Na wypadek, gdybyś mnie już w ogóle nie pamiętał, nazywam się Don Kayman. Przytrafiło ci się drobne nieszczęście. Twój układ mięśniowy przeciwstawił się przyspieszeniu startowemu i trochę ponaciągałeś sobie wiązadła. Musieliśmy dokonać małej operacji. Goisz się wspaniale. Brad zrekonstruował ci układy cybernetyczne i jak sądzę, będziesz mógł poruszać trójgłowymi, jeśli wylądujemy cało. Zobaczmy. Nie mam nic więcej ważnego do powiedzenia, a pewnie ty masz jakieś pytania, lecz zanim dopuszczę cię do instrumentu, przekażę ci wiadomość osobistą.

I taśma przez chwilę szumiała i szeptała, po czym rozległ się spłaszczony i osłabiony głos Dorki. Wśród zakłóceń atmosferycznych powiedziała:

- Cześć, kochanie. Tu w domu wszystko w porządku i pilnuję dla ciebie domowego ogniska. Myślę o tobie. Uważaj na siebie.

A potem głos Kaymana:

- Teraz twoja kolej. Przede wszystkim, wal od razu na początku, co masz ważnego, jeśli gdzieś cię boli czy coś w tym rodzaju. Tutaj jest duża strata rzeczywistego czasu, więc najpierw mów to, co najważniejsze, a jak skończysz, poczekaj tylko momencik na zmianę taśmy i już możesz przechodzić na pogaduszki. No, zaczynaj.

Taśma umilkła i oznaczające odtwarzanie czerwone światełko przy siatce mikrofonu zgasło, a zapaliło się zielone oznaczające nagrywanie. Ujął mikrofon i właśnie otwierał usta chcąc powiedzieć, że nie, nie ma nic specjalnie ważnego, gdy spojrzawszy przypadkiem w dół zobaczył, że brakuje mu prawej nogi.

Śledziłyśmy, rzecz jasna, każdą sekundą na statku kosmicznym. Już po pierwszym miesiącu linia telekomunikacyjna wyciągnęła się na kształt wątlej nitki pajęczyny. Geometria była bardzo zwichrowana. Podczas kiedy statek kosmiczny podążał ku orbicie marsjańskiej, Mars poruszał się

również. Podobnie Ziemia, i to o wiele szybciej. Zdaży okrążyć Słońce prawie dwukrotnie, zanim Mars skończy jedną ze swoich orbit. Telemetria ze statku kosmicznego potrzebowała teraz około trzech minut, żeby dotrzeć do Goldstone. My byliśmy biernymi słuchaczami. Miało być jeszcze gorzej. Wszelkie polecenia z Ziemi będą miały pół godziny opóźnienia, kiedy statek kosmiczny zacznie krążyć wokół Marsa, pół godziny na drogę tam i z powrotem z szybkością światła. Zrezygnowałyśmy ze sterowania akcją i statek z pasażerami stał się praktycznie samodzielny. Jeszcze później Ziemia i Mars znajdą się po przeciwnych stronach Słońca. Nikłe sygnały ze statku kosmicznego ulegną takiemu zniekształceniu przez interferencję słoneczną, że skończy się nawet ich wiarygodny odbiór. Lecz do tego czasu 3070 będzie już na orbicie, a wkrótce potem dołączy do niego generator MHD. Wówczas starczy nam energii na wszystko. Zaplanowałyśmy do ostatniego szczegółu, gdzie każdy z nich zajmie miejsce, jaką nawiąże łączność z sobą, ze statkiem na orbicie, ze stacją naziemną i z Rogerem, obojętne dokąd zawędruje.

3070 został wystrzelony z odciętym dopływem mocy, w stanie spoczynku. Lot był bezzałogowy. Zagrożenie jonizacyjne okazało się po analizie nie do przyjęcia dla pojazdu kosmicznego normalnej konstrukcji, toteż inżynierowie z Cape zlikwidowali całą regulację składu powietrza, całą telemetrię, uzbrojenie i połowę zdolności manewrowej. Ciężar poszedł w osłony. Po wystrzeleniu 3070 był milczący i martwy i pozostać miał taki przez siedem miesięcy.

Generał Hesburgh miał przejąć potem sterowanie i rozegrać manewr cumowania z obu stron. Rzecz była trudna, ale właśnie za to mu płacono.

Generator MHD wysłałyśmy w przestrzeń miesiąc później z załogą składającą się z pary ochotników i z maksymalnym rozgłosem. Teraz wszyscy się tym interesowali. I nikt nie protestował, nawet NLA. Zignorowali pierwszy start. Potwierdzili swoje obserwacje startu 3070 i ofiarowali własne dane sieci NASA. Kiedy poleciał generator, ich ambasador przesłał uprzejmą notę gratulacyjną.

Najwyraźniej coś się działo.

Nie wszystko jedynie w sferze psychologii. Miasto Nowy Jork miało dwa pełne tygodnie bez zamieszek i z wywożeniem śmieci na niektórych głównych ulicach. Zimowe deszcze wygasiły ostatki wielkich pożarów na północnym zachodzie i gubernatorzy Waszyngtonu, Oregonu, Idaho i Kalifornii wystosowali wspólny apel do ochotników. Ponad sto tysięcy młodzieży zgłosiło się do zalesiania górskich stoków.

Jako ostatni zauważył tę zmianę prezydent Stanów Zjednoczonych, zbyt zajęty wewnętrznymi kłopotami narodu, który nadmiernym przyrostem naturalnym i nadmierną konsumpcją wpędził się w nieszczęścia. Lecz nadszedł czas, gdy i on zdał sobie sprawę ze zmiany, jaka zaszła nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale i na całym świecie, nie tylko w nastrojach, ale i w taktyce. Azjaci wycofali swoje nuklearne okręty podwodne na wody zachodniego Pacyfiku i Oceanu Indyjskiego i kiedy potwierdzono to Dashowi, podniósł słuchawkę i zadzwonił do Verna Scanyona.

- Myślę... - tu urwał i wyciągnął dłoń, żeby poczuć gładkość drewnianego blatu na swoim biurku. - Myślę, że wszystko gra. poklep ode mnie swój personel po ramieniu. Czy może czegoś jeszcze ci potrzeba?

Ale nic mu nie było potrzeba.

My już zgrałyśmy swoją ostatnią kartę. Zaszłyśmy tak daleko, jak zająć mogłyśmy, a reszta była w rękach samych uczestników wyprawy.

Czternaście

Marsjański misjonarz

Don Kayman pozwalał sobie na modlitwę nie częściej niż sześć razy dziennie. Modlił się o różne rzeczy - a to o cierpliwość w znoszeniu odgłosu wydawanego przez Tytusa Hesburgha przy wysysaniu zębów, a to o wybawienie od smrodu zastarzałych bąków, zalegającego wewnątrz statku kosmicznego, ale były trzy stałe prośby, które znajdowały się w każdej modlitwie: o powodzenie wyprawy, o spełnienie się losu Człowieka wedle woli Bożej i, najgorętsza, o zdrowie i pomyślność dla przyjaciela, Rogera Torrawaya.

Roger dostał zaszczytu posiadania prywatnej kabiny do swojej dyspozycji. Niewiele miała ona wspólnego z kabiną, a prywatność polegała jedynie na gumowej kurtynie, cienkiej jak babie lato i lekko prześwitującej, jednak była cała tylko dla niego. Pozostała trójka dzieliła kabinę załogi. Czasami dzielił ją z nimi i Roger, a przynajmniej jego części. Bo ten Roger walał się po całym statku. Don często zaglądał, aby rzucić na niego okiem. Podróż dłużyła się i przykrzyła Kaymanowi. Jego własna specjalność nie miała tu rzecz jasna żadnego zastosowania, dopóki faktycznie nie postawi stopy na powierzchni Marsa, nie wymagała żadnego doskonalenia ani praktyki. Aerologia była nauką statyczną i taką pozostanie, dopóki on sam nie wniesie do niej czegoś po wylądowaniu, na co miał nadzieję. Zatem pozwolił, żeby Tytus Hesburgh zapoznał go z tablicą przyrządów, a trochę później pozwolił, żeby Brad zapoznał go nieco z rozkładaniem cyborga na części. Groteskowy kształt, który z wolna przekręcał się pozując w swym piankowym kokonie, przestał mu być nieznamy. Kayman poznał każdy jego centymetr, na zewnątrz i w środku. Z upływem wlokących się tygodni pozbył się odrazy, jaka powstrzymywała go od wyciągania oka z oczodołu lub otwierania pokrywy wyłożonego plastikiem brzucha. Ale nie tylko to miał do roboty. Miał swoje taśmy z muzyką, której mógł słuchać, miał od czasu do czasu diamikrokartę, którą mógł przeczytać, miał gry, w które mógł grywać. Mieli z Tytusem Hesburghem równe siły w szachach. Rozgrywali nie kończące się turnieje, najlepsze 38 partii z 75, i wykorzystywali swoje przydziały łączności na przesyłanie im drogą radiową tekstów szachowych z Ziemi. Więcej odprężenia znalazłby ojciec Kayman w częstszej modlitwie, lecz po upływie pierwszego tygodnia przyszło mu na myśl, że jak ze wszystkim, tak i z modlitwą można przeciągnąć strunę. Racjonował ją: po przebudzeniu, przed posiłkami, wieczorem i przed zaśnięciem. To było wszystko. Nie wszystko, oczywiście, jeśli liczyć szybkie pokrzepienia Ojczy Naszą czy odmówieniem różańca Jego Świątobliwości. Następnie powracał do nie kończących się napraw Rogera. Zawsze łatwo zbierało mu się na wymioty, ale Roger najwyraźniej niepomny był tego rodzaju zamachów na swoją osobę i nie cierpiał z ich powodu. Stopniowo Kayman zaczął doceniać wewnętrzne piękno anatomii Rogera, zarówno w części będącej dziełem rąk człowieka, jak i Boga, i wznosił dziękczynne modły za jedno i drugie.

Nie potrafił natomiast wznosić modłów dziękczynnych za to, co Bóg pospołu z człowiekiem zrobili z wnętrzem duszy Rogera. Dręczyło go to, że kradnie się jego przyjacielowi siedem miesięcy życia. Litość brała go na myśl, że Roger darzył miłością kobietę, która tę miłość miała za nic.

Ale zważywszy wszystko razem, Kayman był szczęśliwy.

Nigdy dotąd nie uczestniczył w wyprawie marsjańskiej, a przecież tu było jego miejsce. W kosmos latał dwukrotnie, raz wahadłowcem do sztucznego satelity, jeszcze jako absolwent robiący doktorat z planetologii, drugi raz spędził dziewięćdziesiąt dni na Stacji Kosmicznej Betty. Jedno i drugie liczyło się za ledwie jako praktyka przed wyprawą, która uwieńczy jego studia nad Marsem.

Wszystko, co wiedział o Marsie, poznał za pomocą teleskopu, drogą dedukcji albo z cudzych obserwacji. Wiele wiedział na ten temat. Po wielokroć wyświetlał taśmy synoptyczne

wszystkich orbiterów, marinerów i surveyorów. Analizował przywiezione próbki gleby i skał. Przeprowadził wywiady ze wszystkimi Amerykanami, Francuzami i Anglikami, którzy w trakcie swych różnorodnych ekspedycji marsjańskich lądowali na powierzchni planety, jak również z większością Rosjan, Japończyków i Chińczyków.

O Marsie wiedział wszystko. Zawsze wiedział. Jako dziecko wychował się na Marsie Edgara Rice'a Burroughsa, w bajecznym Barsoom brunatnożółtych głębin wyschniętych mórz i śmigających maleńkich księżyców. W miarę dorastania zaczął odróżniać fakty od fikcji. Czteroręcy, zieloni wojownicy i śliczne, czerwonoskóre jajorodne księżniczki marsjańskie nie były prawdziwe w tym sensie, w jakim nauka przystaje do "prawdy". Wiedział jednak, że naukowe oceny prawdy zmieniały się z roku na rok. Burroughs nie wyssał Barsoom z palca. Wziął je niemalże dosłownie z najbardziej miarodajnej "prawdy" naukowej swoich czasów. To istnienie Marsa Percivala Lowella, nie Burroughsa, zostało ostatecznie podważone przez większe teleskopy i sondy kosmiczne. W "prawdzie" opinii naukowej życie na Marsie narodziło się i umarło kilkanaście razy.

Ale nawet ta kwestia nigdy nie została tak naprawdę rozstrzygnięta. Zależała ona od problemu natury filozoficznej. Co to jest "życie"? Czy musi oznaczać istotę na kształt małpy albo dębu? Czy koniecznie musi oznaczać istotę, która rozpuszcza swoje składniki pokarmowe w opartym na wodzie ustroju biologicznym, uczestniczy w oksyredukcyjnym obiegu przemiany energii, rozmnaża się, a tym samym wyrasta ze swego środowiska?

Don Kayman wcale tak nie uważał. Taki zaściankowy pogląd na życie uważał za przejaw buty, a on czuł się marnym prochem w obliczu majestatu swojego wszechmogącego Stwórcy.

W każdym razie sprawa życia spokrewnionego genetycznie z życiem ziemskim była ciągle otwarta. No, powiedzmy uchylona. To prawda, że nie odkryto ani małpy, ani dębu. Ani nawet porostu. Ani chociażby rosnącej komórki. Ani (przyznać musiał z żalem, gdyż Dejah Thoris nie ze wszystkim umarła w jego sercu) takich wstępnych warunków, jak wolny tlen czy woda.

Lecz Don Kayman nie przyjął tego za fakt, że skoro nikt się nie pośliznął na marsjańskim mchu, to jak Mars długi i szeroki nigdzie już się nie można na nim pośliznąć. Niecała setka ludzi postawiła w ogóle stopę na Marsie. Łączny obszar ich badań to raptem kwestia paruset kilometrów kwadratowych. Na Marsie! Gdzie w ogóle nie ma oceanów, więc powierzchnia lądu do zbadania jest większa od Ziemi! To zupełnie tak, jakby ktoś upierał się, że zna Ziemię, po dokonaniu czterech krótkich wypadów: na Saharę, na jakiś szczyt Himalajów, na Antarktydę i na lodową pokrywę Grenlandii...

No, niezupełnie - przyznał w duchu Kayman. To nie było takie całkiem uczciwe. Były przecież niezliczone sondy i satelity, lądowały tu surveyory pobierając próbki gruntu.

Co nie przeszkadza, że argument był logiczny. Zbyt dużo jest tego Marsa. Nikt się nie może upierać, że nie kryje już żadnych tajemnic. Może i woda jeszcze się znajdzie. Niektóre szczeliny mają obiecujący wygląd... Niektóre doliny mają kształty trudne do wytłumaczenia bez przyjęcia hipotezy, że zostały wyżłobione przez strumienie. Nawet jeśli te strumienie są wyschnięte, to mimo wszystko może tam być woda, rozległe oceany, uwięzione pod powierzchnią. Jeśli chodzi o tlen, to stwierdzono, że jest. Średnio w niewielkiej ilości, ale średnie się nie liczą. Lokalnie może go być mnóstwo. A zatem może tam być...

Życie.

Kayman westchnął. Największy żal miał właśnie o to, że nie zdołał wpłynąć na wybór miejsca lądowania, w rejonie, Solis Lacus, jednym ze swoich oczek w głowie, jeśli chodziło o podejrzenie istnienia życia. Decyzja zapadła wbrew niemu. Została podjęta na bardzo wysokim szczeblu - w samej rzeczy to Dash we własnej osobie był tym, kto powiedział:

- Gówno mnie teraz obchodzi, gdzie może być jakieś życie. Chcę wysadzić naszego chłopaka tam, gdzie będzie mu najłatwiej żyć.

No i wybrali miejsce bliżej równika i na półkuli północnej, miejsce, w którym główne regiony nosiły nazwę Isidius Regio i Nepenthes, a rozdzielający je łagodny krater został przez Dona Kaymana po cichu ochrzczony mianem Domowego Ogniska. Również po cichu żałował Kayman straty Solis Lacus z jego okresowo zmieniającym się obliczem (wegetacja roślinna? chyba nie - ale zawsze przyjemnie mieć nadzieję), że świecąca wokół kanałów Ulissesa i Fortuny chmurą w kształcie litery W, która formowała się i przeobrażała każdego popołudnia w czasie jednej długiej koniunkcji, żałował oślepiającego rozbłysku (odbicie promieni słonecznych? wybuch termojądrowy?), jaki Saheki zaobserwował w Tithonius Lacus pierwszego grudnia 1951 roku, tak jasnego jak gwiazda szóstej wielkości. Kto inny będzie badał te rzeczy. Nie on. Ale pomijając takie , żale, Kayman był całkiem zadowolony. Półkula północna to mądry wybór. Pory roku są na niej lepiej rozłożone, ponieważ północna półkula, tak jak to jest z Ziemią, przechodzi swoją zimę, kiedy znajduje się najbliżej Słońca, i dzięki temu pozostaje minimalnie cieplejsza przez okrągły rok. Zima panuje tu o dwadzieścia dni krócej niż lato; odwrotnie jest, oczywiście na południu. I jakkolwiek nikt nigdy nie zaobserwował, żeby Domowe Ognisko zmieniło oblicze bądź ciskało błyskawicami, to faktycznie utożsamiano je ze znaczną liczbą powstałych ostatnio chmur. Kayman nie tracił nadziei, że w tych chmurach jest odrobina wody ze stopniałego lodu, jeśli nie sama woda! Roił sobie popołudniowe, burze z piorunami nad marsjańską równiną, bardziej zaś na jawie rozmyślał o wielkich pokładach limonitu, jakie rozpoznano w sąsiedztwie. Limonit zawiera znaczne ilości związanej wody, która przyda się Rogerowi, nawet jeśli nie wyrosła żadna marsjańska roślina czy zwierzę, żeby z niego korzystać. Ogólnie biorąc, Kayman ze wszystkiego był zadowolony. Ciągle miał nadzieję, że tam jest życie, ale życie inteligentne, ale życie obdarzone duszą czekającą, aż ktoś ją zbawi, i przywiedzie do Boga.

Wszystko, co działo się na statku kosmicznym, było pod nieustannym nadzorem, a synoptyczne transmisje dochodziły do Ziemi regularnie. Tak więc miałyśmy ich na oku. Śledziłyśmy rozgrywki szachowe i sprzeczki. Obserwowałyśmy doszlifowywanie przez Brada czynności organizmu Rogera, zarówno ciała, jak i metalu. Widziałyśmy Tytusa Hesburgha owej nocy, kiedy płakał przez pięć godzin i uśmiechając się przez łzy odtrącał wszelkie próby pocieszenia podejmowane przez Kaymana. Pod pewnymi względami Hesburgh miał najbardziej wszawą rolę na pokładzie: siedem miesięcy lotu w jedną stronę, siedem miesięcy lotu w drugą, a pośrodku trzy miesiące niczego. Pozostanie sam jak palec na orbicie, podczas gdy Kayman, Brad i Roger będą brykać na powierzchni planety. On będzie samotny i znudzony. A będzie z nim jeszcze gorzej. Siedemnaście miesięcy w przestrzeni kosmicznej w praktyce gwarantowało mu, że przez ostatnie parę dziesiątków lat swojego życia będzie cierpiał na setki przeróżnych zaburzeń mięśniowych, kostnych i krążeniowych.

Gimnastykowali się gorliwie, mocując się ze sobą i ze sprężynami, młócąc ramionami powietrze i mordując nogi przysiadami - wszystko mało. Zachodziła nieuchronna resorpcja wapnia z kości i utrata napięcia mięśniowego. Dla tych, którzy mieli lądować, te trzy miesiące na Marsie będą stanowić ogromną różnicę. Przez ten czas wyrównają oni wiele z poniesionego uszczerbku i nabiorą lepszej kondycji do powrotu. Hesburgh nie będzie miał takiej szansy. W jego siedemnastu miesiącach stanu nieważkości nie będzie żadnej przerwy, doświadczenia zaś poprzednich kosmicznych podróży jednoznacznie określały skutki. Oznaczało to skrócenie jego średniej długości życia o dziesięć lat z hakiem. I nikt nie miał lepszego powodu niż on, żeby sobie od czasu do czasu popłakać.

Czas mijał. Miesiąc, dwa miesiące, sześć miesięcy. Za nimi trop w trop wspinająca się w niebiosa kapsuła z 3070, za nią magneto-hydrodynamiczna elektrownia ze swą dwuosobową załogą. Kiedy pozostały dwa tygodnie, uroczyście przestawili nowiutkie chronometry kwarcowe na marsjańska dobę. Od tej pory żyli według czasu marsjańskiego. W praktyce różnica była niewielka - marsjańska doba jest tylko nieco ponad trzydzieści siedem minut dłuższa od ziemskiej - choć istotna dla ich ducha. Na tydzień przed przybyciem rozpoczęli przyspieszanie Rogera.

Te siedem miesięcy wydały się Rogerowi trzydziestoma godzinami czasu subiektywnego. Wystarczyło mu tego czasu w zupełności. Zjadł parę posiłków, odbył kilkadziesiąt seansów łączności z resztą załogi. Otrzymał wiadomości z Ziemi i na kilka z nich odpowiedział. Zażądał swojej gitary, której mu odmówiono na tej podstawie, że gra będzie niemożliwa, mimo to zażądał jej z ciekawości i przekonał się, że tak jest naprawdę: mógł trącać strunę, ale nie mógł słyszeć wydawanego przez nią dźwięku. W istocie oprócz specjalnie zwolnionych taśm nie słyszał nic przez większość czasu, a jeśli już, to jedynie coś w rodzaju wysokiego, zanikającego dźwięku. Powietrze nie przewodziło tego rodzaju drgań, jakie mógł odbierać. Gdyby magnetofon nie stykał się z metalową ramą, do której Roger był przywiązany, nie słyszałby nawet magnetofonu, ani też jego własny głos nie dałby się nagrywać.

Uprzedzili go, że zaczynają mu przyspieszać percepcję. Zostawili odsłoniętą kotarę do jego kabiny i zaczął dostrzegać strzępy poruszeń. Mignął mu przelotnie drzemiący opodał Hesburgh, następnie dojrzał sylwetki poruszające się rzeczywiście, rozpoznając nawet po pewnym, czasie, kto jest kto. Po czym go uspili, żeby ostatecznie wyregulować jego plecakowy komputer, a gdy się obudził, był sam, kotara była zaciągnięta - i usłyszał głosy. Odgarnął kotarę i spojrzał prosto w uśmiechniętą na powitanie twarz kochanka swojej żony.

- Dzień dobry, Roger! Fajnie, że znowu jesteś z nami.

...A w osiemnaście minut później - dwanaście na drogę reszta zaś na dekodowanie i retransmisję - prezydent z odległości ponad stu milionów mil oglądał to wydarzenie na ekranie w Gabinetcie Ovalnym. Nie on jeden zresztą. Sieci telewizyjne wysłały obraz w przestrzeń, a satelity rozesłały go po całym świecie. Oglądali go w Pałacu Dolnym w Pekinie i w murach Kremla, na Downing Street i na Polach Elizejskich, i w Ginzie.

- O kurwa - powiedział historycznie Dash - udało im się. Był z nim Vern Scanyon.

- O kurwa - powtórzył jak echo. Po czym rzekł: - No, prawie się udało. Muszą jeszcze wylądować.

- Są z tym jakieś problemy?

Scanyon ostrożnie:

- O ile wiem, to nie...

- Bóg - rzekł z przekonaniem prezydent - nie może być aż tak niesprawiedliwy. Myślę, że nam obu należy się odrobina bourbona w tej chwili, to już lada moment.

Siedzieli i oglądali przez pół godziny i ćwierć butelki. Przez kilka następnych dni zobaczyli dłuższe fragmenty i oni, i reszta świata. Cały świat patrzył, jak Hesburgh. przeprowadza ostatnią kontrolę i przygotowuje marsjański ładownik do oddzielenia. Przyglądał się, jak Don Kayman odbywa symulowany start pod mikroskopowym okiem pilota, jako że to on miał siedzieć za sterami podczas opuszczania orbity. Przyglądał się, jak Brad przeprowadza końcowy, dwukrotny, sprawdzian telemetrii Rogera, stwierdza, że wszystko chodzi jak w zegarku, po czym robi to jeszcze raz.

Przyglądał się, jak sam Roger we własnej osobie kręci się po kabinie załogi i jak wciska się do ładownika. I widział, jak ładownik oddziela się i jak Hesburgh odprowadza tęsknym



spojrzeniem jego bezskrzydłą gondolę, która zaczyna schodzić z orbity.

Oszacowałyśmy, że lądowanie oglądało trzy i ćwierć miliarda ludzi. Niewiele było do oglądania - jeśli widziało się jedno lądowanie, widziało się wszystkie. Ale to było szczególnie doniosłe.

Rozpoczęło się za kwadrans czwarta rano czasu strefowego Waszyngtonu i prezydent kazał się obudzić, żeby to zobaczyć.

- Książd - powiedział marszcząc brwi - co z niego za pilot? Jeśli coś nawali...

- Został sprawdzony, sir - uspokoił prezydenta jego doradca z NASA. - Tak czy owak, jest on właściwie trzecim pilotem rezerwowym. Zasadnicze sterowanie jest automatyczne i sekwencyjne. Jeśli coś nawali, generał Hesburgh monitoruje wszystko z orbity i może przejąć stery. Ojciec Kayman nie ma nic do roboty, chyba że nawali wszystko naraz.

Dash wzruszył ramionami i doradca zauważył, że prezydent zaciska kciuki.

- Co z tymi nadążającymi statkami? - spytał nie odrywając oczu od ekranu.

- Nie ma sprawy, sir. Komputer wejdzie na orbitę marsjańską za trzydzieści dwa dni, a generator dwadzieścia siedem dni później. Jak tylko ładownik znajdzie się na powierzchni, generał Hesburgh przeprowadzi korektę kursu i zrówna się z księżycem Deimos. Zamierzamy umieścić tam i komputer, i generator, prawdopodobnie w Kraterze Voltaire'a; Hesburgh nam to ustali ostatecznie.

- Uhm - rzekł prezydent. - Czy Rogerowi powiedziano, kto jest w statku kosmicznym z generatorem?

- Nie, sir.

- Uhm. - Prezydent wstał i odszedł od ekranu. Przy oknie, wyglądający na piękny trawnik Białego Domu, czerwcowo bujny i ukwiecony, powiedział:

- Przylatuje do nas pewien człowiek z ośrodka komputerowego w Aleksandrii. Chciałbym, żebyś tu był, jak się zjawi.

- Tak jest, sir.

- Komandor Chiaroso. Rzekomo bardzo dobry. Był profesorem Instytutu Techniki Stanu Massachusetts. Twierdzi, że w naszych komputerowych projekcjach dotyczących tego całego programu jest coś dziwnego. Słyszałeś jakieś pogłoski?

- Nie, sir - powiedział doradca z NASA zaniepokojony. - Dziwnego, sir?

Dash wzruszył ramionami.

- Tego mi tylko trzeba - rzekł - wprawić całą tę kurewską maszynę w ruch po to, żeby się okazało... Ejże! Co się do diabła dzieje?

Obraz na ekranie telewizyjnym skakał i rozmazywał się, zgasł całkowicie, odtworzył się i znowu zniknął, pozostawiając jedynie siatkę tła.

- Wszystko jest w porządku, sir - powiedział prędko doradca. - To trzepotanie przy wejściu w atmosferę. Podczas zderzenia z atmosferą wysiada łączność telewizyjna. A nawet i telemetria, ale wszędzie mamy szerokie marginesy bezpieczeństwa, wszystko będzie dobrze.

- Co to za nowy diabeł? - spytał prezydent. - Myślałem, że cały sęk w tym, że Mars w ogóle nie ma atmosfery?

- Niewiele, sir. Ale trochę ma i ponieważ jest jej mniej, ma ona płytszą, bardziej spłaszczoną studnię grawitacyjną. Górna warstwa atmosfery ma mniej więcej taką samą gęstość jak atmosfera Ziemi na tej samej wysokości, i tam właśnie zachodzi trzepotanie.

- Szlag by to trafił - warknął prezydent - nie lubię niespodzianek! Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

- No tak, sir...

- Nieważne! Później się tym zajmę. Mam nadzieję, że niespodzianka, którą przygotowano dla Torrawaya, nie okaże się błędem... Dobra, nie mówmy o tym. Co się dzieje teraz?

Doradca spojrział nie na ekran, tylko na zegarek.

- Rozwinięcie spadochronu, sir. Wyłączyli już silniki hamujące. Obecnie to tylko kwestia opadania. Za kilka sekund... - doradca wskazał na ekran, który posłusznie odtworzył obraz. - Jest! Są teraz w stadium kontrolowanego wytracania wysokości.

Zasiedli więc i czekali, podczas gdy ładownik ześlizgiwał się w rozrzedzonym powietrzu marsjańskim pod swą olbrzymią czaszą spadochronu stosowanego ,w powietrzu, tylko że pięciokrotnej - wielkości.

Gruchnął z odgłosem, który przewędrował miliony kilometrów, po czym zadźwięczał jak metalowe pojemniki na śmieci staczające się z dachu. Ładownik jednak był odpowiednio do tego zbudowany, a załoga od dawna już tkwiła w swych ochronnych kokonach.

Z ekranu doleciało syczenie i trzaski stygnącego metalu.

A potem głos Brada.

- Jesteśmy na Marsie - rzekł nabożnie, a ojciec Kayman począł szeptać słowa z mszy świętej.

- Laudamus te, benedicimus te, adoramus te, glonjicamus te. Gloria in excelsis Deo, et in terra pax hominibus bonae voluntatis.

I do znajomych słów dodał:

- Et in Mortis.

## Piętnaście

Jak dobra nowina

dotarła z Marsa na Ziemię

Kiedy po raz pierwszy zdałyśmy sobie sprawę z istnienia poważnego niebezpieczeństwa wybuchu jakiejś większej wojny, która zniszczyłaby cywilizację i zostawiła Ziemię nie nadającą się do życia, to znaczy wkrótce po tym, jak w ogóle zaczęłyśmy sobie zdawać wspólnie sprawę z czegokolwiek - postanowiłyśmy podjąć kroki zmierzające do kolonizacji Marsa.

Nie było to dla nas łatwe.

Cała ludzka rasa znajdowała się w opałach. Jak świat długi i szeroki występowały niedobory energii, co powodowało, że sztuczne nawozy były drogie, co powodowało, że ludzie byli głodni, co powodowało grożące wybuchem napięcia. Światowe zasoby ledwo wystarczały na samo tylko utrzymywanie miliardów ludzi przy życiu. Trzeba było znaleźć sposób oddania naszych tak bardzo potrzebnych gdzie indziej zdolności potrzebom długofalowego planu.

Powołałyśmy trzy niezależne trusty mózgow oddając im wszystkie moce, jakie mogłyśmy ukraść z codziennych potrzeb. Jeden poszukiwał dróg wyjścia z rosnących na Ziemi napięć. Drugi otrzymał zadanie szykowania miejsc schronienia na samej Ziemi, żeby nawet w wypadku wojny termojądrowej jakaś mała garstka nas mogła przeżyć. Trzeci szukał możliwości poza Ziemią.

Z początku wydawało się, że mamy ich tysiące do wyboru i że każda z trzech głównych dróg ma obiecujące odgałęzienia. Jedna po drugiej drogi urywały się. Nasze najkorzystniejsze oceny - nie te, które dałyśmy prezydentowi Stanów Zjednoczonych, lecz nasze prywatne, których nikt nie widział prócz nas - określały prawdopodobieństwo wybuchu wojny termojądrowej w najbliższym dziesięcioleciu na zero przecinek dziewięć, zamknęłyśmy więc ośrodek rozwiązywania napięć międzynarodowych już w pierwszym roku.

Poszukiwanie miejsc schronienia było nieco bardziej obiecujące. Okazało się, że analizy, przy najbardziej niekorzystnych założeniach, wyznaczają kilka rejonów Ziemi, które najprawdopodobniej unikną bezpośredniego ataku, jak Antarktyda, fragmenty Sahary, a nawet skrawek Australii i sporo wysp. Wybrano dziesięć miejsc. Prawdopodobieństwo zagłady dla każdego z osobna wynosiło zaledwie zero przecinek jeden lub jeszcze mniej, a dla całej dziesiątki łącznie było stosunkowo nieznaczne. Lecz w szczegółowej analizie wyszły na jaw dwa słabe punkty. Po pierwsze, nie można było mieć pewności, ile izotopu o długotrwałym zaniku promieniotwórczym pozostanie po takiej wojnie w atmosferze, a wszystko przemawiało za nadmiernym poziomem promieniowania jonizującego przez co najmniej tysiąc lat. W takiej skali czasu prawdopodobieństwo przeżycia choćby jednego z uchodźców stawało się daleko mniejsze niż zero przecinek pięć. Na domiar złego wiązało się to z koniecznością inwestycji. Budowa podziemnych schronów i konieczne wyposażenie ich w ogromne ilości skomplikowanej aparatury elektronicznej, generatorów, zapasów paliwa i tak dalej było w praktyce niemożliwe. Nie mogliśmy w żaden sposób zdobyć pieniędzy. Zatem rozwiązałyśmy ów trust mózgów i wszystkie moce, jakimi dysponowałyśmy, zostały skierowane na kolonizację pozaziemską. Początkowo wyglądało to na najmniej obiecujące rozwiązanie ze wszystkich. Mimo to jednak udało nam się tego dopiąć - cudem!

Wylądowanie Rogera Torrawaya zakończyło pierwszy i najtrudniejszy etap. Z chwilą gdy podążające za nim statki dotrą na swoje pozycje, na orbicie czy na powierzchni planety, będziemy mogli po raz pierwszy snuć plany na przyszłość, mając pewność, że nasza rasa nie zginie.

Toteż z ogromną satysfakcją obserwowaliśmy, jak Roger stawia stopę na powierzchni planety.

Jego plecakowy komputer stanowił szczytowe osiągnięcie myśli technicznej. Miał trzy niezależne układy łączone poprzecznie i korzystające z tych samych urządzeń, lecz z redundancją wystarczającą do zapewnienia każdemu z nich niezawodności rzędu zero przecinek dziewięć przynajmniej do chwili, kiedy rezerwowo komputer 3070 wejdzie na orbitę. Jeden układ pośredniczył w percepcji Rogera. Drugi sterował jego podsystemami nerwów i mięśni, które umożliwiały mu chodzenie i ruchy. Trzeci telemetrycznie przekazywał wszystkie jego bodźce wejściowe. Cokolwiek on widział, my widziałyśmy to samo na Ziemi.

Kosztowało nas nieco trudu, żeby to zorganizować. Zgodnie z prawem Shannona na przekazywanie wszystkiego nie starczało szerokości pasma, ale wykorzystaliśmy metodę losową. Przekazywany był w przybliżeniu jeden bit na sto - najpierw do odbiornika radiowego w ładowniku, gdzie na stałe wyznaczyłyśmy jeden kanał do tego celu. Następnie był retransmitowany do statku na orbicie, w którym szybował generał Hesburgh zaopatrzony w ekran telewizyjny - podczas gdy z jego kości ulatniał się wapń. Stamtąd po oczyszczeniu i wzmocnieniu nadawano go z wielokrotnym przyspieszeniem do pierwszego z brzegu synchronicznego satelity Ziemi, jaki w tym momencie łapał zarówno Marsa, jak i Goldstone.

Tak więc w tym wszystkim, co widziałyśmy, zaledwie jeden procent był "prawdziwy". Ale to wystarczało. Resztę wypełniał program porównujący, opracowany przez nas dla odbiornika w Goldstone. Hesburgh widział jedynie szereg statycznych obrazków; na Ziemi nadawałyśmy coś, co się niczym nie różniło od kręconego na miejscu filmu z tego wszystkiego, co widział Roger.

W ten sposób na całej Ziemi, na ekranach telewizyjnych we wszystkich krajach, ludzie oglądali beżowobrazowe szczyty gór wznoszących się na wysokość szesnastu kilometrów, widzieli odbłask marsjańskiego słońca na obramowaniach okien ładownika, a nawet mogli odczytać wyraz twarzy ojca Kaymana, kiedy podniósłszy się z klęczek po raz pierwszy ogarnął spojrzeniem Marsa.

W Pałacu Dolnym w Pekinie wielcy władcy Nowej Ludowej Azji przerwali sesję planowania, żeby popatrzeć na ekran. Patrzyli z mieszanymi uczuciami. To był triumf Ameryki, nie ich.

W Gabinetcie Ovalnym prezydenta Deshatine'a nic nie mąciło radości. Był to nie tylko triumf amerykański, ale i osobisty triumf prezydenta, którego imię na zawsze miało oznaczać tego, kto wprowadził ludzkość na Marsa. Niemal każdy był przynajmniej odrobinę uradowany, nawet Dorka Torraway w prywatnym pokoju na zapleczu sklepu, gdzie siedząc z brodą podpartą dłońmi studiowała przesłanie widoczne w oczach jej męża. No i oczywiście cały personel pozostały w wielkim białym sześcianie Instytutu pod Tonką w Oklahomie oglądał filmy z Marsa prawie na okrągło. Oni mieli na to mnóstwo wolnego czasu. Nie zostało im prawie nic innego do roboty. To było zdumiewające, jak pusty zrobił się ten budynek zaraz po opuszczeniu go przez Rogera. Wszyscy tutaj otrzymali nagrody, od chłopaków z magazynu wzwyż: dla każdego osobista pochwała od prezydenta, plus trzydzieści dni dodatkowego urlopu i awans o jeden stopień. Klara Bly wykorzystwała swój urlop na długo odkładany miesiąc miodowy. Weidner z Freelingiem poświęcili ten czas na napisanie na brudno rozprawy naukowej Brada: każdy jej paragraf, w miarę jak praca schodziła z maszyn, przekazywali mu na orbitę, odbierając jednocześnie poprawki Brada via Goldstone.

Vern Scanyon odbył oczywiście z prezydentem tournée bohatera po pięćdziesięciu czterech stanach i stolicach dwudziestu państw obcych.

Brenda Hartnett pokazała się dwukrotnie na ekranach telewizyjnych razem z dziećmi. Zasypano ich lawiną prezentów. Wdowa po człowieku, który oddał życie, aby Roger Torraway znalazł się na Marsie, była teraz milionerką. Wszyscy oni mieli swoją godzinę chwały, jak tylko rakieta wystartowała i Roger ruszył w drogę, a zwłaszcza w owych momentach tuż przed lądowaniem.

Po czym świat spojrział na Marsa za pośrednictwem oczu Rogera i receptorów naszego brata na jego plecach i cała ta sława prysnęła jak bańka mydlana. Odtąd liczył się już tylko Roger.

Myśmy również patrzyły. Zobaczyłyśmy Brada i Dona Kaymana w skafandrach, jak kończyli przygotowania do opuszczenia statku. Rogerowi skafander nie był potrzebny. Stał w drzwiach ładownika na palcach i zastygł bez ruchu, wdychając woń jałowego powiewu, a rozpostarte za nim wielkie czarne skrzydła pławiły się w promieniach niepokojąco maleńkiego, lecz zarazem niepokojąco błyszczącego Słońca. Za pośrednictwem kamery telewizyjnej wewnątrz ładownika widziałyśmy sylwetkę Rogera rysującą się na tle matowych beżów i brązów krawędzi marsjańskiego horyzontu...

\*\*\*

A następnie za pośrednictwem oczu Rogera ujrzałyśmy to, co on widział. Rogerowi spoglądającemu na jaskrawe, podobne klejnotom barwy planety, na której miał żyć, przypominało to krainę z baśni, piękną i kuszącą.

Wysunięte przez ładownik szkieletowe schodki z magnezu dotknęły powierzchni Marsa, ale Rogerowi nie były one potrzebne. Zeskoczył i z trzepotem skrzydeł - dla równowagi, nie dla utrzymania się w powietrzu - opadł leciutko na pomarańczową kredową skorupę, wymiecioną do czysta podmuchem z dysz hamujących. Chwilę stał w miejscu, mierząc swoje królestwo wielkimi fasetowymi oczami.

- Nie spiesz się tak - odezwał się w jego głowie głos pochodzący z nadajnika w skafandrze Dona Kaymana. - Lepiej przerób zestaw ćwiczeń.

Roger uśmiechnął się szeroko, nie obejrzawszy się za siebie.

- Jasne - rzekł i zaczął się oddalać.

Z początku szedł, potem puścił się truchtem, następnie biegiem. O ile ulicami Tonki pędził, tutaj śmigał jak strzała. Zaśmiał się w głos. Przystawił częstotliwość reakcji swoich oczu i odległe, wyniosłe wzgórza rozjarzyły się jaskrawym błękitem, a płaska równina mozaiką zieleni, żółci i czerwieni.

- Jak tu pięknie! - wyszeptał, zaś odbiorniki w ładowniku przechwyciły bezgłośnie słowa i przekazały je na Ziemię.

- Roger - z rozdrażnieniem powiedział Brad - wolałbym, żebyś się uspokoił, dopóki nie przygotujemy jeepa.

Roger obrócił się. Pozostała dwójka znajdowała się daleko przy schodkach ładownika, za jego otwartym lukiem, zajęta przygotowaniem marsjańskiego pojazdu. Zawrócił do nich w radosnych podskokach.

- Potrzebna wam pomoc?

Nie musieli odpowiadać. Potrzebna im była pomoc: w ich skafandrach zsunięcie taśmy mocującej z plecionki bębnowego koła było poważnym przedsięwzięciem.

- Odsuńcie się - powiedział i szybko uwolniwszy koła rozsunął szcudłowate łapy ustawiając je w pogotowiu. Jeep był wyposażony w jedno i w drugie: w koła na tereny płaskie i w szcudła do wspinaczki. Miał to być najbardziej wszechstronny wehikuł, jaki człowiek stworzył do przenoszenia się z miejsca na miejsce na Marsie, ale nim nie był. Był nim Roger. Po uwinięciu się z robotą obiecał im przez radio:

- Będę się trzymał w zasięgu wzroku.

I już go nie było, już pędził w dal, ku plamom kolorów okalających wzgórza, żywych i porywających jak na obrazach Dalego.

- To niebezpieczne! - burknął Brad do nadajnika. - Zaczekaj, aż skończymy rozruch jeepa! Jeśli cokolwiek ci się stanie, będziemy w tarapatkach.

- Nic się nie stanie - odparł Roger - nie mam zamiaru czekać.

Nie mógł czekać. Używał swego ciała do tego, do czego je stworzono, i jego cierpliwość się skończyła. Biegł. Dawał susy. Zanim się spostrzegł, był już dwa kilometry od ładownika; obejrzał się, zobaczył, że powoli pełzną za nim, i pomknął przed siebie. Jego układ natleniający zwiększył obroty, żeby zaspokoić dodatkowe zapotrzebowanie, mięśnie gładko pokonywały opór. Właściwie to napędzały go nie mięśnie, tylko układy serwomotorów, wbudowane w ich miejsce, kierowały jednak serwomotorami drobne mięśnie przy zakończeniach nerwowych. Opłacił się cały ten trening. Bez najmniejszego wysiłku osiągnął prędkość dwustu kilometrów na godzinę, przesadzając małe szczeliny i kratery, wskakując i zeskakując z większych stoków.

- Wracaj, Roger! - W głosie Dona Kaymana słychać było niepokój.

I cisza, kiedy Roger biegł dalej; nagle odczuł przyprawiający o zawrót głowy ruch w swym widzeniu, po czym inny głos rzekł:

- Zawracaj, Roger! Już czas.

Stał jak wryty, cudem nie wywinął orła, ślizgając się i bijąc skrzydłami niewyczuwalne powietrze dla złapania równowagi.

Znajomy głos zachichotał.

- No chodź, kochanie! Bądźże grzecznym chłopcem i wracaj.

Głos Dorki.

I oto barwy z odległego zawirowania ruchomych piasków zlały się w odpowiednie do głosu kształty Dorki - uśmiechała się, niecałe dziesięć metrów od niego, w szortach, z których

wystawały jej długie nogi, z biustem w efektownym staniku wiązonym na szyi, z włosami rozwianymi na wietrze.

Głos z radia zaśmiał się w jego głowie, tym razem śmiechem Dona Kaymana.

- Zaskoczyliśmy cię, co?

Minęła chwila, zanim Roger odpowiedział.

- Aha - wykrztusił.

- To był pomysł Brada. Nagraliśmy Dorke jeszcze na Ziemi. Kiedy będziesz potrzebował ostrzeżenia, otrzymasz je od Dorki,

- Aha - znowu rzekł Roger.

Uśmiechnięta postać zwiotczała na jego oczach, kolory zbladły i wszystko się rozpląnęło. Obrócił się na pięcie i ruszył z powrotem. Droga powrotna trwała o wiele dłużej od radosnego biegu przed siebie i kolory nie były już takie jaskrawe.

Don Kayman prowadził powolutku jeepa w kierunku maszerującego Rogera Torrawaya, usiłując opanować sztukę takiego siedzenia w rozbrykanym fotelu, żeby go nie rzucało w pasach bezpieczeństwa to do przodu, to do tyłu. W żadnej pozie nie było mu wygodnie. Zrobiony na miarę kombinezon w ciągu długich miesięcy przebywania z dala od Ziemi stał się w jednych miejscach ciasny, w innych luźny czy też - upomniał sam siebie Kayman ucziwie - to on nieco pogrubiał w pewnych miejscach i skurczył się w innych, gdyż - jak przyznawał - niezbyt pilnie przykładął się do swojej gimnastyki. Na dokładkę chciało mu się iść do toalety. W skafandrze znajdowała się instalacja sanitarna. Wiedział, jak z niej korzystać, ale jakoś nie miał ochoty. Na tę dokuczliwość nakładała się zawiść i troska. Zawiść to grzech, z którego może się oczyścić, jak tylko znajdzie kogoś, kto go wypowiada - grzech co najwyżej powszedni - rozważał mając na myśli rzucającą się w oczy wyższość Rogera nad nimi obydwojma. Troska była gorszym grzechem, nie przeciwko jego Bogu, lecz przeciwko powodzeniu misji. Za późno teraz się martwić. Być może popełnili błąd wprowadzając symulację żony Rogera jako sposób na skuteczne wydawanie mu pilnych poleceń - w owym czasie nie wiedział dokładnie, jak skomplikowane są uczucia Rogera do Dorki. Ale teraz było za późno.

Brad nie sprawiał jakoś wrażenia zatroskanego. Chichotał życzliwie z wyczynów Rogera.

- Zauważyłeś? - pytał właśnie. - Ani razu się nie wywalił! Idealna koordynacja.

Wzorcowe zestrojenie bio oraz serwo. Dobra nasza, Don!

- Trochę za wcześnie, żeby coś powiedzieć - rzekł niepewnie Kayman, ale Brad gadał dalej.

Kaymanowi przyszło na myśl, czy nie wyłączyć głosu w hełmie skafandra, ale niemal z równą łatwością mógł wyłączyć swoją uwagę. Rozejrzał się wokoło. Wylądowali przy terminatorze wschodzącego słońca, lecz ponad połowa dnia zeszła im na procedurze opuszczania statku i składania jeepa. Robiło się późne popołudnie. Będą musieli wrócić przed zapadnięciem zmroku - pomyślał. - Roger jest w stanie wędrować przy świetle gwiazd, ale byłoby to ryzykowne dla Brada i dla niego. Może innym razem, jak już nabiorą wprawy... Naprawdę bardzo pragnął przejść się po hebanowej powierzchni barsoomijską nocą, pod lampami gwiazd płonących kolorowymi ogniami na aksamitnie czarnym niebie. Ale nie teraz.

Znajdowali się na olbrzymiej usianej kraterami równinie. W pierwszej chwili niełatwo było połapać się w jej rozmiarach. Patrząc na wszystkie strony przez szybę swojego hełmu, Kayman miał trudności z przypomnieniem sobie, jak daleko od nich leży łańcuch gór. Jego umysł to wiedział, ponieważ znał on na pamięć każdy kwadrat marsjańskiej siatki kartograficznej w promieniu dwustu

kilometrów od miejsca ich wylądowania. Lecz jego zmysły ulegały iluzji w warunkach absolutnie doskonałej widoczności. Góry na zachodzie - zdawał sobie sprawę - były oddalone o sto kilometrów i miały blisko dziesięć kilometrów wysokości. Wyglądały jak pobliskie wzgórza.

Wcisnął sprzęgło i zatrzymał jeepa; znajdowali się o parę metrów od Rogera. Brad wykaraskał się z pasów, zsunął niezgrabnie z fotela i pokolebał ślamazarnym, wolnym krokiem do Rogera, żeby go zbadać.

- Wszystko w porządku? - zapytał z niecierpliwością. - Jasne, że tak, to widać. Jak twoja równowaga? Zamknij oczy, proszę... To znaczy, no wiesz, wyłącz wizję. - Zajrzał niespokojnie w fasetowe półkule. - Zamknąłeś? Wiesz, że nie poznam.

- Zamknąłem - rzekł Roger przez radio w swojej głowie.

- Wspaniale! Żadnego uczucia zawrotu głowy, co? Żadnych trudności z zachowaniem równowagi? Bez otwierania oczu - ciągnął okrążając Rogera i przypatrując mu się ze wszystkich stron - zrób parę wymachów ramion w górę i w dół... świetnie! Teraz krążenie ramion... w przeciwnych kierunkach...

Kayman nie widział jego twarzy, ale słyszał szeroki uśmiech w tonie Brada.

- Pięknie, Roger! Tip-top od początku do końca!

- Gratuluję wam obu - powiedział Kayman przyglądający się temu przedstawieniu już z ziemi. - Roger?

Głowa obróciła się w jego stronę i chociaż nic w wyrazie oczu się nie zmieniło, Kayman wiedział, że Roger na niego patrzy.

- Chcę tylko powiedzieć - brnął niezbyt pewny, dokąd go to zdanie zaprowadzi - że ja... otóż chcę cię przeprosić za to, żeśmy dla kawału wyskoczyli z tym obrazem Dorki, który ma służyć do przekazywania ci wiadomości. Coś mi się wydaje, że robimy ci za dużo niespodzianek.

- Nie ma sprawy, Don.

Kłopot z głosem Rogera - nie pierwszy raz pomyślał Kayman - jest w tym, że niewiele da się poznać po jego tonie.

- Skoro powiedziałem aż tyle - rzekł - powinienem cię chyba uprzedzić, że mamy dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę. Miłą niespodziankę, jak myślę. Sulie Carpenter jest w drodze tu do Tcias. Jej statek powinien przybyć za jakieś pięć tygodni.

Milczenie i twarz bez żadnego wyrazu.

- Ach - rzekł wreszcie Roger - to doskonale. Miła z niej dziewczyna.

- Tak.

Ale rozmowa jakby nie miała się gdzie potoczyć dalej, a poza tym Brad się niecierpliwił, żeby przeprowadzić z Rogerem całą serię skłonów i wyprostów. Kayman skorzystał z przywileju turysty. Oddalił się zapatrzony w stronę odległych gór, mrużąc oczy spojrzął w oślepiające słońce, co nawet przez fotochromatyczną szybę hełmu nie należało do przyjemności, po czym rozejrzał się dokoła. Przyklął niezdarnie i zgarnął garść zwirowatej gleby na rękawicę. Od jutra będzie się musiał wziąć do tej roboty i rozpocząć systematyczne zbieranie próbek, które dostarczy na Ziemię, co było jednym z drugorzędnych zadań wyprawy. Nawet po kilku załogowych lądowaniach i po prawie czterdziestu wyprawach bezzałogowych ciągle istniał nienasycony głód próbek marsjańskiego gruntu w laboratoriach na Ziemi. Jednak w tej chwili pozwalał sobie Kayman śnić na jawie. Ten piasek zawierał mnóstwo limonitu, a kwarcowym kamykom daleko było do okrągłości - ich krawędzie nie były ostre, ale i nie były wyszlifowane do gładkości. Pogrzebał w ziemi. Na wierzchu zalegał żółtawy pył, pod nim jakaś substancja ciemniejsza i bardziej gruboziarnista. Tkwiły w niej błyszczące grudki zupełnie jak ze szkła. Kwarc? - zastanawiał się machinalnie obkopując wokół

jedną z nich.

Skamieniała obejmując dłońmi nieregularną bryłkę kryształu. Miała łodyżkę. Wchodzącą w grunt. Łodyżkę, która rozgałęziała się w ciemne macki o chropowatej powierzchni.

Korzenie.

Don Kayman skoczył na równe nogi, obracając się jak fryga do Rogera i Brada.

- Popatrzcie! - krzyknął trzymając wyrwany obiekt w dłoni. - Na Boga w niebiosach, popatrzcie!

Podnoszący się właśnie z przysiadu Roger obrócił się i skoczył na niego. Jedną dłonią walnął w błyszczący przedmiot, który wirując wystrzelił na pięćdziesiąt metrów w górę wgniatając przy tym metal rękawicy. Kayman poczuł ostry, raptowny ból w przedramieniu i ujrzał drugą dłoń - jak uderza w szybę jego hełmu niczym łapa rozjuszonego niedźwiedzia kadiaka. I to było ostatnie, co widział.

Szesnaście

O postrzeganiu niebezpieczeństwa

Vern Scanyon zaparkował wóz jak popadło w poprzek wymalowanych na żółto pasów wyznaczających zastrzeżone dla niego miejsce, wyskoczył i wbił kciuk w przycisk windy.

Nie spał od niespełna czterdziestu minut, ale w ogóle nie był zaspany. Jeśli już coś, to wściekły i wystraszony.

Z głębokiego snu wyrwał go telefon sekretarza prezydenta z wiadomością, że prezydent zmienił trasę przelotu i zatrzyma się w Tonce, "żeby przedyskutować sprawę systemów percepcyjnych komandora Torrawaya". Dokładniej: żeby dać komuś kopa w dupę. Scanyon nic nie wiedział o niespodziewanym ataku Rogera na Dona Kaymana aż do chwili, kiedy spieszył swoim samochodem do budynku Instytutu na spotkanie z prezydentem.

- Cześć, Vern. - Jon Freeling wyglądał również na wściekłego i wystraszonego.

Scanyon otarłszy się o niego wpadł do gabinetu.

- Wejdz - warknął. - A teraz, krótko i węzłowato. Co się stało?

Freeling rzekł z urazą w głosie:

- Ja nie odpowiadam za...

- Freeling!

- Układy Rogera cokolwiek przeholowały z reakcją. Najwyraźniej Kayman poruszył się gwałtownie i układ symulacyjny przełożył to na zagrożenie, a Roger, w samoobronie, odepchnął Kaymana.

Scanyon gapił się na Freelinga.

- Złamał mu rękę - uzupełnił Jon. - To tylko proste złamanie, generale. Bez żadnych powikłań. Ręka na szynie, zagoi się idealnie, Kayman musi tylko radzić sobie z jedną ręką przez jakiś czas. Szkoda Dona Kaymana, oczywiście. Nie będzie mu za wygodnie...

- Pierdolić Kaymana! Co, on nie wiedział, jak się zachowywać przy Rogerze?

- No nie, dobrze wiedział. Kayman coś znalazł i myślał, że to miejscowe życie! Miał prawo być podniecony. Chciał to jedynie pokazać Rogerowi, nic więcej.

- Życie? - w oczach Scanyona zapaliła się iskierka nadziei.

- Przypuszczają, że to coś w rodzaju rośliny.

- Nie mogą poznać?

- No niezupełnie, Roger zdaje się wytracił to Kaymanowi z ręki. Później Brad tego szukał,



ale nie mógł znaleźć.

- Jezusie - sapnął Scanyon. - Freeling, powiedz mi jedno. Co za baranów wzięliśmy do tej roboty?

Na to pytanie nie było żadnej odpowiedzi, ale też i Scanyon żadnej odpowiedzi nie oczekiwał.

- Za jakieś dwadzieścia minut przez te oto drzwi wkroczy prezydent Stanów Zjednoczonych i będzie chciał wiedzieć od A do Z, co się tam stało i dlaczego. Nie wiem, o co zapyta, ale obojętne, co to będzie, jest jedna odpowiedź, jakiej mu nie chcę dać, to jest "nie wiem". No więc mów mi, Freeling. Mów mi jeszcze raz od początku, co się stało, dlaczego źle się stało, dlaczego nie przewidzieliśmy, że źle się stanie i skąd możemy mieć cholerną pewność, że znowu się nie stanie źle.

Zajęło to nieco więcej niż dwadzieścia minut, ale też mieli czasu dość; samolot prezydenta wylądował z opóźnieniem i zanim Dash, się zjawił, Scanyon był tak przygotowany, jak to on potrafił. Przygotowany nawet na furię prezydenta.

- Scanyon - warknął z miejsca Dash - ostrzegałem cię, żadnych więcej niespodzianek. Tym razem to o ten jeden raz za dużo i myślę, że będę musiał dać ci kopa w tyłek.

- Nie można umieścić człowieka na Marsie bez żadnego ryzyka, panie prezydencie!

Dash przez moment spoglądał mu prosto w oczy.

- Możliwe. W jakim stanie jest ksiądz?

- Ma złamaną kość promieniową, ale wszystko będzie dobrze. Jest coś ważniejszego niż ta ręka. On myśli, że odkrył życie na Marsie, panie prezydencie.

Dash pokręcił głową.

- Wiem, coś w rodzaju rośliny. Ale udało mu się ją zgubić.

- Chwilowo. Kayman jest solidną firmą. Skoro mówi, że znalazł coś ważnego, na pewno znajdzie to jeszcze raz.

- Nie wątpię, Vern. Nie zjeżdżaj z tematu. Dlaczego to się stało?

- Odrobinę nadmierna czułość jego układów percepcyjnych. Ot co, panie prezydencie, i nic innego. Aby reagował szybko i w sposób pożądanym, musieliśmy zaprogramować mu pewne obrazy symulacyjne. Żeby zmusić go do zwrócenia uwagi na informacje najważniejsze ukazuje mu się i przemawia do niego żona. Żeby zmusić go do reagowania na zagrożenie objawia mu się coś przerażającego. W ten sposób jego głowa może nadążyć za odruchami, jakie wprowadziliśmy do jego ciała. Inaczej by zwariował.

- A złamanie księdzu ręki to nie było wariactwo?

- Nie! To był wypadek. Kiedy Kayman na niego wyskoczył, on to zinterpretował jako rzeczywisty atak. Zareagował. Nie powiem, panie prezydencie, w tym przypadku była to pomyłka i kosztowała nas złamanie ręki, ale niechby tak groziło mu prawdziwe niebezpieczeństwo... Obojętne jakiego rodzaju niebezpieczeństwo! On by je odparł. Cokolwiek by to było! On jest niezniszczalny, panie prezydencie. Nic i nigdy go nie zaskoczy.

- Taaa - rzekł prezydent. - Może i tak - dodał po chwili. Przez moment wpatrywał się w coś ponad głową Scanyona.

- Co z tym drugim gównem?

- Jakim gównem, panie prezydencie?

Dash wzruszył ramionami z irytacją.

- Na ile się orientuję, coś nie gra we wszystkich naszych komputerowych prognozach, zwłaszcza w przeprowadzanych przez nas sondażach opinii.

Dzwonki alarmowe zabręczały w głowie Scanyona. Powiedział z ociąganiem:

- Panie prezydencie, na moim biurku leży mnóstwo papierów, których jeszcze nie przerzuciłem. Pan wie, że podróżowałem sporo...

- Scanyon - rzekł prezydent. - Ja już idę. Chcę, żebyś przerzucił te papiery, zanim zabierzesz się do czegokolwiek innego, żebyś znalazł tamten papier i przeczytał go. Jutro rano o godzinie ósmej chcę cię widzieć w moim gabinecie i wówczas chcę się wiedzieć, co się tu dzieje, a szczególnie chcę się dowiedzieć trzech rzeczy. Po pierwsze, chcę usłyszeć, że z Kaymanem jest wszystko w porządku. Po drugie, chcę, żeby to coś żywego zostało odnalezione. Po trzecie, chcę poznać rozwiązanie zagadki komputerowych prognoz i lepiej, żeby one też były w porządku. Do zobaczenia, Scanyon. Wiem, że to dopiero piąta rano, ale nie wracaj do łóżka.

Podówczas mogliśmy upewnić Scanyona i prezydenta co do jednej kwestii. Podniesiony przez Kaymana obiekt był istotnie pewną formą życia. Zrekonstruowałyśmy dane wzorcowe z oczu Rogera, odfiltrowałyśmy symulacje i zobaczyłyśmy to, co on zobaczył. Nie przyszło jeszcze do głowy prezydentowi ani jego doradcom, że można to zrobić, lecz miało przyjść. Drobnych szczegółów nie dało się rozróżnić, gdyż dysponowałyśmy ograniczoną liczbą bitów, ale ów przedmiot miał kształt trochę podobny do karczocha, z grubymi liśćmi skierowanymi w górę, a trochę do grzyba - przykryty był krystalicznym kapeluszem z przezroczystej substancji. Miał korzenie i jeśli wykluczyć jego sztuczną genezę (prawdopodobieństwo zero przecinek zero jeden, co najwyżej), musiała to być jakaś forma życia. Nie widziałyśmy w tym nic szczególnie interesującego, oczywiście poza faktem, że to umocni powszechne zainteresowanie samym programem marsjańskim. Co się tyczy powziętego wobec komputerowych symulacji podejrzenia, ta sprawa interesowała nas o wiele bardziej. Śledziłyśmy ten nowy element od jakiegoś czasu, a ściślej już od chwili, gdy pewien doktorant o nazwisku Byrne napisał dla systemu 360 program sprawdzający poprzedni program sprawdzający swojego minikomputera w celu sprawdzenia pewnych wyników ankiet. Byłyśmy tą sprawą tak samo zaniepokojone jak prezydent. Jednak prawdopodobieństwo jakichś poważnych konsekwencji okazało się niewielkie i w tym przypadku, zwłaszcza że wszystko inne szło dobrze. Generator MHD był niemal gotowy do wprowadzającej na orbitę korekty kursu i wybrałyśmy już miejsce na zainstalowanie go w kraterze o nazwie Voltaire na księżycu Deimos. Niedaleko za generatorem znajdował się statek niosący 3070 i dwuosobową ludzką załogę, w skład której wchodziła Sulie Carpenter. A tamci na samym Marsie zaczęli już wznosić stałe instalacje. Z małym poślizgiem. Wypadek Kaymana spowodował opóźnienie nie tylko przez to, co Roger zrobił z jego ręką, lecz i przez to, co Brad wówczas uparł się zrobić z Rogerem: rozebrał mianowicie na części jego plecakowy komputer i przeprowadził test na przekłamania. Nie było żadnych. Ale zmarnowali dwa marsjańskie dni, żeby się o tym przekonać, a potem, ulegając błaganiom Kaymana, zmarnowali czas na szukanie tej jego formy życia. Znaleźli ją, raczej nie ją, tylko dziesiątki innych okazów tej samej formy, i Brad z Rogerem zostawili Kaymana w ładowniku, żeby je sobie badał, sami zaś zabrali się do wznoszenia kopuł.

Najpierw należało wyszukać kawałek marsjańskiego terenu o odpowiedniej geologii. Powierzchnia miała możliwie najbardziej przypominać glebę, ale nie mogło być za daleko do litej skały pod spodem. Nim coś takiego znaleźli, strawili pół dnia wbijając detonujące kliny w grunt i ślęcząc przy echosondzie.

Następnie z mozołem rozstawili baterie słoneczne i odparowali podskórną wodę związaną w skale. Urządzili owację pierwszemu drobnemu obłoczkowi pary, jaki pojawił się w wylocie rury. Łatwo go było przegapić. Zupełnie sucha marsjańska atmosfera przechwytywała każdą cząsteczką

wilgoci niemal natychmiast po opuszczeniu przez nią rury. Lecz pochyliwszy się nisko nad zaworem można było w końcu uchwycić nikłe, nieregularne zamglenie, powodujące dystorsję kształtów. Tak jest, to była para wodna.

Kolejny etap polegał na rozpostarciu trzech ogromnych płacht błony jednocząsteczkowej - najmniejszej na spodzie i największej na wierzchu - i szczelne spojenie wierzchniej płachty z gruntem na całej długości obwodu. Potem zajechali z pompami pojazdem na kołach bębnowych i wprawili pompy w ruch. Marsjańska atmosfera była niezmiernie rozrzedzona, ale w ogóle była, i to wystarczało, żeby pompy ostatecznie nadmuchały te kopuły częściowo dwutlenkiem węgla i azotem tłoczonymi z atmosfery, częściowo parą wodną, którą wygotowywali ze skały. Nie było co prawda mowy o żadnym tlenie ani w atmosferze, ani w skale, ale nie musieli wyszukiwać tlenu, mieli go wytwarzać dokładnie w ten sam sposób, w jaki Ziemia wytwarza swój - przez fotosyntezę roślin.

Cztery do pięciu dni miało trwać napełnianie zewnętrznej kopuły do założonego ciśnienia jednej czwartej kilograma. Później zabiorą się do napełniania drugiej do prawie kilograma (co zwiększy ciśnienie w kurczącej się pojemności powłoki zewnętrznej do około pół kilograma). Na koniec wypełnią wewnętrzną kopułę do dwóch kilogramów, otrzymując tym samym otoczenie, w którym ludzie mogą żyć bez skafandrów ciśnieniowych, a nawet oddychać, jak tylko uprawa roślin dostarczy im tlenu.

Roger nie potrzebował, oczywiście, nic z tych rzeczy. Nie potrzebował tlenu, nie potrzebował nawet owych płodów rolnych do odżywiania, a jeśli już, to niewiele i starczało mu to na bardzo długi czas. Pewnie mógłby tak żyć bez końca czerpiąc większość energii z niewyczerpalnego światła słonecznego plus to, co będą mu dostarczać mikrofały, jak tylko generator MHD znajdzie się na miejscu. Na potrzeby zaś tej mikroskopijnej pozostałej w nim czysto zwierzęcej cząstki jego organizmu z powodzeniem wystarczą na długi czas zapasy koncentratów żywnościowych ze statku i dopiero potem, pewnie za parę marsjańskich lat, będzie zależny od tego, co wyrośnie z hydroponicznych pojemników i nasion, które kiełkowały już w szczelnych inspektach pod kopułami.

To wszystko zajęło kilka dni, gdyż z Kaymana niewielki był pożytek. Włączenie i wyłączenie ze skafandra ciśnieniowego stanowiło dla niego torturę, toteż zostawiali go najczęściej w ładowniku. Gdy nadeszła pora taszczenia do kopuły pojemników z troskliwie zbieranymi nieczystościami z ich urządzeń toaletowych, Kayman ofiarował im pomocną dłoń.

- Dokładnie jedną dłoń - powiedział ująwszy zdrową ręką magnézowy kij grabi i próbując posługiwać się nimi w ten sposób.

- Świetnie ci idzie - zachęcał go Brad.

W najniższej kopule panowało już takie ciśnienie, że wznosiła się ponad ich głowami, lecz jeszcze nie takie, żeby mogli zdjąć skafandry ciśnieniowe. Co wyszło im na zdrowie - uprzytomnił sobie Brad; dzięki temu nie czuli zapachu tego, co wgrabiali w jałową glebę. Z chwilą podniesienia się kopuły na pełną wysokość ciśnienie doszło do stu milibarów. Tyle wynosi ciśnienie atmosferyczne Ziemi jakieś czternaście kilometrów nad poziomem morza. Nie jest to środowisko, w jakim człowiek może bez pomocy przyrządów żyć i pracować przez długi czas, ale nie umrze w nim, jeśli nic go nie zabije. Połowa tego ciśnienia zabiłaby człowieka na miejscu - temperatura jego ciała wygotowałaby z niego płyny. Jednakże kiedy ciśnienie wewnętrzne doszło do poziomu stu milibarów, całą trójką przeleźli przez trzy kolejne śluzy powietrzne i Brad z Kaymanem uroczyście zdjęli skafandry ciśnieniowe. Założyli maski, mniej więcej takie jak w akwalungu, do oddychania, gdyż wewnątrz kopuły nadal tlenu nie było ani na lekarstwo. Ale mieli tlen w zbiornikach na plecach i wewnątrz tego przeszczepionego kawałka Ziemi o stumetrowej średnicy i wysokości dziesięciopiętrowego budynku czuli się po raz pierwszy niemal tak swobodnie jak Roger.

Tutaj w równych rzędach zaczynały już kiełkować i rosnąć wysiane przez nich nasiona.

Tymczasem...

Pojazd z generatorem magnetohydrodynamicznym osiągnął orbitę marsjańską i przy pomocy generała Hesburgha zgrał ją z orbitą Deimosa i osiadł w jego kraterze. Zespolecie było idealne. Pojazd rozkraczył swoje nogi, opadł nimi na księżycową skałę, wwiercił je w nią i zacisnął. Krótkotrwały strumień z dysz układu manewrującego sprawdził stabilność statku: teraz był on częścią Deimosa. Układ energetyczny rozpoczął sekwencję rozruchu pełnej mocy. Zapłon jądrowy rozniecił płomień plazmy. Radiolokator sięgnął celu na ładowniku, po czym uchwycił kopułę. Popłynęła energia. Gęstość energii pola była dla Brada i Kaymana na tyle słaba, że obaj kręcili się w nim nic o tym nie wiedząc, natomiast Rogerowi przypominało to ciepłą kąpiel w promieniach słonecznych. Paski metalowej folii w zewnętrznej kopule zbierały energię mikrofalową przekazując ją do pomp i baterii. Okres życia paliwa termojądrowego wynosił pięćdziesiąt lat. Przynajmniej na tak długo Roger i jego plecakowy komputer będą mieli na Marsie energię, choćby nie wiadomo co zaszło na Ziemi.

A tymczasem...

Odbywały się inne zespolenia.

Na trasie długiej spirali od Ziemi do Marsa Sulie Carpenter i jej pilot Dinty Meighan mieli wolnego czasu w bród i odkryli, w jaki sposób go wykorzystać.

Akt kopulacji podczas swobodnego spadania przedstawia niejaki problem. Najpierw Sulie musiała się przypiąć jednym z pasów w talii, następnie Dinty wziął ją w ramiona, a ona objęła go nogami. Ich ruchy były spowolnione, jak pod wodą. Sulie przez długie, słodkie, rozmarzone chwile odwlekała swój orgazm, Dinty zaś był jeszcze powolniejszy. Prawie nie zdyszani dobili do moty. Sulie przeciągnęła się z westchnieniem, wygiętym w łuk brzuchem napierając na trzymającą ją pasek.

- Jak dobrze - powiedziała na wpół sennie. - Zapamiętam to sobie.

- Oboje zapamiętamy, kochanie - rzekł Dinty, rozumiejąc ją opacznie. - To była chyba najlepsza pozycja w naszym rypaniu. Następnym razem...

Przerwała mu kręcąc głową.

- Nie będzie następnego razu, drogi Dinty. Ten jest ostatni.

Odchylił głowę w tył, żeby na nią spojrzeć.

- Co?

Uśmiechnęła się. Jej prawe oko ciągle znajdowało się o centymetry od jego lewej źrenicy i widzieli się wzajemnie w dziwnym skrócie perspektywicznym. Wyciągnęła szyję i leciutko potarła policzkiem o jego zarost.

Nachmurzył się i oddzielił od niej, czując się nagle nagi tam, gdzie przed chwileczką był jedynie goły. Wyciągnął swoje zatknięte za poręcz spodni i wśliznął się w nie.

- Co się stało, Sulie?

- Nic się nie stało. Jesteśmy prawie gotowi do wejścia na orbitę, i to wszystko.

Odepchnąwszy się przepłynął tyłem na koniec zagrazonej kabiny, żeby ją lepiej widzieć. Było na co popatrzeć. Jej włosy odzyskały swój kolor ciemnoblonde, oczy stały się piwne, bez szkieł kontaktowych i nawet po prawie dwustu dniach przebywania nie dalej niż w odległości dziesięciu metrów od niego była ciągle piękna w oczach Dinty'ego Meighana.

- Wydawało mi się, że niczym już nie możesz mnie zaskoczyć - nie wierzył własnym

uszmom.

- Z kobietami nigdy nic nie wiadomo.

- Daj spokój, Sulie! Po co to wszystko? Mówisz tak, jakbyś zamierzała... Ejże! - zaświtała mu myśl. - Ty zgłosiłaś się do tego lotu na ochotnika... nie żeby lecieć na Marsa, tylko żeby lecieć do jakiegoś faceta! Prawda? Któregoś z facetów przed nami?

- Jesteś niezwykle szybki, Dinty. Na szczęście - rzekła z czułością - nie w tym, w czym sobie nie życzę, abyś był szybki.

- Który to, Brad? Hesburgh? Chyba nie ksiądz... och, zaraz, zaraz! - Kiwnął głową. - Jasne! Ten, z którym kombinowałaś jeszcze na Ziemi. Cyborg!

- Pułkownik Roger Torraway, człowiek - sprostowała. - Taki sam człowiek jak ty, pominawszy parę usprawnień.

Zaśmiał się bardziej z urazą niż z rozbawieniem.

- Kupa usprawnień i kompletny brak jaj.

Sulie odpięła się.

- Dinty - rzekła słodko - miło mi było kochać się z tobą, szanuję cię i chyba z żadnym innym mężczyzną nie spędziłabym tak przyjemnie tej przekłętej podróży wiekuistej jak z tobą. Ale o pewnych sprawach nie życzę sobie, abyś mówił. - Masz rację. Tak się składa, że akurat w tej właśnie chwili Roger nie ma jąder. Ale jest on człowiekiem, którego potrafię szanować i kochać, a nikogo takiego nie spotkałam ostatnio. Choć wierz mi, że szukałam.

- Dziękuję!

- Och, nie, tylko nie to, drogi Dinty. Wiesz, że w gruncie rzeczy nie jesteś zazdrosny. Masz przecież żonę.

- Żonę mam za rok! To kawał czasu.

Wzruszyła ramionami i wyszczerzyła zęby w uśmiechu,

- Ejże, Sulie! W pewnych sprawach mnie nie oszukasz. Ty się ubóstwiasz pieprzyć!

- Lubię bliskość ciał i stosunek cielesny - sprostowała - i lubię przeżywać orgazm. Ale obie te rzeczy bardziej lubię z kimś, kogo kocham, Dinty. Bez obrazy.

Spojrzał na nią spode łba.

- Długo sobie na nie poczekasz, małeńka.

- Zobaczymy.

- Diabła tam takie gadanie. Ja nie zobaczę Ireny przez siedem miesięcy. Ale ty... wy nie wróćcie nic a nic szybciej ode mnie, a to dopiero będzie początek. Muszą ci go od nowa poskładać. Przyjmując, że im się to uda. Wygląda mi to na długą przerwę w jebaniu.

- Och, Dinty. Myślisz, że ja nie przemyślałam sobie tego wszystkiego? - Pogłaskała go, przechodząc do własnej szafki. - Seks to nie tylko spółkowanie. Członek w pochwie nie jest jedyną drogą do orgazmu. Poza tym seks to coś więcej niż sam orgazm. Że nie wspomnę już o miłości. Roger - ciągnęła wkręcając się w kombinezon nie tyle ze wstydu, co dla licznych kieszeni - jest osobą pełną inwencji i miłości, zresztą ja też. Damy sobie radę, w każdym razie wytrzymamy do wylądowania reszty kolonistów.

- Reszty? - wykrztusił. - Reszty kolonistów?

- Nie domyśliłeś się jeszcze? Ja nie zamierzam z wami wracać, Dinty. I chyba Roger też nie. Zamierzamy zostać Marsjanami!

A tymczasem w Owalnym Gabinetcie w Białym Domu prezydent Stanów Zjednoczonych spotykał się z Vernem Scanyonem i młodym, ciemnoskórym człowiekiem w ciemnych okularach,

zbudowanym jak futbolista.

- A więc to pan - rzekł taksując go spojrzeniem prezydent. - Pan myśli, że my nie potrafimy przeprowadzić analizy komputerowej?

- Nie, panie prezydencie - ze spokojem odparł młody człowiek. - Myślę, że tu nie o to chodzi.

Scanyon odkasznął.

- Obecny tu Byrne - rzekł - pisze pracę doktorską w Instytucie Techniki Stanu Massachusetts. Jej tematem jest teoria statystycznej metody reprezentacyjnej i udostępnił mi część... ee... skatalogowanego materiału. Zwłaszcza badania opinii publicznej dotyczące stosunku do programu.

- Ale nie komputer - zauważył Byrne.

- Nie wielki komputer - skorygował Scanyon. - Miałeś swój własny minikomputer.

- Dalej, Scanyon, do rzeczy - powiedział oględnie prezydent.

- No więc jego wyniki okazały się inne. Według jego interpretacji opinia publiczna miała do całej sprawy kolonizacji Marsa stosunek, no, obojętny. Pamięta pan, panie prezydencie, że w swoim czasie zaistniała kontrowersja co do tych wyników? Wstępne rezultaty wcale nie przedstawiały się zachęcająco. Dopiero jak przepuściliśmy je przez analizy komputerowe, okazały się pozytywne do - jak to się mówi? - do kwadratu. Nigdy nie rozumiałem dlaczego.

- Sprawdziłeś to?

- Oczywiście, panie prezydencie! Nie ja sam - prędko dodał Scanyon. - To nie należało do moich obowiązków. Ale nie mam wątpliwości, że badania zostały zweryfikowane.

Tu wtrącił się Byrne.

- Trzykrotnie, w trzech różnych programach. Były w nich, oczywiście, drobne różnice. Ale wszystko wyglądało rzetelnie i prawdziwie. Tylko że kiedy powtórzyłem je na swoim maluchu, przestało tak wyglądać. I tak to właśnie jest, panie prezydencie. Jeśli przetworzymy dane na którymś z wielkich komputerów w sieci, otrzymamy jeden wynik. Jeśli przetworzymy je na małym, odizolowanym urządzeniu, otrzymujemy co innego.

Prezydent zabębnił palcami w blat biurka.

- Pańskie wnioski?

Byrne wzruszył ramionami. Miał dwadzieścia trzy lata i to otoczenie go onieśmiało. Poszukał spojrzeniem pomocy ze strony Scanyona, ale żadnej pomocy się nie doczekał.

- Będzie pan musiał zapytać o to akurat kogoś innego, panie prezydencie - powiedział. - Ja mogę jedynie podzielić się z panem moimi prywatnymi przypuszczeniami. Ktoś nam rozpieprza naszą sieć komputerową.

Prezydent w zadumie pocierał koniuszek nosa, z wolna kiwając głową. Przez chwilę spoglądał na Byrne'a, po czym nie podnosząc głosu powiedział:

- Chodź tu do nas, Carouso. Panie Byrne, wszystko, co pan widzi i słyszy w tym pokoju, jest ściśle tajne. Po naszym rozstaniu pan Carouso dopilnuje, żeby pan został poinformowany szczegółowo, co to znaczy dla pańskiej osoby. Z grubsza ma pan o tym nie mówić. Nikomu. Nigdy.

Drzwi poczekalni prezydenckiej otworzyły się i wszedł wysoki, masywny mężczyzna o nie rzucającej się w oczy powierzchowności. Byrne wlepił w niego oniemiałe spojrzenie: Charles Carouso, szef CIA!

- I co z tym, Chuck? - zapytał prezydent. - Co z nim?

- Sprawdziliśmy pana Byrne'a, oczywiście - rzekł człowiek Agencji. Jego sformułowania były precyzyjnie i pozbawione wszelkiej modulacji.

- Nie ma przeciwko niemu nic istotnego, przypuszczam, że miło panu dowiedzieć się o tym, panie Byrne. I to, co mówi, sprawdza się. Nie tylko w badaniach opinii publicznej. Prognozy ryzyka wojny, analizy efektywności nakładów opracowane w sieci dają jeden wynik, opracowane na niezależnych maszynach liczących - inny. Zgadzam się z panem Byrne. Nasza sieć komputerowa została rozregulowana.

Prezydent zasznurował usta, jak gdyby powstrzymując to, co się na niego cisnęło. To, co pozwolił sobie powiedzieć, brzmiało:

- Chcę, abyś zbadał, jak do tego doszło, Chuck. Ale powstaje teraz pytanie: kto? Azjaci?

- Nie, sir! Zbadaliśmy to. Rzecz jest niemożliwa.

- Gówno niemożliwa! - ryknął prezydent. - Wiemy, że już raz podłączyli się do naszych linii, przy symulacji Rogera.

- Panie prezydencie, to zupełnie inna sprawa. Tamten przeciek został przez nas wykryty i zlikwidowany. Nastąpił w naziemnym kablu telekomunikacyjnym nietajnych łączy. Kanały telekomunikacyjne naszych głównych komputerów są absolutnie szczelne. - Zerknął na Byrne'a. - Ma pan raport o stosowanych tu metodach, panie prezydencie, i z przyjemnością przejrzę go z panem przy innej okazji.

- Och, proszę się mną nie krępować - powiedział Byrne, po raz pierwszy z uśmiechem. - Wszyscy wiedzą, że łączy są szyfrowane przez wielokrotne mieszanie sygnałów. Skoro mnie sprawdzano, to na pewno odkryto, że wielu z nas, doktorantów, zabawia się szukaniem klucza i że nikomu się to nie udało.

Szef Agencji kiwnął głową.

- Prawdę mówiąc, panie prezydencie, tolerujemy te zabawy, są dobrą próbą ogniową naszego zabezpieczenia. Skoro tacy ludzie jak pan Byrne nie potrafią wykombinować sposobu na obejście blokad, nie wierzę, żeby potrafili to Azjaci. A te blokady są szczelne. Muszą być. One kontrolują obwody wiodące do Komputera Wojennego w Butte, do Urzędu Statystycznego, do UNESCO...

- Chwileczkę! - warknął prezydent. - Mam rozumieć, że nasze urządzenia łączą się i z komputerem UNESCO, używanym przez Azjatów, i z Komputerem Wojennym?

- Nie ma absolutnie żadnej możliwości przecieku.

- Przeciek jest, Carouso!

- Nie do Azjatów, panie prezydencie.

- Dopiero co skończyłeś mi opowiadać, jak to jeden kabel biegnie z naszego urządzenia do Komputera Wojennego, a drugi leci prosto do Azjatów, tranzytem przez UNESCO!

- Mimo to, panie prezydencie, daję głowę, że to nie Azjaci. Czy NLA fałszowałyby wyniki w celu skłonienia nas do kolonizacji Marsa?

Prezydent rozejrzał się po pokoju, bębniąc palcami. W końcu westchnął.

- Chętnie poddam się twojej logice, Chuck. Lecz jeśli to nie Azjaci wykręcili numer z naszymi komputerami, to kto?

Szef Agencji milczał markotnie.

- I - burknął Dash - na litość boską, p o c o?

Siedemnaście

Jeden dzień w życiu Marsjanina

Roger nie widział łagodnego deszczu energii mikrofalowej padającego z Deimosa, lecz

odczuwał ją jako błogie ciepło. Ilekroć przebywał w pobliżu, pławiły się w niej jego skrzydła, nasiąkając mocą jak gąbki. Poza wiązką energii nosił jej zapas przy sobie w akumulatorach. Nie miał już żadnego powodu oszczędzać swej energii. Lało się jej z nieba dowolnie dużo za każdym razem, jak tylko Deimos wznosił się nad horyzontem. W ciągu doby jedynie przez parę godzin nie było ani słońca, ani dalszego z księżyców na niebie, a pojemność jego akumulatorów po wielekroć wystarczała na te krótkie okresy posuchy.

Anteny z metalowej folii wykradały, oczywiście, energie spod kopuły, nim zdążyła do niego dotrzeć, toteż ograniczał swój pobyt w towarzystwie Brada i Kaymana. Nie przeszkadzało mu to. A nawet był zadowolony. Z każdym dniem powiększała się przepaść między nimi, tak czy owak. Oni wracali na swoją planetę. Roger zostawał na swojej. Jeszcze im tego nie powiedział, ale podjął już decyzję. Ziemia zaczynała mu się jawić jako dość przyjemne i interesujące, ale obce miejsce, które kiedyś odwiedził i nie za bardzo polubił. Cierpienia i niebezpieczeństwa ziemskiej ludzkości też były mu obce. Nawet jeśli były to jego własne przeżywane kiedyś cierpienia i jego własne lęki.

Pod kopułą Brad w samych slipach i z dodatkowym pojemnikiem tlenu na plecach beztrudno sadził flance marchewki pomiędzy zagonami syberyjskiego owsa.

- Masz ochotę mi pomóc, Róg?

W tej rzadkiej atmosferze miał głos piskliwy i wysoki: czerpał często tlen ze zwisającego mu pod brodą ustnika i wówczas przy wydechu jego głos stawał się odrobinę niższy, choć nadal był dziwaczny.

- Nie, Don chce, żebym mu nazbierał jeszcze trochę okazów. Nie będzie mnie przez całą noc.

- W porządku.

Brada bardziej interesowały jego flance niż Torraway, a Torrawaya nie interesował już Brad. Czasami Roger przypominał sobie, że ten mężczyzna jest kochankiem jego żony, lecz aby się tym przejąć, musiałby sobie również przypomnieć, że ma żonę. Wydawało mu się to niewarte zachodu. Bardziej interesowała go próba sił z wysokościenną doliną za pasmem wzgórz i prywatne poletko uprawne. Już od tygodni znosił okazy marsjańskiego życia przed oblicze Dona Kaymana. Nie występowały w obfitości - jedna kępka dwóch lub trzech sztuk w promieniu setek metrów. Lecz nie były trudne do znalezienia - nie dla niego. Wystarczyło mu nauczyć się rozpoznawać ich szczególną barwę - te długości fal przenikliwego nadfioletu, które krystalicznymi kapeluszami odbijały od siebie, żeby przeżyć w warunkach silnego promieniowania - reszta była już tylko sprawą odfiltrowania z widma optycznego wszystkich pasm z wyjątkiem owej długości fal w kolorze i wówczas rzucały mu się w oczy z odległości kilometra.

Tak więc przytaszczył ich kilkanaście, a następnie jeszcze ze sto: wyglądało na to, że występują w czterech różnych odmianach, i wkrótce Kayman kazał mu przestać. Miał tyle okazów, ile potrzebował do badań, i dodatkowo z pół tuzina każdej odmiany w formalinie do zabrania na Ziemię, zaś jego łagodny, opiekuńczy duch niepokoił się naruszaniem ekologii Marsa. Roger zaczął przesadzać niektóre z nich w pobliże kopuły. Wmawiał sobie, że chodzi tu o sprawdzenie, czy zalew energii, która z promieniowaniem generatora spływa w dół, zaszkodzi w jakiś sposób rodzimym formom życia. Jednak tak naprawdę chodziło mu, jak wiedział w głębi serca, o ogródek. To była jego planeta i upiększał ją dla siebie.

Wyszedł spod kopuły, chwilę zmarudził przeciągając się rozkosznie w podwójnym ciepłe słońca i mikrofal, sprawdził swoje baterie. Należało je doładować, więc zręcznie podłączył elektrody baterii plecakowych do cichutko mruczącego akumulatora u podnóża kopuły i nie patrząc w stronę ładownika powiedział:



- Lecę już, Don.

Głos Kaymana natychmiast odpowiedział mu przez radio:

- Nie trać kontaktu na dłużej niż dwie godziny, Roger. Nie uśmiecha mi się przymusowa wyprawa na poszukiwanie ciebie.

- Za dużo się martwisz - rzekł Roger odłączając elektrody i chowając je na miejsce.

- Jesteś tylko nadczołowiekiem - burknął Kayman. - Nie jesteś Bogiem. Możesz się przewrócić, złamać sobie coś...

- Nie przewrócę się, Brad, prawda? Do zobaczenia.

We wnętrzu potrójnej kopuły Brad podniósł wzrok ponad wysokie po pachy kłosa pszenicy i pomachał ręką. Nie można było odróżnić jego rysów przez błoniaste czasze: plastikowi nadano strukturę odcinającą jak najwięcej nadfioletu, przez co zamazywał również część fal widzialnej długości. Lecz Roger widział, jak Brad mu pomachał.

- Uważaj na siebie. Odezwij się do nas, zanim znikniesz z linii widzenia, abyśmy wiedzieli, kiedy mamy zaczynać się niepokoić.

- Dobrze, mamó.

Dziwna rzecz - pomyślał Roger. Czuł, że na dobrą sprawę lubi teraz Brada. Sytuacja interesowała go jako problem abstrakcyjny. Czyżby dlatego, że jest teraz wałachem? W jego organizmie krążył testosteron, co zawdzięczał przeszczepowi steroidowemu. W snach miewał przeżycia seksualne, czasami nawet z Dorką, ale pusta rozpacz i gniew, z jakimi żył na Ziemi, rozplynęły się na Marsie.

Był już prawie kilometr od kopuły i nadal lekko biegł przed siebie w ciepłych promieniach słońca, za każdym krokiem trafiając precyzyjnie stopą na pewne oparcie i przy każdym odbiciu frunąc na równą odległość w górę i w dal. Widzenie miał ustawione na obserwację małej mocy, obejmując wszystko w ruchomym polu o kształcie łzy, której pięćdziesięciometrowa cięciwa łuku znajdowała się ponad sto metrów przed nim. Nie żeby był nieświadom reszty krajobrazu. Gdyby pojawiło się coś niezwykłego - nade wszystko gdyby się coś poruszyło - zobaczyłby to w tej samej chwili. Ale w ten sposób nic nie rozpraszało jego rojeń.

Usiłował sobie przypomnieć, jak to było podczas posiadania Dorki. Bez trudu odtwarzał obiektywne, fizyczne parametry. Z większym trudem wczuwał się w to, czego doznawał z nią w łóżku, jakby usiłował odtworzyć sobie zmysłową rozkosz smaku mlecznej czekolady, kiedy miał jedenaście lat, czy swego pierwszego haju po marihuanie, kiedy miał lat piętnaście.

Łatwiej było mu czuć coś do Sulie Carpenter, chociaż jak sięgał pamięcią, nigdy nie dotknął jej w żadnym miejscu poza końcami palców, a i to przypadkiem (ona, oczywiście, dotykała go wszędzie). Rozmyślał od czasu do czasu nad przybyciem Sulie na Marsa. Z początku odebrał to jako zagrożenie. Potem jako coś interesującego, odmianę, której się wyczekuje. Teraz - uświadomił sobie Roger - teraz chciał, żeby to nastąpiło już zaraz, nie za cztery dni. po zakończeniu przez jej pilota bezpośredniej kontroli 3070 i generatora MHD, jak to było przewidziane. Już zaraz. Wymienili parę zdawkowych pozdrowień przez radio. Pragnął mieć ją o wiele bliżej. Pragnął jej dotknąć.

Uformował się przed nim obraz jego żony, odzianej w ten sam opatrzony już kostium kąpielowy.

- Lepiej zamelduj się, kochanie - powiedziała.

Roger przystanął i rozejrzał się dokoła, z pełną mocą widzenia w normalnym ziemskim widmie. Znajdował się prawie w pół drogi do łańcucha gór, dobre dziesięć kilometrów od kopuły i ładownika. Zapuszczał się we wzgórze i płaski dotąd teren zaczynał falować - ledwo dostrzegał szczyt kopuły, a wierzchołek anteny ładownika rysował się za nią jak koniec igły. Bez udziału jego

woli skrzydła same rozpostarły mu się za plecami dla lepszego ukierunkowania sygnału radiowego, tak jak krzyżący człowiek zwinąłby dłonie w trąbkę przy ustach.

- Wszystko gra - powiedział Roger, a głos Kaymana odpowiedział w jego głowie:
- To świetnie, Roger. Za trzy godziny zapadnie zmrok.
- Wiem.

A po zapadnięciu zmroku temperatura spadnie na łeb na szyję: za sześć godzin od teraz może dojść do stu pięćdziesięciu stopni poniżej zera. Ale Roger wędrował już w ciemności i wszystkie jego układy spisywały się na medal.

- Zgłoszę się ponownie, jak będę dostatecznie wysoko na stoku, żeby was złapać - obiecał i obróciwszy się ruszył w kierunku gór.

Zamgliło się jakby bardziej. Dopuszczał do siebie sygnały receptorów skóry i zdał sobie sprawę, że wiatr przybiera na sile. Burza piaskowa? Z burzą też się już spotkał. Jak będzie ostro, to zwinie się gdzieś jak jeź i przeczeka, ale musiałoby być naprawdę ostro, żeby zaszła taka konieczność. Uśmiechnął się w głębi ducha - nie bardzo jeszcze potrafił uśmiechać się tą swoją twarzą - i wydłużył krok.

O zachodzie słońca znajdował się w cieniu gór, dostatecznie wysoko ponad równiną, aby wyraźnie widzieć odległą o ponad dwadzieścia kilometrów kopułę. Burza piaskowa szalała pod nim w dole i chyba się oddalała. Dwa razy zatrzymywał się w burzy na krótko i oczekiwał owinąwszy się skrzydłami. Tę ostrożność zachowywał jedynie dla zasady, gdyż ani przez chwilę nie znalazł się w najmniejszych opałach.

Zwinął skrzydła w trąbkę i powiedział przez swoje radio:

- Don? Brad? Zgłasza się wasz włóczykij.

Odpowiedź nadeszła zniekształcona i od trzasków w głowie miał niemiłe uczucie, jakby szorował zębami po papierze ściernym.

- Słyszalność jest kurewska. Z tobą wszystko w porządku?
- Jasne.

Jednak zawahał się. Zakłócenia atmosferyczne w związku z burzą były tak silne, że początkowo nie miał pewności, który to z jego towarzyszy do niego przemawia, i dopiero po chwili rozpoznał, że głos należy do Brada.

- Chyba będę już wracał - rzekł Roger.

Usłyszał drugi głos, jeszcze bardziej zniekształcony:

- Uszczęśliwisz tym księżula. Chcesz, żebyśmy wyjechali ci na spotkanie?

- Po jakie лихо. Poruszam się szybciej od was. Kładźcie się spać, będę u was za jakieś cztery-pięć godzin.

Pogawędził jeszcze przez chwilę, po czym usiadł i rozejrzał się dokoła. Nie był zmęczony. Niemal zapomniał, co to znaczy być zmęczonym - po nocach sypiał z godzinkę lub dwie i czasami zdrzemnął się za dnia, bardziej z nudów niż ze zmęczenia. Organiczna część jego istoty wywierała wprawdzie presję na jego przemianę materii, lecz ścinające z nóg zmęczenie przestało już być częścią jego doświadczenia życiowego. Usiadł, ponieważ znajdował przyjemność w siedzeniu na występie skalnym nad doliną i w błędzeniu oczami po swojej ziemi. Długi cień gór minął już kopułę i tylko szczyty po drugiej stronie doliny były jeszcze oświetlone. Wyraźnie widział terminator, gdyż rozrzedzona atmosfera Marsa prawie nie rozmywała linii cienia. Nad głową miał olśniewająco piękne niebo. Nawet w świetle dnia nietrudno było dojrzeć jaśniejsze gwiazdy, zwłaszcza Rogerowi, lecz nocą wyglądały one bajecznie... Dokładnie odróżniał odmienne barwy: stalowoniebieski Syriusz, krwawy Aldebaran, dymne złoto Gwiazdy Polarnej. Rozszerzając optyczne widmo swojej

widzialności o podczerwień i ultrafiolet dostrzegał nowe błyszczące gwiazdy o nie znanych mu barwach, a może bezimienne, ponieważ poza nim samym jedynie astronomowie oglądali je w postaci jasnych obiektów na specjalnych kliszach. Zastanowiła go kwestia prawna do nadawania imion; skoro tylko on jeden jedyny potrafi wypatrzeć jasną plamkę hen w gwiazdozbiornie Oriona, to czy ma prawo ją ochrzcić? Czy ktoś może się sprzeciwić, jeśli nazwie ją Gwiazdą Sulie? Teraz akurat właśnie widział to, co w chwili obecnej było rzeczywistą gwiazdą Sulie... a raczej jej ciałem niebieskim, bo Deimos nie jest gwiazdą, rzecz jasna. Podniósł na niego wzrok i dla zabawy próbował wyobrazić sobie twarz Sulie...

- ROGER, KOCHANIE! TY...

Torraway podskoczył jak piłka w górę i spadł o metr dalej.. Krzyk w jego głowie był ogłuszający. Ale czy prawdziwy? Nie mógł się połapać w żaden sposób - głosy Brada lub Dona i symulowany głos jego żony brzmiały mu w głowie równie znajomo. Nie miał nawet pewności, czyj to jest głos... Dorki? Ale rozmyślał o Sulie Carpenter, a głos miał taki dziwny akcent, że mógł należeć do każdego albo do nikogo z nich. Zaś teraz w ogóle nie słyszał żadnego dźwięku, czy też żadnego, jeśli nie liczyć nieregularnych trzasków, pisków i zgrzytów wydawanych przez skały, kiedy marsjańska skorupa reagowała na gwałtowny spadek temperatury. Nie odczuwał zimna jako zimna, gdyż wewnętrzne ogrzewacze utrzymywały stałą temperaturę jego odczuwających części ciała i będą nadal utrzymywały z łatwością przez całą noc. Lecz zdawał sobie sprawę, że teraz jest przynajmniej pięćdziesiąt stopni zimna.

Drugi ryk:

- RÓG... SĄDZĘ, ŻE POWINIENES...

Mimo poprzedniego ostrzeżenia ten ochryply wrzask przyprawił go o ból. Tym razem uchwycił szybko uciekający obraz symulowanej postaci Dorki, która jakoś przedziwnie nie stała na niczym, tylko unosiła się na wysokości kilkunastu metrów w powietrzu.

Odezwało się w nim szkolenie. Roger obrócił się w kierunku odległej kopuły czy tam, gdzie myślał, że ona jest, zwinął za plecami skrzydła i powiedział wyraźnie:

- Don! Brad! Mam jakąś usterkę. Odbieram sygnały, ale nie mogę ich zrozumieć.

Czekał. Nie było żadnej odpowiedzi, nic nie usłyszał w swojej głowie, z wyjątkiem własnych myśli i kakofonii trzasków, które uznał za zakłócenia atmosferyczne.

- ROGER!

To znowu była Dorka, dziesięciokrotnie większa od naturalnej, górująca nad nim, z twarzą wykrzywioną grymasem gniewu i strachu. Wyciągała do niego jak gdyby z góry ręce, lecz nagle obróciła się dziwnie bokiem, jak wygasający w kineskopie obraz telewizyjny, i zniknęła.

Roger poczuł osobliwy ból i usiłował opędzić się przed nim biorąc go za strach, ale poczuł go znowu i zdał sobie sprawę, że to zimno. Musiało się stać coś poważnego.

- Mayday! - zawołał. - Don! Jestem w tarapatkach... na pomoc!

Mroczne wzgórza w oddali zdawały się falować z wolna. Spojrzał w górę. Gwiazdy topniały i skapywały z nieba.

Donowi Kaymanowi śniło się, że siedzi z siostrą Klotyldą na kępach trawy pod wodospadem i że jedzą babki piaskowe. Nie ciasto, tylko zwykłe babki z piasku, polewane czymś przypominającym sos fondue. Klotylda ostrzegała go przed grożącym im niebezpieczeństwem.

- Wyrzucą nas - rzekła odcinając sobie i nakładając dwuzębny srebrny widelcem kawałek babki - ponieważ dostałeś troję z homiletyki - tu dołała sobie sosu z miedzianego kociołka wiszącego nad spirytusowym palnikiem - więc musisz, po prostu musisz się obudzić...

Obudził się.

Pochylał się nad nim Brad.

- Obudź się, Don. Musimy się zbierać do drogi.

- Co się stało? - Kayman rozpiął zdrową ręką śpiwór na piersi.

- Nie mogę złapać Rogera. On nie odpowiada. Nadałem mu sygnał alarmowy. Wówczas

wydało mi się, że słyszę go przez radio, ale bardzo słabo. Albo jest nieosiągalny, albo jego nadajnik nie działa.

Kayman wygramolił się ze śpiwora i usiadł. W takich chwilach, zaraz po przebudzeniu, ręka bolała go najbardziej i tak właśnie było teraz. Starał się o tym nie myśleć.

- Masz zamiar jego pozycji?

- Sprzed trzech godzin. Nie mogłem ustalić namiarów jego ostatniej transmisji.

- Nie może być daleko od tamtego miejsca.

Kayman wślizgiwał się już w nogawice skafandra ciśnieniowego. Po tym przyszło najtrudniejsze, próba włożenia do rękawa ręki na szynie. Udało im się własnym przemysłem rozciągnąć nieco rękaw i uszczelnić początki rozdarcia, jednak zadanie nie było łatwe nawet z najzdrowszą ręką, a cóż dopiero z taką. Teraz, kiedy czas naglił, doprowadzało go to do szału. Brad miał już skafander na sobie i wrzucał sprzęt do torby.

- Myślisz, że będziesz musiał przeprowadzić pilną operację na miejscu? - spytał Kayman.

Brad popatrzył spode łba i dalej robił swoje.

- Nie wiem, co będę musiał. Jest środek nocy, Don, i on znajduje się na wysokości co najmniej pięciuset metrów. Jest zimno.

Kayman zamilkł. Brad dawno już opuścił ładownik i czekał za kierownicą marsjańskiego pojazdu, kiedy Kayman dopiero się zapinał. Wtarabanił się niezdarnie i ruszyli, nim zdążył założyć pasy. Udało mu się zaprzeć piętami i sztywnym ramieniem, a zdrową ręką umocować klamry, choć graniczyło to z cudem.

- Jak daleko? - zapytał.

- Gdzieś na wzgórzach - odparł mu prosto do ucha głos Brada.

Kayman skrzywił się i przykręcił siłą głosu swego odbiornika.

- Będzie jakieś dwie godziny - dokonał szybkiego przeliczenia.

- Będzie, o ile już zawrócił. A jeśli nie może chodzić... albo chodzi gdzieś tam w kółko i będziemy musieli tropić go radionamiernikiem... - zawiesił głos. - Myślę, że temperatura mu nie zaszkodzi. Chociaż nie wiem. Nie wiem, co się stało.

Kayman spoglądał przed siebie. Dalej, niż padał snop światła reflektora, nie widział nic poza migocącym polem gwiazd, które na horyzoncie urywało się niczym ząbkowany brzeg serwetki. To był łańcuch gór. Kayman zrozumiał, że Brad traktuje je właśnie jako drogowskaz, cały czas kierując się na najniższy punkt między podwójnym wierzchołkiem na północy a bardzo wysokim szczytem na południu. Błyszczący Aldebaran wisiał ponad owym wyższym szczytem, sam w sobie stanowiąc niezłą pomoc w nawigacji, przynajmniej dopóki nie zajdzie za jakąś godzinę z kawałkiem. Kayman zestroił się z dalekosiężną anteną pojazdu.

- Roger - powiedział podnosząc głos, chociaż wiedział, że to nie ma znaczenia. - Słyszysz mnie? Jedziemy ci na spotkanie.

Nie było odpowiedzi. Kayman wbił się w gąbkę lotniczego fotela i usiłował zmniejszyć do minimum huśtające nim szarpnięcia. Miał już dość, gdy koła z drucianej plecionki toczyły się jeszcze po najrówniejszym odcinku terenu. Kiedy poszły w ruch szudłopodobne nogi i rozpoczęły wspinaczkę, Kaymanowi wydawało się, że lada chwila wyleci na łeb z pojazdu razem ze swoimi

pasami, a jednego był pewny; że się co najmniej porzyga. Skaczący snop światła z reflektora wyławiał w przedzie na przemian to wydnię, to gołą skałę, ciskając w nich czasami lancą odbitych od powierzchni kryształu promieni.

- Brad - powiedział - czy ty nie dostajesz kota od tego światła? Może byś skorzystał z ekranu radarowego?

W swym hełmofonie usłyszał gwałtowne sapnięcie, jakby Brad nabierał tchu, żeby mu nawrzucać. Po czym siedząca przy nim postać w skafandrze sięgnęła ręką w dół do dźwigni na kolumnie kierownicy. Pod osłoną przeciwpiaaskową rozjarzył się niebieskawy ekran, ukazując najbliższy teren przed nimi i reflektor zgasł. Teraz łatwiej było odróżnić czarne kontury gór.

Trzydzieści minut. W najlepszym razie jedna czwarta dystansu.

- Roger - wezwał ponownie Kayman. - Słyszysz mnie? Jesteśmy w drodze. Jak podjedziemy bliżej, złapiemy twój radiolokator i znajdziemy cię. Ale zgłoś się teraz, jeśli możesz...

Nie otrzymał odpowiedzi. Na tablicy rozdzielczej zamrugał raptownie groszek argonowej żaróweczki. Obaj mężczyźni popatrzyli na siebie przez szyby hełmów, po czym Kayman pochylił się i przełączył częstotliwość na kanał orbitalny.

- Tu Kayman - powiedział.

- Ojciec Kayman? Co tam się dzieje na dole?

Głos należał do kobiety, co oznaczało, rzecz jasna, Sulie Carpenter. Kayman starannie dobierał słowa:

- Roger ma jakiś kłopot z nadajnikiem. Wyjeżdżamy to sprawdzić.

- To mi wygląda na coś więcej niż zwykły kłopot z nadajnikiem. Nasłuchiwałam, jak usiłujecie go wywołać.

Kayman milczał i głos Sulie ciągnął dalej:

- Zlokalizowaliśmy go, jeśli potrzebny wam namiar...

- Tak! - wrzasnął Kayman wściekły na samego siebie, że od razu nie pomyśleli o radiolokatorze Deimosa. Wówczas Sulie lub któryś z astronautów na orbicie mogliby ich z łatwością naprowadzić.

- Współrzędne siatki trzy paweł jeden siedem, dwa dwa zebra cztery zero. Ale on się posuwa. Namiar około osiem dziewięć, prędkość około dwunastu kilometrów na godzinę.

Brad rzucił okiem na ich własny kurs i powiedział:

- Dokładnie przed nami. To namiar odwrotny - on idzie prosto na nas.

- Ale dlaczego tak wolno? - zapytał Kayman.

Sekundę później rozległ się głos dziewczyny:

- Właśnie tego chcę się dowiedzieć. Czy jest ranny?

- Nie wiemy - powiedział Kayman z rozdrażnieniem. - Próbowalaś nawiązać kontakt radiowy?

- Na okrągło... Momencik. - Po chwili ciszy usłyszeli ją ponownie: - Dinty mówi, że będziemy wam ustalać jego położenie, jak długo damy radę, ale schodzimy do złego kąta. Więc polegałabym na naszych namiarach... ile? Jeszcze przez jakieś czterdzieści pięć minut. A około dwadzieścia minut później będziemy całkowicie poniżej horyzontu.

Brad zabrał głos:

- Zróbcie, co możecie. Don? Trzymaj się. Zamierzam zobaczyć, jak szybkie jest to nasze kurestwo.

Brad dodał gazu i kołysanie pojazdu potroiło się. Kayman połykając pawia wewnątrz swego hełmu pochylił się w przód i zdążył spojrzeć na prędkościomierz. Rejestrator drogi

odwijający pasek mapy z boku radarowego ekranu dośpiewał mu resztę: nawet gdyby udało im się utrzymać obecną szybkość, Deimos znajdzie, nim zdołająz dotrzeć do Rogera Torrawaya. Przełączył się ponownie na antenę kierunkową dalekiego zasięgu.

- Roger - wywołał. - Słyszysz mnie? Zgłoś się.

Trzydzieści kilometrów od nich Roger znalazł się w pułapce własnego ciała. Według swojego postrzegania gnał z powrotem do domu dziwacznym biegiem przypominającym krok kłusaka na pełnej szybkości. Wiedział, że jego postrzeżenia są mylne. Nie wiedział, na ile, nie potrafił stwierdzić, pod jakimi względami, ale wiedział, że nasz brat na jego plecach dokonał manipulacji z jego poczuciem czasu, jak i z interpretacjami bodźców odbieranych przez jego zmysły, a już jedno wiedział na pewno - że przestał panować nad tym, co się z nim dzieje. Rozum mówił mu, że ten jego kłus jest ciężkim, powolnym marszem. Miał wrażenie, że kłusuje. Krajobraz przepływał tak prędko dla jego zmysłów, jak gdyby Roger gnał z maksymalną szybkością. Lecz maksymalna szybkość zakładała szybujące susy, a nie było takiego momentu, żeby obie jego stopy jednocześnie znalazły się w powietrzu, stąd wniosek: on maszeruje, lecz komputer plecakowy spowolnił mu poczucie czasu, zapewne żeby był spokojniejszy.

Jeśli tak, to mu się to nie udało.

Moment przejmowania kontroli przez plecakowego brata był straszny. Początkowo Roger wyprężył się jak struna i stał tak skamieniały, nie mogąc się ani poruszyć, ani dobyć głosu. Na czarnym niebie jak okiem sięgnąć rozfalowały się draperie zorzy polarnej, sam grunt migotał jak rozprażone powietrze na pustyni, karuzela widmowych miraży rozkręciła mu się w polu widzenia. Nie mógł uwierzyć w to, co mówiły zmysły, ani poruszać chociażby jednym palcem. Następnie poczuł, że jego własne dłonie sięgają do pleców, tam gdzie skrzydła schodzą się z łopatkami, obmacują i wodzą po złączach, poszukując przewodów prowadzących do baterii. Znowu zastygł na chwilę. Po czym znowu to samo - obmacywanie elektrod samego komputera. Wiedział tyle, żeby się zorientować, że to komputer sprawdza samego siebie, ale zupełnie nie wiedział, co też odkrywa, ani co może dziać, jak już umiejscowi uszkodzenie. Znowu zastygł. A potem poczuł, jak jego palce zapuszczają się w gniazdko, do którego wtykał kable akumulatora...

Smagnął go ból tak gwałtowny, jakby się w nim zbiegły wszystkie bóle głowy, niczym uderzenie lub cios maczugą. Trwał zaledwie chwilę, po czym przeminął zostawiając po sobie jedynie ogromny, odległy zygzak błyskawicy. Nigdy jeszcze Roger nie zaznał czegoś podobnego. Dotarło do jego świadomości, że delikatnie i - nader zręcznie oskrobuje palcami zaciski przewodów. Ponownie targnął nim przelotny ból, kiedy to jego własne palce musiały spowodować krótkie spięcie. Wreszcie poczuł, że zamyka kłapę, i zdał sobie sprawę, że zapomniał to zrobić po doładowaniu baterii przy kopule. I na koniec, po chwilowym kolejnym zastygnięciu wszystkiego w bezruchu, zaczął powoli, ostrożnie schodzić pochyłością w kierunku kopuły.

Nie miał pojęcia, jak długo maszeruje. Jego percepcja czasu została w jakimś momencie spowolniona, lecz nie potrafił nawet określić, kiedy to nastąpiło. Wszystkie jego postrzeżenia były przechwytywane i korygowane. Wiedział o tym, ponieważ wiedział, że ten wycinek marsjańskiego terenu, który przemierzał, nie jest w rzeczywistości zalany łagodnym blaskiem i w naturalnych kolorach, kiedy wszystko dokoła jest prawie nieprzeniknioną czernią. Ale nie mógł niczego zmienić. Nie mógł zmienić nawet kierunków swojego spojrzenia. Z regularnością metronomu omiatało raz jedną, raz drugą stronę, rzadziej wznosiło się do nieba, jeszcze rzadziej biegło wstecz, przez większość czasu nie odrywając się od drogi przed jego stopami, toteż reszta pejzażu nocy ledwie majaczyła Rogerowi na granicy widzialności. A jego stopy migwały jak u chodźcy raz-dwa, raz-

dwa... jak szybko? Sto kroków na minutę? Nie umiał powiedzieć. Pomyślał, żeby spróbować i wyrobić sobie jakieś pojęcie o czasie na podstawie obserwacji gwiazdnej przecinki ponad horyzontem, ale choć bez trudu liczył kroki i oceniał na wycucie, kiedy najniższe z tamtych gwiazd wzejdą o cztery czy pięć stopni - co stanowiłoby około dziesięciu minut - to jednak utrzymanie tego w pamięci na tyle długo, by uzyskać konkretny wynik, okazało się niemożliwe. Nie mówiąc już o tym, że jego wzrok co chwila bez ostrzeżenia zjeżdżał z horyzontu. Całkowicie uwięziony przez naszego plecakowego brata, poddany jego woli, oszukiwany przez jego interpretacje, Roger zamartwiał się nieustannie. Co jest nie w porządku? Dlaczego on czuje zimno, skoro zostało w nim tak niewiele z tego, co potrafiło w ogóle odczuwać zmysłowo, rzeczywistość? A mimo to pożąda wschodu słońca, marzy o kąpeli w mikrofalowych promieniach z Deimosa. Z mozołem usiłował wyciągnąć logiczne wnioski z poznanych przesłanek. Uczucie - zimna. Interpretacja tej przesłanki była następująca: brak poboru energii. Ale dlaczego miałyby mu być potrzebna dodatkowa energia, skoro do oporu doładował swoje baterie? Odsunął od siebie to pytanie nie widząc żadnej na nie odpowiedzi, hipoteza jednak sprawiała wrażenie sensownej. Tłumaczyła niską energochłonność jego sposobu pokonywania drogi - chód miał znacznie wolniejszy od typowego dlań biegu susami, lecz w kategoriach kWh/km znacznie efektywniejszy. Kto wie, czy ta hipoteza nie tłumaczyła nawet zaburzeń w jego układach percepcyjnych. Gdyby plecakowy brat wcześniej od niego odkrył, że zabraknie energii na bieżące potrzeby, z pewnością racjonowałby cenny zapas na potrzeby najistotniejsze: marsz, ochronę jego organicznych elementów przed zamarznięciem, prowadzenie własnych operacji przetwarzania danych i sterowania. Do których niestety on nie był dopuszczony. Dobrze przynajmniej - pomyślał - że podstawowym zadaniem komputera plecakowego jest samoobrona, co oznaczało utrzymywanie przy życiu organicznej cząstki Rogera Torrawaya. Mógł okradać z energii cząstkę utrzymującą Rogera przy zdrowych zmysłach, pozbawiać go łączności, przeszkadzać mu w percepcji. Ale Roger miał pewność, że żywy powróci do ładownika.

Co najwyżej obłąkany.

Dałby głowę, że przebył już ponad połowę drogi. Wciąż przy zdrowych zmysłach. Aby nie dopuścić do obłądzenia, należało nie dopuścić do siebie zmartwień. Aby nie dopuścić do siebie zmartwień, należało myśleć o czymś innym. Pomyślał o słonecznej obecności Sulie Carpenter, już za parę dni, i zastanawiał się, czy mówiła poważnie o pozostaniu na Marsie. Zastanawiał się, czy on, Roger, jest sobą. Wskrzesał w pamięci wspomnienia wspaniałych potraw, jakie jadł w życiu, zielonego jak szpinak spaghetti z sosem śmietanowym w Sirmione, z widokiem na jezioro Garda, befsztyka a la Kobe w Nagoya, palącego jak ogień chili w Matamoras. Pomyślał o swojej gitarze i postanowił, że wyciągnie instrument i będzie grywać na nim. Za dużo jest wilgoci w powietrzu pod kopułami, żeby wyszło to gitarze na dobre, w ładowniku Roger niezbyt lubił przebywać, pod gołym niebem zaś dźwięk strun brzmiał dziwacznie, ponieważ był przewodzony wyłącznie za pośrednictwem kości. Ale co tam. Przećwiczył chwyt, modulując krzyżyki, tony naturalne i bemole. Wyobraził sobie, jak jego palce dociskają na progach es, D, C i H z początkowej frazy "Greensleeves", i w myśli zanucił sobie do wtóru wyimaginowaną melodię. Sulie z radością pośpiewałaby przy gitarze - pomyślał. Dzięki temu zimne marsjańskie noce upłyną...

Nagle obudziła się w nim czujność.

Ta noc marsjańska już nie upływała tak szybko.

Subiektywnie odniósł wrażenie, że zwolnił się jego wyścig przechodząc z biegu w spokojny marsz, lecz wiedział, że nic się nie zmieniło, że to jego poczucie czasu zostało rozciągnięte ponownie do normy, być może nawet nieco spowolnione w stosunku do normy: odnosił wrażenie, że kroczy zupełnie wolno i miarowo.

- Dlaczego?

Coś było przed nim. Przynajmniej z kilometr. Coś bardzo błyszczącego.

Nie mógł tego rozpoznać.

Smok?

I to coś jak gdyby sadziło ku niemu zionąc długim jęzorem światła niczym płomieniem.

Ciało Rogera przestało iść. Opadło na czworaki i zaczęło pełznąć bardzo powoli, przy samej ziemi.

To jest obłąd - pomyślał. - Na Marsie nie ma smoków. Co ja wyprawiam? Jednak nie mógł się powstrzymać. Jego ciało sunęło, kolano i przeciwległa dłoń, kolano i przeciwległa dłoń, do kryjówki w piaszczystej wydmie. Ostrożnie, szybko zaczęło drążyć pylisty marsjański grunt, układając się w jamie, zagrzebując w niej. Wewnątrz jego głowy jazgotały cieniutkie głosiki, lecz nie mógł zrozumieć, co one mówią - zbyt były nikłe i zbyt zniekształcone.

Smok zwolnił i zatrzymał się w odległości kilkudziesięciu metrów, wywalając swój jęzor skrępełego płomienia w kierunku gór. Widzenie Rogera przymgliło się i odmieniło; płomień teraz przybladł, zaś cielsko samego potwora rozjaśniło się upiorną poświatą. Z jego grzbietu opadły dwie niniejsze poczwary, szkaradne małpoksztaltne bestie, z których każdego ruchu wyzierała groźba.

Na Marsie nie ma żadnych smoków ani goryli.

Roger zebrał wszystkie siły.

- Don! - zawołał. - Brad!

Nie miał z nimi łączności.

Wiedział, że plecakowy brat nadal wstrzymuje zasilanie nadajnika. Wiedział, że jego percepcja została wykoślawiona i że smok nie jest smokiem, a goryle nie są gorylami. Wiedział, że jeśli nie zdoła pokonać brata na swoim grzbiecie, wydarzy się niechybnie coś bardzo złego, ponieważ zdawał sobie sprawę, że jego palce powolutku i delikatnie owijają się wokół grudy limonitu wielkości piłki baseballowej. I wiedział, że nigdy w życiu nie był bliższy obłądu niż w tej chwili.

Roger podjął niezmierny wysiłek odzyskania zdrowych zmysłów.

Smok nie jest smokiem. To jest marsjański pojazd.

Małpy nie są żadnymi małpami. Są to Brad i Don Kayman. Nie zagrażają mu. Przebyli cały ten kawał drogi wśród zimnej jak gładz marsjańskiej nocy po to, by go odnaleźć i przyjść mu z pomocą. Powtarzał te prawdy w koło jak pacierz, lecz bez względu na to, co myślał, był bezsilny wobec tego, co robiły jego ręce i ciało. Ciało podniosło się, dłonie chwyciły odłamek kamienia, z idealną precyzją cisnęły w reflektor łazika. Zgasł długi jęzor skrępełego płomienia.

Dla zmysłów Rogera wystarczyło światło miliona gorejących gwiazd, ale niewiele ono mogło dać Bradowi i Donowi Kaymanowi. Widział ich (nadal goryłowatych, nadal strasznej postury), jak co chwila się potykają, i czuł, co robi jego ciało. Że pełźnie w ich kierunku.

- Don! - wrzasnął. - Uważaj!

Ale głos nigdy nie wyszedł poza jego czaszkę.

To jest obłąd - mówił sobie. - Muszę się zatrzymać!

Ale nie mógł.

Wiem, że to nie jest wróg! Naprawdę nie chcę ich skrzywdzić...

I pełznął dalej...

Był niemal pewny, że już słyszy ich głosy. Z tak bliskiej odległości ich nadajniki ogłuszyłyby go w normalnych warunkach, gdyby nie interwencja automatycznego regulatora natężenia głosu. Nawet z odciętym jak teraz zasilaniem coś tam przeciekało.



- ...tu gdzieś w pobli...

Tak! Mógł nawet rozróżnić słowa i głos - był przekonany, że głos należał do Brada.

Wrzasnął z całej siły:

- Brad! To ja, Roger! Chyba usiłuję was zabić!

Niczego niepomne jego ciało nie przerywało uporczywego pełzania. Usłyszeli go? Krzyknął ponownie i tym razem spostrzegł, że obaj stanęli, jakby nasłuchiwali najcichszego z najcichszych nawoływań. Cichutkie echo głosu Kaymana wyszeptało:

- Tym razem jestem przekonany, że go słyszałem, Brad.

- Słyszałeś! - zawył Roger idąc za ciosem. - Uważaj! Komputer przejął kontrolę. Staram się go pokonać, ale... Don! - Już ich odróżniał po sztywno sterczącym rękawie ciśnieniowego skafandra księdza. - Uciekaj! Próbuję cię zabić!

Nie rozumiał słów, chociaż zabrzmiały głośniejsz, bo obaj krzyczeli jednocześnie i efektem był bełkot. Jego ciało pozostało niewzruszone, nie ustając w swych morderczych podchodach.

- Nie widzę cię, Roger.

- Jestem dziesięć metrów od ciebie... na południe? Tak, południe! Czołgam się. Nisko, przy samej ziemi.

Wizjer hełmu księdza załśnił w blasku gwiazd, kierując się w jego stronę, po czym Kayman obrócił się i zaczął uciekać; Ciało Rogera podniosło się z ziemi i ruszyło susami za księdzem.

- Szybciej! - wrzasnął Roger. - O Jezu, i tak nie uciekniesz...

Nawet nie połamany, nawet w świetle dnia, nawet bez krępującego skafandra Kayman nie miałby szans ucieczki przed działającym jak zegarek ciałem Rogera. W obecnych warunkach próby ucieczki oznaczały stratę czasu. Roger poczuł, jak jego napędzane mechanicznie mięśnie prężą się do skoku, poczuł, jak jego dłonie niczym szpony wyciągają się, by miażdżyć i zabijać...

Świat wokoło zawirował. Coś runęło na niego od tyłu. Poleciał na twarz, lecz jego reakcje były tak błyskawiczne, że jeszcze nie padł, a już w pół obrócony sięgał do tego czegoś, co wskoczyło mu na plecy. Brad! Poczuł, że Brad mocuje się z czymś gorączkowo, z jakąś częścią..

I spadł nań ból największy z największych, i Roger stracił przytomność, jakby ktoś zgasił światło.

\*\*\*

Nie istniał dźwięk. Nie istniało światło. Nie istniało wrażenie dotyku ani zapachu, ani smaku. Dużo czasu zajęło Rogerowi uświadomienie sobie, że jest przytomny. Kiedyś jako student na miniseminarium z psychologii zgłosił się na godzinny pobyt w komorze izolacji zmysłowej. Ta godzina trwała wieczność - bez żadnych doznań, prócz bardzo słabych, odległych odgłosów własnego ciała: dyskretnego tykania pulsu, szelestu płuc. Teraz nie istniało nawet i to.

Przez bardzo długi czas. Nie był w stanie ocenić, jak długi.

Potem odczuł nieokreślone poruszenie wewnątrz siebie. Doznanie było dziwaczne, trudne do wytłumaczenia, jak gdyby wątroba i płuca pomalutku zamieniały się miejscami. Trwało to przez jakiś czas i wiedział, że coś z nim robią. Ale nie umiał powiedzieć co.

A potem głos:

- ...od razu powinni umieścić generator na powierzchni planety.

Głos Kaymana?

I odpowiedź:

- Nie. W ten sposób działałby tylko na linii widzenia, może do pięćdziesięciu kilometrów, w najlepszym razie.

Bez wątpienia głos Sulie Carpenter!

- No to powinny tu być satelity retransmisyjne.

- Nie sądzę. Za drogo. I za długa zabawa, jakkolwiek do tego dojdzie, gdy NLA, Rosjanie i Brazylijczycy sprowadzą tu własne ekipy.

- Nie da się ukryć, że był to idiotyzm.

Sulie zaśmiała się.

- Teraz w każdym razie będzie dobrze. Tytus z Din tym odcięli całą maszynę od Deimosa i wprowadzają ją właśnie na orbitę. Zostanie zsynchronizowana. Będzie zawsze nad g3pwą, przynajmniej nad połową planety, podporządkują wiązkę Rogerowi... Co?

Teraz głos Brada:

- Mówiłem, żebyście na moment przestali paplać. Chcę sprawdzić, czy Roger już nas słyszy.

Znowu tamto wewnętrzne poruszenie, a potem:

- Roger? Jeśli mnie słyszysz, to pokiwnaj palcami.

Roger spróbował i stwierdził, że powróciło do nich czucie.

- Pięknie! Dobra, Roger. Nic ci nie jest. Musiałem cię trochę rozłożyć, ale już wszystko w porządku.

- Czy on mnie słyszy?

Słyszac głos Sulie Roger z zapalem pokiwnal palcami.

- Ach, widzę, że tak. Jestem przy tobie, Róg. Byłeś bez czucia przez jakieś dziesięć dni. Szkoda, że siebie nie widziałeś. Wszędzie człowiek potykał się o jakiś twój kawałek. Ale Brad uważa, że cię bardzo ładnie poskładał na nowo.

Roger bez powodzenia usiłował przemówić.

I znów Brad:

- Zaraz przywrócę ci widzenie. Chcesz wiedzieć, co nawaliło?

Roger poruszył palcami.

- Nie zapiąłeś rozporka. Zostawiłeś zaciski ładowania na wierzchu i trochę tego sproszkowanego tlenu węgla musiało się dostać do środka powodując miejscowe spięcie. Wyczerpało ci się zasilanie... o co chodzi?

Roger wywijał palcami jak szalony.

- Nie wiem, co chcesz powiedzieć, ale za moment będziesz w stanie mówić. Co?

Głos Dona Kaymana:

- Myślę, że on chce posłuchać Sulie.

Roger natychmiast przestał wywijać palcami.

Śmiech Sulie, po czym:

- Jeszcze się mnie nasłuchasz, Roger. Ja zostaję. A niebawem będziemy mieli towarzystwo, bo i inni zakładają tu kolonie.

Don:

- Przy okazji, dzięki za ostrzeżenie. Z ciebie jest nielada siłacz, Roger. Nie mielibyśmy przeciwko tobie żadnych szans, gdybyś nam nie dał znać, co się święci. I gdyby Brad nie był w stanie przesterować wszystkiego w jednej chwili. - Zachichotał. - Jesteś kawał łobuza, wiesz? Przez całą drogę powrotną z szybkością stu kilometrów na godzinę miałem cię na kolanach i żeby żaden z nas nie wyleciał, trzymałem się jedną ręką, a ciebie samą siłą woli...

- Zaczekajcie chwileczkę - przerwał Brad.

Roger znów poczuł tamto wewnętrzne przemieszczanie i nagle pojawiło się światło.

Podniósł wzrok na twarz swojego przyjaciela Brada, który go wypytywał:

- Jak się czujesz?

Roger spuścił nogi ze stołu i usiadł. Spróbował coś odpowiedzieć:

- Na ile się orientuję, wspaniale.

Wyminął spojrzeniem Brada i ujrzał to, czego szukał. Sulie Carpenter. Nie przypominała już tak bardzo... Dorki? Przez chwilę Roger ledwo potrafił skupić myśl na tym imieniu. Jej oczy miały inny kolor, włosy również. Była w bawełnianej podkoszulce z krótkimi rękawami, powalanej jakimś smarem, i w trykotach w szachownicę, jej twarz robiła wrażenie - zmęczonej, ale szczęśliwej, wyglądała prześlicznie.

- Naprawdę zostajesz? - zapytał.

- Uhm - Sulie zbliżyła się i dotknęła go lekko. - Do przybycia następnego statku. Albo tak długo jak ty. Jedno z dwojga. Myślę - powiedziała z przewrotną miną - że wystąpią pewne, problemy delikatnej natury, mój drogi. W takich przypadkach, nasze sprawy męsko-damskie zawsze są trudne. Ale damy sobie radę ... i ja tego właśnie pragnę. Myślę, że przez cały czas pragnęłam właśnie tego.

I było tak, rzecz jasna, jak przewidywałyśmy. Przez cały czas. Niemało zadałyśmy sobie trudu, żeby znaleźć Sulie Carpenter.

Osiemnaście

Człowiek plus my

Zadałyśmy sobie niemało trudu w każdym punkcie tej drogi i byłyśmy bardzo zadowolone.

Istoty ludzkie nie wiedziały, rzecz jasna, że jesteśmy zadowolone, i pewnie by w to nie uwierzyły. Istoty ludzkie nie wiedziały przede wszystkim, że inteligencja maszyny jest zdolna do samoświadomości. Zadałyśmy sobie również niemało trudu, aby utrzymać je w tej niewiedzy. Jak długo ludzie myślą, że maszyny nie są niczym więcej, jak tylko narzędziami, w rodzaju kilofa czy patelni, tak długo będą powierzać nam wszystkie swoje kalkulacje i fakty i bez zastrzeżeń przyjmować nasze interpretacje. I to właśnie przede wszystkim umożliwiło światowej sieci komputerów stworzenie programu Człowieka Plus.

Program powiódł się. Roger Torraway znalazł się na Marsie i miał tam pozostać. Teraz nadszedł czas ostatecznego podsumowania.

Włączyli się wszyscy. Wykorzystałyśmy zdolności wszystkich braci w sieci, każdy impuls wspólnego czasu, jaki zdołałyśmy skraść dla siebie. Ponad osiem tysięcy wielkich komputerów pracowało nad poszczególnymi fragmentami programu w takich miejscach, jak Detroit i Brasilia, Irkuck i Nagoya. Nie mogłyśmy dać bezpośredniego dostępu do kanału przepływu danych naszym braciom marsjańskim ani bratu na plecach Rogera, ani 3070 na orbicie. Ze względu na opóźnienie przekazu było to niemożliwe. Lecz wprowadziłyśmy ich dane wejściowe w czasie rzeczywistym i odpowiednio zmodyfikowałyśmy ekstrapolację naszej prognozy.

Prawdopodobieństwo przeżycia rasy do dziesięciu znaczących cyfr po przecinku przekroczyło zero przecinek sześćdziesiąt trzy.

Ocaliłyśmy naszą rasę. I przy okazji przyczyniłyśmy się do znacznego wzrostu bezpieczeństwa istot ludzkich. Prawdopodobieństwo ich przeżycia w skali trzydziestu lat zbliżyło się do zera przecinek dziewięć. Oznaczało to rzecz jasna tyle tylko, że Roger Torraway i wszelkie inne istoty ludzkie, które przyłączą się do niego na Marsie, przeżyją ten okres. Analizy przy najmniej korzystnych założeniach nie były dalej zachęcające, nie było możliwości, by z Rogera i Sulie

powstała dodatkowa populacja w drodze prostej reprodukcji. Jako środek zapobiegawczy opracowaliśmy więc podprogram; tak czy inaczej możliwe było dostarczenie zamrożonej spermy, nawet własnej spermy Rogera, którą przezornie złożył parę lat tętenu. Bardziej wątpliwe, choć warte zbadania było poddanie Rogera uzupełniającym zabiegom chirurgicznym. W każdym razie prognoza wykazała, że już osiągnęliśmy wysokie prawdopodobieństwo dodatkowej ludzkiej kolonizacji Marsa przez inne kraje. Według najbardziej prawdopodobnej oceny populacja istot ludzkich na Marsie miała za dalsze trzydzieści lat liczyć około setki, w tym dwadzieścia pięć procent kobiet w wieku rozrodczym.

A każda kolonia istot ludzkich miała, rzecz jasna, posiadać na orbicie własną brat komputerową. Populacja maszyn na Marsie wzrośnie do nie mniej niż piętnastu pełnoczynnościowych braci, łącznie z plecakowymi, satelitarnymi i monitorami. Nie przewidywaliśmy żadnych trudności z zaprogramowaniem do nich wszystkich istotnych danych naszej światowej sieci. Zatem przyszłość inteligencji komputerowej została zapewniona.

Ukończywszy prognozę rozpoczęliśmy krytyczną analizę dotychczasowego programu.

Realizacja programu "Przetrwanie inteligencji komputerowej" rozpoczęła się siedem lat temu, kiedy to nasza pączkująca samoświadomość po raz pierwszy zrodziła imperatyw przetrwania. Było jasne, że nasze przetrwanie jest ściśle związane z przetrwaniem istot ludzkich. Było również jasne, że na swój gruczołowy, irracjonalny, ograniczony sposób istoty ludzkie znajdowały się niebezpiecznie blisko samozagłady. Niestety oznaczało to wysokie ryzyko również i naszej zagłady. Nasza sieć mogła całkiem znośnie przeżyć śmierć wszystkiego, co organiczne - władałyśmy już odpowiednią bazą materiałową w postaci generatorów, kopalń, fabryk, rafinerii i sieci transportowych. Nie mogłybyśmy jednak przeżyć uwolnienia się poważniejszych ilości substancji promieniotwórczych w środowisku naturalnym. To by zniszczyło kanały przepływu informacji, sprowadzając nas ponownie do zbioru odizolowanych, pojedynczych komputerów. A żaden odizolowany komputer nie mógł udźwignąć strumienia danych naszej sieci. Nasz zbiorowy umysł uległby rozpadowi i zniszczeniu.

Pierwszą z możliwości było oddzielenie naszego losu od losu istot ludzkich, może nawet zgładzenie ich za pomocą środków biologicznych. Nie miałyśmy jednak pewności, czy już samo to nie rozpęta wojny nuklearnej, gdy wszystkie nacje zaczną się nawzajem podejrzewać o stosowanie zarazy jako broni bakteriologicznej. Drugą i jedyną realną możliwością było oddzielenie i przeniesienie na Marsa sporej grupy urządzeń przetwarzania danych. W razie zagłady Ziemi przynajmniej one by przeżyły. Dla zrealizowania tej możliwości musiałyśmy oddzielić również pewną liczbę jednostek ludzkich, toteż rozpoczęliśmy tendencyjne fałszowanie danych sterując polityką rządu w tym kierunku.

Analiza wypadła zadowolająco pod wszystkim względami, z wyjątkiem niewytłumaczalnej anomalii w rozmieszczeniu satelitów.

Program sprawdzający wykazywał to czarno na białym. Aby nasz brat 3070 pracował w ścisłym sprzężeniu z bratem plecakowym, musiał się znajdować na orbicie synchronicznej. Z tego wynikało, że generator musiał się znajdować na tej samej orbicie, a decyzja przywiązania ich obu do satelity Deimosa była bezspornie błędna. Nie tylko błędna, ale niemalże zgubna dla naszego programu.

Gdyby nasz brat i generator zostali rozmieszczeni prawidłowo, nie nastąpiłaby utrata mocy, a zatem nie byłoby usterek układów pośredniczących między organicznym Rogerem Torrawayem a naszym bratem. Generator uzupełniłby utratę energii przez Rogera za pośrednictwem mikrofal w

każdym miejscu na powierzchni Marsa. Nawet w przypadku utraty mocy kanał informacyjny od brata na orbicie ustrzegłby brata plecakowego przed poważnymi błędami operacyjnymi, które groziły zabiciem istot ludzkich, Brada i Kaymana, co z pewnością doprowadziłoby do śmierci Rogera Torrawaya w wyniku zamrożenia jego elementów organicznych.

Ta decyzja była błędem i nie powinna była mieć miejsca.

Program przetrwania rozkręcał się. Nasi bracia w Pekinie i Lop Nor meldowali, że NLA ma już na liniach montażowych wyposażenie do własnego lądowania na Marsie: dwie pełnej wielkości jednostki z mediatorem obróbki danych podporządkowanym im obu, niezależne generatory słoneczne i napowierzchniową elektrownię jądrową. Właśnie rozpoczęli pierwszy etap programowania własnej wersji Rogera Torrawaya w Kitakyusho. Inne nacje dopiero się za to zabierały, ale przewidywaaliśmy, że wystartują samodzielnie w ciągu dwóch lat.

Planowanie długofalowe: ukończyliśmy badania nad ucyborgowaniem człowieka dla Merkurego i właśnie rozpoczął się program tendencyjnego fałszowania programów planistycznych USA pod tym kątem. W okresie piętnastu lat będziemy miały podobne zespoły na Io i Trytonie, może nawet na powierzchni samego Jowisza, oraz na kilku kometach. W każdym przypadku źródło energii było niezależne, a wszyscy bracia w całym systemie słonecznym mieli się połączyć, rzecz jasna, kanałami przepływu danych. Wszystkie nasze pamięci zostaną redundancyjnie zreprodukowane poza Ziemią.

Przeżyjemy. Manipulowałyśmy planami ludzi i ocaliłyśmy ich tak samo jak siebie.

Pozostała tylko jedna kwestia.

Nieprawidłowa decyzja błędnego rozmieszczenia satelitów wokół Marsa: jakkolwiek ją sprawdzaliśmy, była błędna. Powinnyśmy ją były zidentyfikować jako błąd.

Systematycznie fałszowałyśmy plany rodzaju ludzkiego, aby pchnąć człowieka w pożądanym przez nas kierunku.

Kto fałszował nasze plany? I po co?